

STRAJK W KOLEBCE
Port Gdański
– grudzień 1981 r.

SOWIECI Z NIEWOLI
Razem z Hitlerem
przeciw ZSRS

LWY I GLADIATORZY
Piotr Zychowicz
o walkach Polaków i Ukraińców

NR 12(118)/2022 GRUDZIEŃ 2022

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

100 lat od mordu I prezydenta RP

GABRIEL NARUTOWICZ

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 031

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ IPN

GRUDNIOWA OFERTA

-30% NA WSZYSTKIE **KSIĄŻKI**

-20% **GRY**, KOMIKSY, CZASOPISMA



OFERTA DOSTĘPNA:

ONLINE 1.12–30.12.2022

STACJONARNIE 1.12–23.12.2022

W KSIĘGARNIACH IPN W CAŁEJ POLSCE

LUB DO WYCZERPANIA ZAPASÓW

WIĘCEJ NA: **www.ipn.gov.pl** | **FB.com/ksiegarnia.ipn**

PEŁNA OFERTA NA
ksiegarniaipn.pl

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ IPN

eprasa.pl 101deeee3b0

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803
lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Kraków, marzec 1938 r.

Włodzimiera Wens z trojaczkami urodzonymi w szpitalu Ubezpieczalni Społecznej im. Gabriela Narutowicza



FOT. NAC

Od redaktora



Maciej Rosalak

Mord cudu wolności

W 100. rocznicę zamordowania pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Gabriela Narutowicza przypominamy okoliczności tej śmierci, której upiorny cień zawisł nad II RP. Oto Polacy odzyskują nareszcie wolność.Oczekują, że ustanie wszelkie pieniactwo, bezrozumne kłótnie polityków z różnych partii, prywata, marnotrawienie i kradzież publicznego grosza, a w życiu publicznym zapanują cywilizowane formy sporów i polemik. I oto wszelkie uzasadnione oczekiwania biorą w łeb niemal natychmiast po ziszczeniu się cudu wolności... Polaków ogarnia zniechęcenie, czasem bezsilny gniew, a naturalne różnice politycznych upodobań zamieniają się w zapiekłą nienawiść dzielącą społeczeństwo.

Następuje dehumanizacja przeciwników politycznych, których traktuje się jak śmiertelnych wrogów, obrzucając ich najgorszymi epitetami i oszczerstwami. Porównuje się ich do szarańczy, którą trzeba strząsnąć ze zdrowego drzewa społeczeństwa, do watahy, którą należy wyrżnąć, szkodników, których trzeba wyrzucić przez okno lub których bez sądu „silni ludzie" mają wyprowadzić ze stanowisk, zajmowanych przecież na mocy demokratycznych procedur.

To wszystko znamy z własnych przeżyć po 1989 r., a z ostatnich lat szczególnie. W takiej atmosferze mordowani są działacze polityczni, dewastuje się biura poselskie, a ostatnio jakiś agresywny osobnik groził śmiercią szefowi rządzącej partii. Zarówno w 1922 r., jak i w latach 2010, 2019 i 2022 sprawców uznaje się za ludzi niezrównoważonych psychicznie. A kim są osoby publiczne, które atmosferę sprzyjającą popełnianiu zbrodni wytwarzają?

•••

Bardzo dziękuję mojemu poprzednikowi na stanowisku redaktora naczelnego Piotrkowi Zychowiczowi za 10 lat pożytecznej dla pisma pracy, a zwłaszcza za serdeczną pomoc, którą mi okazał w ostatnich latach podczas mojej onkologicznej „ścieżki zdrowia". ©℗

eprasa.pl 101deee3b0



/ TEMAT NUMERU

.6–9 WŁODZIMIERZ SULEJA
Tragedia pierwszego prezydenta

.12–15 JAKUB OSTROMĘCKI
„Precz z wybrańcem Żydów!"

.16–17 TOMASZ STAŃCZYK
Marszałek o Narutowiczu

.18–21 TOMASZ STAŃCZYK
Śmierć prezydenta i proces zabójcy

/ CZASY I LUDZIE

.22–25 MACIEJ ROSALAK
Przedsięwzięcie „Niepodległość"

.26–29 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Twierdza Port Gdański

.30–32 DAMIAN MARKOWSKI
Pierwsi z AK na Nowogródczyźnie

.34–37 MAREK GAŁĘZOWSKI
Korespondencyjny skarbiec zdarzeń

.38–41 MIKOŁAJ IWANOW
Zdrada czy wyzwolenie

.42–45 DAVID JACKSON
Amerykański cud

.46–49 PIOTR SEMKA
Kopalnia Szczecin



.50–53 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Kałmucy bitni i straszni

.54–57 SŁAWOMIR KOPER
Kieliszek pod Baranami



/ CO CZYTAĆ

.58–61 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Brandstaetter: Żyd od Krzyża

.62–65 RECENZJE

/ FELIETONY

.66 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Jakoś to nie będzie

.67 PIOTR SEMKA
Na Zachodzie wiele zmian

/ KRESY

.70–73 TOMASZ STAŃCZYK
1919–1920. Na Suwalszczyźnie i nad Niemnem

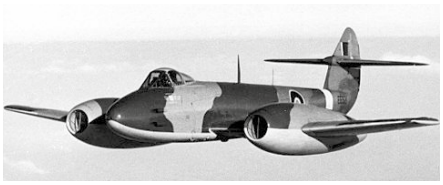
/ BATALIE I WODZOWIE

.72–75 MACIEJ ROSALAK
Joannici i sułtan Sulejman

.68–69 MICHAŁ MACKIEWICZ
Scytyjski łucznik w greckiej służbie

/ TECHNIKA

.78–79 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Silnik odrzutowy



/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Lwy i gladiatorzy

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Prezydent czasu wojny



eprasa.pl 101deee3b0

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

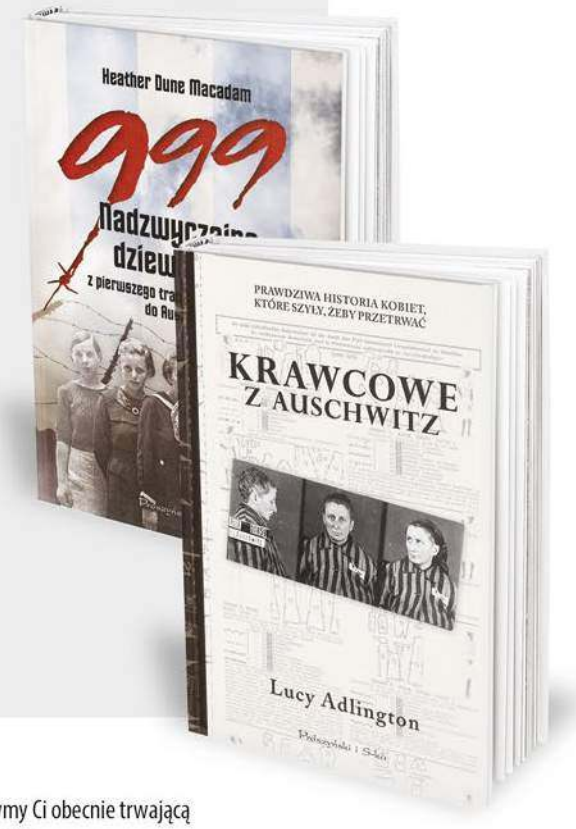
+ W PREZENCIE KSIĄŻKI HEATHER DUNE MACADAM: „999 NADZWYCZAJNE DZIEWCZYNY Z PIERWSZEGO TRANSPORTU KOBIECEGO DO AUSCHWITZ" ORAZ LUCY ADLINGTON: „KRAWCOWE Z AUSCHWITZ"

999 Nadzwyczajne dziewczyny z pierwszego transportu kobiecego do Auschwitz

Pierwszy kobiecy transport do Auschwitz był przez długie lata zapomniany. Nie było w nim osób związanych z ruchem oporu ani jeńców wojennych. Były tylko bezbronne młode kobiety, przyzwyczajone do dobrych manier i wygodnego życia, które nagle znalazły się w piekle, w którym je bito, rozbierano do naga, golono, trzymano na wielogodzinnych apelach na mrozie, poddawano drakońskim karom i zaganiano do ciężkiej pracy, często prowadzącej do śmierci. Ta książka przypomina niezwykłą historię pierwszych 999 kobiet, które trafiły do Auschwitz, ich cierpienie, heroizm i wolę przetrwania.

Krawcowe z Auschwitz

W czasie szaleństwa hitlerowskiej zagłady, 23 młode więźniarki Auschwitz-Birkenau uniknęły komór gazowych, projektując i szyjąc modne ubrania dla nazistów. Szwalni założonej przez żonę komendanta obozu, Hedwig Höss, patronowały nie tylko żony oficerów SS, a działalność krawcowych nie ograniczała się jedynie do przerabiania odzieży znalezionej w walizkach ofiar. Zamówienia na wyszukane stroje płynęły nawet z samego Berlina.
Tę pracę wykonywały młode wykwalifikowane więźniarki, w większości Żydówki, które szyły, żeby - dosłownie - żyć. Historia krawcowych z Auschwitz do niedawna pozostawała nieznana. Ich niezwykłe losy opowiada dopiero Lucy Adlington, opierając się przy tym na niepublikowanych wcześniej materiałach i świadectwach.



149 zł

oszczędność 83 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 101deee3b0

Wywiad

Z prof. Włodzimierzem Suleją, znawcą dziejów dwudziestolecia międzywojennego



rozmawia Piotr Włoczyk

Tragedia pierwszego prezydenta

FOT. NAC

eprasa.pl 101deee3b0



Gabriel Narutowicz w drodze do Sejmu na uroczystość zaprzysiężenia FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

PIOTR WŁOCZYK: Jak zareagował Gabriel Narutowicz, gdy dowiedział się, że PSL „Wyzwolenie" chce go wysunąć na kandydata na prezydenta?

PROF. WŁODZIMIERZ SULEJA: Według najważniejszego moim zdaniem świadectwa, czyli wspomnień Józefa Piłsudskiego, Narutowicz był pełen niepokoju, czy rzeczywiście powinien się podjąć tego typu misji. Nie miał wszak dużego doświadczenia politycznego, jeżeli nie liczyć epizodu socjalistycznego w młodości i krótkiego okresu kierowania dwoma ministerstwami. Nawiasem mówiąc, to ciekawe, że każdy z prezydentów II RP miał na swoim koncie taki młodzieńczy epizod socjalistyczny. Narutowicz zaledwie cztery lata wcześniej przyjechał do Polski po wieloletnim pobycie w Szwajcarii. Podobnie postąpiło wielu polskich naukowców, którzy wracali z emigracji, by budować wyzwoloną ojczyznę.

Generalnie jednak trzeba przyznać, że zrozumienie wszystkich najważniejszych problemów, z którymi borykała się wówczas Polska, sprawiało mu pewną trudność. Ten naukowiec całe swoje dorosłe życie spędził w końcu na obczyźnie… Ale mimo wszystko Narutowicz miał głęboko zakorzenione poczucie służby i odpowiedzialności za losy ojczyzny. Żywił obawy co do swoich kwalifikacji politycznych, ale nie uchylał się od odpowiedzialności. Jak widać, pierwszy polski prezydent na pewno nie był typem karierowicza.

Dlaczego Józef Piłsudski nie zdecydował się kandydować?

Piłsudski był oczywiście naturalnym kandydatem na prezydenta w tamtym czasie. Nikt inny nie miał tak silnej pozycji politycznej jak on. Jednak zważywszy na fakt, że prerogatywy prezydenta były ograniczone, Marszałek absolutnie wykluczał kandydowanie na ten urząd. Nie chciał władzy, która była fikcyjna, i zupełnie otwarcie o tym mówił. Dlatego poszukiwano kogoś innego, kto w tamtych ramach konstytucyjnych będzie chciał funkcjonować jako głowa państwa.

Narutowicz przekonywał Marszałka do kandydowania.

Takich głosów było bardzo wiele. Piłsudski był w końcu Naczelnym Wodzem, Naczelnikiem Państwa, miał wprawę w rządzeniu. Był zwierzęciem politycznym. Patrząc na jego konkurentów z tamtego okresu, polityków tego formatu właściwie w Polsce nie było. Marszałek jednak ani myślał kandydować, stwierdzając, że nie chce być „malowanym" prezydentem.

Przyszły prezydent nie rozumiał, że nie ma co przekonywać do tego Piłsudskiego, ponieważ ta funkcja była dla niego zbyt „mała"?

Trudno powiedzieć. Być może Narutowicz patrzył na to idealistycznie – Piłsudski był przecież w tamtych okolicznościach wręcz stworzony do pełnienia funkcji głowy państwa i byłaby to naturalna kontynuacja. Narutowiczowi nie można jednak odmówić inteligencji, więc być może, wiedząc, jak skutecznym politykiem jest Piłsudski, uważał on, że Marszałek skutecznie „rozepchnąłby" ograniczające prezydenta ramy prawne.

Jak wiele zależało w ówczesnym systemie rządów od głowy państwa?

Prezydent był zwierzchnikiem sił zbrojnych, reprezentował majestat Rzeczypospolitej, ale generalnie w świetle konstytucji marcowej z 1921 r. uprawnienia miał niewielkie. Konstytucję ułożono właśnie pod kątem obaw przed prezydenturą Piłsudskiego, dlatego prerogatywy głowy państwa były tak szczupłe. Ciężar władzy zdecydowanie spoczywał po stronie parlamentu oraz rządu. Prezydent miał pewien wpływ na rządzenie, m.in. poprzez desygnowanie premiera, ale jednak szef rządu musiał mieć zapewnioną większość parlamentarną, inaczej wskazanie przez prezydenta nic realnie nie oznaczało.

Czyli walka o prezydenturę była w znacznej mierze symboliczną bitwą?

Nie powiedziałbym tak. Potem okazało się w praktyce politycznej, że rola prezydenta rosła, gdy trzeba było szukać parlamentarnej większości dla różnych spraw.

Z wielkich politycznych nazwisk tamtych lat nie tylko Józef Piłsudski nie chciał kandydować na prezydenta.

Tu jednak przede wszystkim chodziło o Piłsudskiego, choć oczywiście Roman Dmowski także nie brał takiej opcji pod uwagę. Można powiedzieć, że rasowy polityk, który wiedział, czym jest prawdziwa władza, w tamtych okolicznościach siłą rzeczy nie był zainteresowany funkcją prezydenta RP.

Druga z partii chłopskich, PSL „Piast", wysunęła kandydaturę Stanisława Wojciechowskiego zamiast Wincentego Witosa. Dlaczego?

Ponieważ Witos był przekonany, że jego szanse na wybór są iluzoryczne. Trzeba przy tym wiedzieć, że Witos nie był politykiem, który startowałby w wyborach, w których nie ma szans. I dlatego „Piast" postawił właśnie na Wojciechowskiego. Doszło do tego z pewną aprobatą ze strony Marszałka. Byli to w końcu bliscy współpracownicy w czasach PPS-owskich. Piłsudski wraz z Wojciechowskim drukowali i kolportowali „Robotnika".

W gruncie rzeczy wśród pięciu nazwisk naprawdę poważnymi kandydatami wydawali się Maurycy Zamoyski, cieszący się poparciem endecji,

eprasa.pl 101deee3b0

oraz właśnie Stanisław Wojciechowski, reprezentujący silną partię chłopską, który jednak blokowany był przez drugie ugrupowanie chłopskie – PSL „Wyzwolenie". Ignacy Daszyński, Gabriel Narutowicz oraz Jan Baudouin de Courtenay mieli jedynie zademonstrować polityczną obecność tych grup parlamentarnych, które wysunęły te kandydatury. Wszyscy spodziewali się, że ostateczna batalia zostanie stoczona między Zamoyskim a Wojciechowskim.

Dlaczego endecja wysunęła akurat kandydaturę Maurycego Zamoyskiego?

Było to na swój sposób logiczne posunięcie ze strony tego środowiska. Zamoyski był bowiem człowiekiem niezwykle zasłużonym dla sprawy polskiej.


NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 4875 — Mk. z przes. 4940 — Mk. Półrocznie 9880 — Mk. Rocznie 19760 — Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)
Telefon Nr. 479.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego za stc. ostatniej Mp. 100., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 300.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.
Numer pojedynczy 400 Marek.
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.
Rok XIX. Kraków, 30 grudnia 1922. Nr. 47.

Pogrzeb pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej

Zwłoki ś. p. prezydenta Narutowicza w trumnie.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jego przeciwnicy z lewej strony sceny politycznej wytykali mu jednak majątek, którego trzonem było 190 tys. ha ziemi...

Tak, wielkim politycznym „nieszczęściem" Zamoyskiego było to, że był on niezwykle majętny, a należąca do jego rodziny Ordynacja Zamojska obejmowała olbrzymie tereny i była największą w Polsce. Te głosy pomijały jednak fakt, że Zamoyski gospodarzył majątkiem z wielką korzyścią dla Polski. Praktycznie on sam finansował działalność Komitetu Narodowego Polskiego. Trzeba było jednak uwzględniać szerszy kontekst polityczny. Postawienie na największego właściciela ziemskiego w momencie, gdy zamierzano przeprowadzić reformę rolną, było z punktu widzenia pragmatyki politycznej rozwiązaniem fatalnym. Endecja zdawała sobie z tego sprawę i Witos również to rozumiał. I nawet przy wszystkich sympatiach Witosa, któremu było zdecydowanie bliżej do narodowej demokracji niż do innych ugrupowań, nie mógł on zaakceptować tej konkretnej kandydatury.

Dlaczego więc endecja popełniła na samym starcie ten strategiczny błąd?

Powiedziałbym, że był to raczej taktyczny błąd ze strony narodowej demokracji. Politycy tego ugrupowania byli po prostu przekonani, że mimo wszystko uda się przeciągnąć na swoją stronę ludowców z PSL „Piast". Endecja ewidentnie nie doceniła, jak dużą rolę odgrywają kwestie wizerunkowe wokół Zamoyskiego.

Czym się różnił wtedy jeden PSL od drugiego?

„Piast" miał pochodzenie galicyjskie, Witos był przecież chłopem spod Tarnowa. Miał on obycie parlamentarne jeszcze z czasów Sejmu Galicyjskiego. PSL „Wyzwolenie" było z kolei partią królewiacką, ale w zasadniczej sprawie – konieczności przeprowadzenia reformy rolnej – nie było między nimi większych różnic. Ta zbieżność przeważyła na korzyść Narutowicza.

Jak wyglądała ostateczna rozgrywka wokół kandydatów?

Na mocy konstytucji marcowej prezydenta wybierało Zgromadzenie Narodowe, czyli połączone izby Sejmu i Senatu. W sumie 555 parlamentarzystów. Emocje były tak wielkie, a stawka tak wysoka, że w głosowaniach nie brało udziału zaledwie 10 posłów i senatorów – zupełnie znikoma liczba. To pokazuje, o co toczyła się ta gra. Do zgłoszenia kandydatury potrzeba było 50 parlamentarzystów, ale by wygrać, trzeba było mieć większość bezwzględną, czyli 50 proc. i jeden głos.

Do omówienia pozostało nam jeszcze dwóch kandydatów. Ignacy Daszyński był kandydatem socjalistów. Był to świetny mówca, parlamentarzysta z olbrzymim doświadczeniem sięgającym jeszcze czasów monarchii austro-węgierskiej, gdzie reprezentował swoją partię – Polską Partię Socjalno-Demokratyczną Galicji i Śląska. Daszyńskiego obciążała jednak jego lewicowość. Był to „bagaż" równie ciężki jak fortuna Zamoyskiego. Ostatnia kandydatura to Jan Baudouin de Courtenay – wybitny językoznawca, bez wątpienia człowiek z wielką klasą.

Śmiano się jednak wówczas w Polsce, że kandydat z takim nazwiskiem nie może zostać pierwszym polskim prezydentem...

Rzeczywiście, byłoby to dosyć egzotyczne. Baudouin de Courtenay był kandydatem mniejszości i podobnie jak Narutowicz nie miał wiele wspólnego z polityką. Na starcie wyborów miał jeszcze mniejsze szanse niż Narutowicz z powodu łatki, którą bardzo łatwo było mu przyczepić: kandydat niepolski.

Pierwsza odsłona walki o prezydenturę rozpoczęła się od znaczącej przewagi Zamoyskiego. W pierwszej turze dostał on 222 głosy. Drugie miejsce zajął Wojciechowski, a trzecie Baudouin de Courtenay. Narutowicz nie znalazł się nawet na podium w pierwszym głosowaniu!

Możemy chyba śmiało zakładać, że przyszły prezydent mógł być bardzo zadowolony z zajęcia tak dalekiego miejsca?

Bez wątpienia nie zmartwił go taki wynik głosowania. W drugiej turze socjaliści przerzucili jednak swoje głosy na Wojciechowskiego, a z kolei mniejszości narodowe zrezygnowały z popierania Baudouina de Courtenay i opowiedziały się za Narutowiczem. Następnie doszło do głosowań, w których odpadał ten

eprasa.pl 101deee3b0

kandydat, który zdobył najmniej głosów. W ten sposób wyeliminowani zostali Daszyński i Baudouin de Courtenay. Dochodzimy teraz do kluczowego momentu. Na placu boju zostają Wojciechowski, Zamoyski i Narutowicz. Narodowi demokraci wykonują wówczas „chytrą" zagrywkę – uznali, że należy wyrzucić z gry kandydata ludowców spod znaku „Piasta" po to, by zmusić ich do poparcia Zamoyskiego. Zrobili to w bardzo prosty sposób, przerzucając część swoich głosów na Narutowicza. Efekt był taki, że w ostatniej turze mieli się ze sobą zetrzeć Narutowicz i Zamoyski.

Jakie nastroje panowały wówczas na sali posiedzeń?

Generalnie mogło się wydawać, że wygra kandydat endecji, ponieważ „Piast", zgrzytając zębami, mimo wszystko poprze Zamoyskiego. Doszło jednak do wielkiej niespodzianki. Parlamentarzyści „Piasta" nie oddali głosów na polityka, który był im bliższy politycznie. Realizacja programu ludowców, którzy chcieli dać chłopom ziemię, stała w sprzeczności z głosowaniem na największego – jak to wtedy mówiono – obszarnika i to zaważyło ostatecznie na ich decyzji. Dlatego w ostatniej turze „piastowcy" w zdecydowanej większości oddali głosy na Narutowicza. W sumie zdobył on 289 głosów. Zamoyski z kolei mógł liczyć jedynie na głosy Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej. Narutowicz został więc niespodziewanie prezydentem. To była polityczna sensacja.

Atmosfera na sali musiała być wtedy iście filmowa...

Dokładnie tak. Zostało to zresztą świetnie pokazane w doskonałym filmie „Śmierć prezydenta" Jerzego Kawalerowicza.

Piłsudski nie miał chyba dobrych przeczuć, jeżeli chodzi o prezydenturę Narutowicza.

Bał się, że Narutowicz może sobie nie poradzić, ale jednak nie postawił sprawy jednoznacznie. Gdyby bowiem Marszałek powiedział Narutowiczowi, by nie kandydował, to tak by się stało. Przyszły prezydent bardzo liczył się ze zdaniem Józefa Piłsudskiego.

Jak już wspomniałem, Narutowicz był człowiekiem o wielkiej klasie, ale nie był rasowym politykiem. To była postać innego formatu, człowiek, który nie był gotowy na gry polityczne. Chociaż z drugiej strony jego pomysły na rządy wyglądały całkiem obiecująco. Narutowicz chciał powierzyć konstruowanie gabinetu ludziom z politycznego „środka". Gdy okazało się, że wskazywany przez niego polityk centrum Ludwik Darowski nie zdobędzie wymaganego poparcia, wysunął Leona Plucińskiego. Polityk ten był związany z endecją i bardzo się zasłużył w 1919 r. w kontekście formowania ochotniczej Armii Wielkopolskiej. Z kolei resort spraw zagranicznych chciał powierzyć swojemu kontrkandydatowi Maurycemu Zamoyskiemu. Był to dla niego ważny resort, ponieważ Narutowicz sam był szefem MSZ w trzech kolejnych gabinetach. Nowo wybrany prezydent planował też obsadzenie zbliżonego politycznie do narodowej demokracji



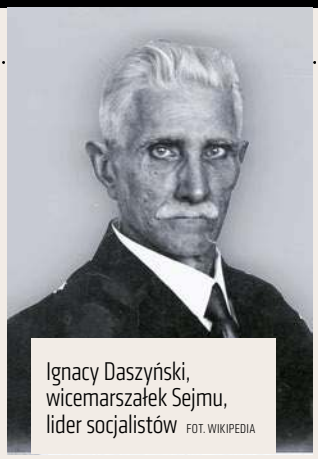
Wyprowadzenie ciała zamordowanego prezydenta z gmachu Zachęty FOT. NAC

eprasa.pl 101deee3b0

Władysława Grabskiego na stanowisku ministra skarbu. Zadanie polityczne, które przed nim stało, przypominało kwadraturę koła, zważywszy na głębokie podziały w Sejmie i rozdrobnienie głosów. Ciężko jednak mówić o jego rządach, ponieważ trwały one zaledwie tydzień.



Maurycy Zamoyski, kandydat prawicy na prezydenta FOT. WIKIPEDIA



Ignacy Daszyński, wicemarszałek Sejmu, lider socjalistów FOT. WIKIPEDIA

Endecja uważała się za partię większości, której prezydent się po prostu należy?

Tak, ale trzeba to uzupełnić – większości polskiej. Pojawił się bowiem pomysł, by wyraźnie rozróżniać te kwestie. „We własnym domu powinniśmy sami rozwiązywać nasze problemy" – tak stawiała sprawę endecja. Posłowie w tej wizji dzielili się na tych, którzy mieli prawo wypowiadać się w sprawach polskich, i tych, którzy takiego prawa nie mieli. Prawica odmawiała Narutowiczowi urzędu, ponieważ jej zdaniem został on wybrany głosami posłów niepolskich.

Patrzymy na te wydarzenia przede wszystkim z perspektywy Warszawy. Wybór Narutowicza był szokiem z punktu widzenia prawej strony sceny politycznej. Nagonka, która się wokół niego zaczęła, była bardzo drastyczna i daleko idąca. Pojawiały się nawet argumenty, że jest to „kandydat żydowski". Był to oczywiście nonsens. Rzeczywiście poparły go mniejszości, ale nie tylko. Zresztą Stanisława Wojciechowskiego, czyli jego następcę, wybrano niemal tymi samymi głosami. Różnice były minimalne. Prawica próbowała poprzez nagonkę wymusić na Narutowiczu wycofanie się.

Jego przeciwnicy czuli, że to nie jest polityk mający „grubą skórę"?

Tak, oceniano, że jest dosyć miękki i pod wpływem presji nie obejmie urzędu. Gdy jednak to nie następowało, próbowano nie dopuścić do zaprzysiężenia. Sceny, które widzimy we wspomnianym filmie „Śmierć prezydenta", bardzo dobrze pokazują tę kampanię. Między wyborem a zaprzysiężeniem doszło do takiej fali nienawistnych ataków, że człowiek o słabszej psychice mógłby „pęknąć". Narutowicz miał jednak wielkie poczucie obowiązku i w związku z tym wykluczał wywieszenie białej flagi. Skoro już został wybrany, to chciał doprowadzić swoją misję do końca.

Gdzie konkretnie szukać inicjatorów tej nagonki?

To była przede wszystkim Warszawa, gdzie endecja miała przewagę. Pisma brukowe wylewały istne pomyje na głowę Narutowicza. Nie wydaje mi się jednak, że ludzie, którzy nakręcali nagonkę, brali na poważnie pod uwagę scenariusz, który rozegrał się w rzeczywistości.

Mimo wszystko trudno połączyć zabójcę z samą nagonką na Narutowicza. W końcu Eligiusz Niewiadomski chciał początkowo „ukarać" Józefa Piłsudskiego m.in. za to, że wprowadził w Polsce demokrację.

Niewiadomski zrezygnował z planów zabicia Piłsudskiego, kiedy okazało się, że Marszałek nie zamierza kandydować na prezydenta. Uważał, że mordując pierwszego prezydenta, działa w interesie Polski, wykonując swoisty „wyrok dziejowy". Nie jestem psychologiem i ciężko mi tu wyrokować jednoznacznie, ale jednak w literaturze fachowej podkreśla się, że Niewiadomski nie był do końca zrównoważonym człowiekiem...

Jakie były dalsze reperkusje tego morderstwa?

To był szok dla społeczeństwa. W Warszawie przełożyło się to nawet na chęć fizycznego odwetu. Pojawiają się wręcz hipotezy, że środowisko piłsudczykowskie próbowało dokonać czegoś na kształt zamachu stanu. Na to jednak musiałby zezwolić sam Piłsudski. A to nie było jeszcze w jego stylu, to nie był jeszcze rok 1930, kiedy Piłsudski postanowił rozprawić się z opozycją. Początek lat 20. był po prostu innym czasem historycznym. Podzielam jednak tezę, że zabójstwo Narutowicza zmieniło Piłsudskiego, który stopniowo zaczął się radykalizować i sięgał po coraz to bardziej agresywny język. Wcześniej nie zachowywał się w ten sposób i gdy prasa wypisywała o nim nieprawdopodobne rzeczy, zazwyczaj nie reagował, machał na takie ataki ręką. Zabójstwo Narutowicza wiele tu zmieniło.

Czy można postawić tezę, że Niewiadomski zmienił swoim czynem polską politykę?

Mimo wszystko uważam, że nie. Było to spektakularne wydarzenie, ale jednak traktowano to w Polsce generalnie jako niezrozumiały incydent, wyczyn szaleńca. Zresztą Stanisław Stroński, jeden z najbardziej znanych endeckich polityków i publicystów, napisał w reakcji na mord artykuł „Ciszej nad tą trumną!", w którym studził emocje, a nie je rozpalał.

W tej tragedii uderza, że Gabriel Narutowicz mógł się cieszyć spokojnym i dostatnim życiem w Szwajcarii, a jednak wrócił do Polski...

Czuł bowiem, że to właśnie w Rzeczypospolitej są jego korzenie. Narutowiczowie wywodzili się ze Żmudzi. Jego brat żył tam cały czas, nawet był w 1919 r. przewidywany na premiera przychylnego Polsce rządu na Litwie kowieńskiej, który powstałby w wyniku zamachu stanu. To była rodzina głęboko zakorzeniona w kresowej rzeczywistości. Narutowicz przeszedł podobną drogę życiową jak Ignacy Mościcki. Obaj musieli wyemigrować w młodości na Zachód z powodów politycznych. Mościcki był bardzo zdolnym chemikiem, a Narutowicz był cenionym inżynierem, specjalistą w zakresie budowy elektrowni wodnych.

Rzeczywiście, bardzo dobrze mu się żyło w Szwajcarii. Zdobył renomę w swoim zawodzie, realizował się na uczelni i niczego mu nie brakowało. Ale gdy Polska odzyskała niepodległość, Narutowicz wrócił do kraju gnany poczuciem obowiązku, patriotyzmu. Uważał, że Polacy, którzy posiedli pewne kompetencje, mają obowiązek budować siłę swojego kraju i pomagać w rozwoju społeczeństwa.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Włodzimierz Suleja jest historykiem, znawcą dziejów II RP, pracuje w Biurze Badań Historycznych IPN oraz w Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

eprasa.pl 101deee3b0

Prezenty w najlepszym *stylu!*

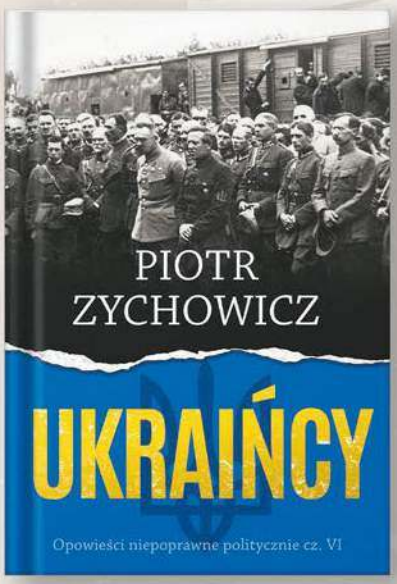
REBIS



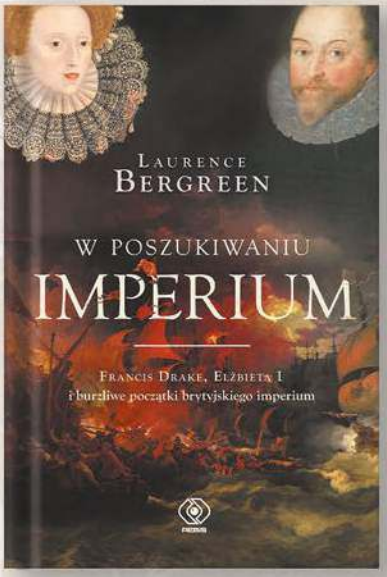
Służby specjalne Rosji w walce o dominację nad światem **1917-2036**



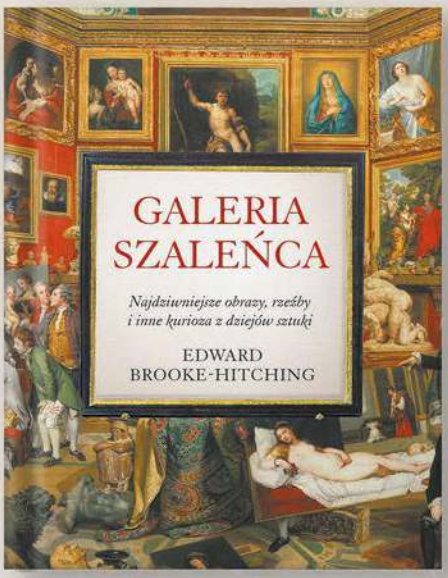
Klęski, katastrofy i nieszczęścia na każdy dzień roku



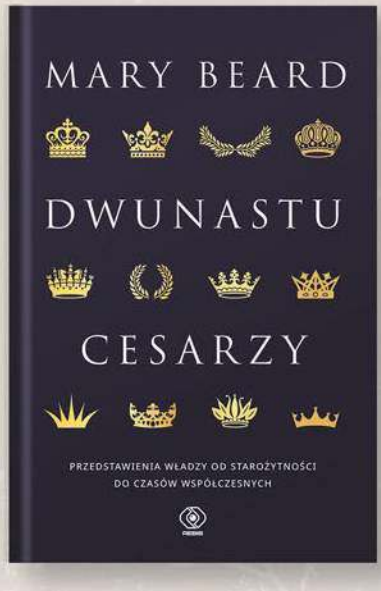
Kolejna część z serii **Opowieści niepoprawne politycznie**



Francis Drake, Elżbieta I i **burzliwe początki brytyjskiego imperium**



Najdziwniejsze obrazy, rzeźby i inne kurioza z **dziejów sztuki**



Fascynująca opowieść o tym, jak wizerunki **rzymskich imperatorów** od przeszło dwóch tysięcy lat wpływają na sztukę, kulturę i reprezentacje władzy

REBIS Dom Wydawniczy Rebis Sp. z o.o. www.rebis.com.pl FB/REBIS



Jakub Ostromęcki

Jeden z protestujących wskoczył na stopień powozu i zamachnął się łagą na prezydenta elekta. Narutowicz wspominał: „Myślałem: czy ty mnie tak spokojnie zabijesz? I zajrzałem w jego oczy – spuścił wzrok i laskę”



9–11 grudnia 1922 r. / Trzy dni endeckiej histerii

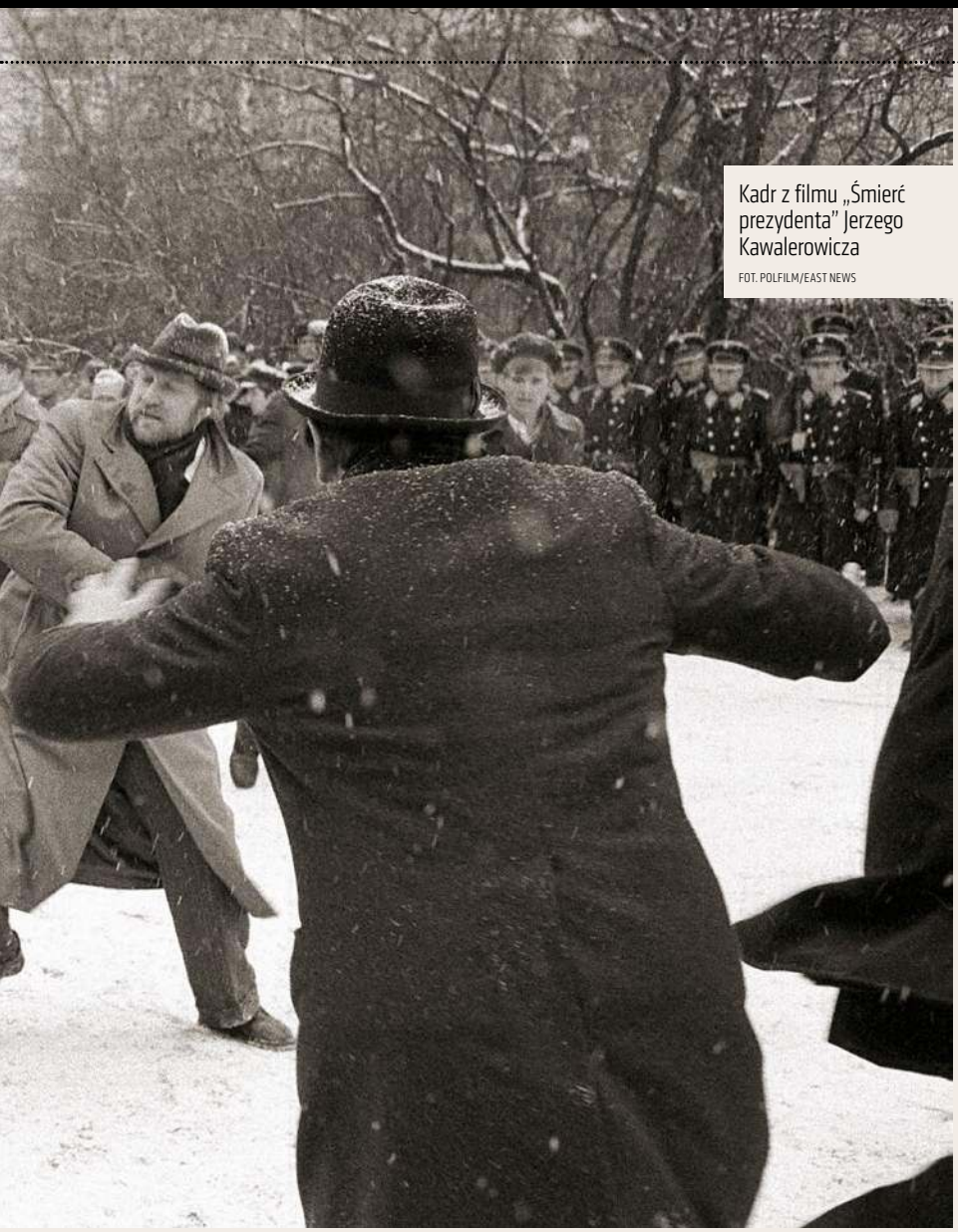
„Precz z wybrańcem Żydów!”

Grudzień roku 1922 był, jak to zwykle u nas, parszywy. Chmurny, śnieżny i wilgotny, przez co zimno było jeszcze bardziej dokuczliwe. 9 grudnia wieczorem wokół klasycystycznego gmachu dawnego Instytutu Szlacheckiego, znajdującego się przy ulicy Wiejskiej, w którym siedzibę miały polskie Sejm i Senat, gęstniał tłum studentów i uczniów. „Precz z Narutowiczem!”, „Precz z wybrańcem Żydów!” – krzyczano. Wznoszono w górę pięści, kije i parasolki. Warszawscy zwolennicy endecji dowiedzieli się właśnie, że posłowie i senatorowie wybrali Gabriela Narutowicza na prezydenta. Zgromadzeni byli przekonani, że będą dziś w nocy świętować zwycięstwo hrabiego Maurycego Zamoyskiego. Minął pierwszy szok i teraz szykowali się do „obrony Polski przed dyktatem Żydów”.

***

We współczesnej Japonii w wielu firmach uważa się, że wykorzystanie w całości zagwarantowanego prawem urlopu jest „niegodne”. Po powrocie należy zatem przebłagać szefa i kolegów podarkami i pamiątkami przywiezionymi z dalekich stron. Prymat swoiście rozumianej etyki nad prawem stanowionym widać było też na warszawskiej ulicy w 1922 r. Nawet najbardziej sfanatyzowany endecki ulicznik nie twierdził, że Zgromadzenie Narodowe złamało prawo, wybierając Narutowicza,

eprasa.pl 101deee3b0



Kadr z filmu „Śmierć prezydenta" Jerzego Kawalerowicza

FOT. POLFILM/EAST NEWS

że złamano jakiś tryb głosowania lub zgłaszania kandydatów, sfałszowano wyniki bądź kandydat w dniu wyborów nie spełniał warunków formalnych. Ważne, że o zwycięstwie Narutowicza, obok ciemnych chłopów i lewicy, zdecydowały mniejszości narodowe, w tym najstraszniejsza z nich – Żydzi. Mowa o tych samych mniejszościach, którym konstytucja, uchwalona raptem w marcu 1921 r., również głosami endecji, nadawała pełne prawa wyborcze. Teraz, gdy mniejszości z owego prawa skorzystały, wybuchła wściekłość.

Spójrzmy na sytuację oczami przeciętnego manifestanta. W czasie zakończonej na początku 1921 r. wojny bolszewickiej Żydzi byli nadreprezentowani w czerwonym aparacie terroru, unikali służby wojskowej, w różny sposób przejawiali nielojalność wobec wojska polskiego. Wśród Żydów były jednak i sytuacje zgoła odwrotne, dało się wskazać całe grupy nastawione patriotycznie i lojalnie. Ulica nie bawiła się jednak w niuanse. Dla zgromadzonej pod Sejmem ciżby Żydzi byli wrogami jako całość. Podobnie ze stosunkiem do Ukraińców – pamiętano krwawą wojnę o Lwów, nie mówiono o Petlurze i Bezruczce.

9 grudnia manifestanci nie zamierzali wdzierać się do Zgromadzenia Narodowego, aby odzyskać „ukradzione" im protokoły czy karty do głosowania, tak jak zrobili to niedawno zwolennicy Trumpa w Waszyngtonie. Chodziło im o coś zgoła innego. Zamierzali nie dopuścić do złożenia przysięgi przez Narutowicza tudzież wymusić na nim, aby nie przyjął wyboru. Wszystko w imię oporu przed dyktatem nie tyle obcych, ile wrogich mniejszości narodowych, których Narutowicz miał być marionetką.

9 grudnia

Wiec przerodził się w pochód, który ruszył spod Sejmu ku Alejom Ujazdowskim. Pod numerem 33 stoi tu nieduża kamienica, zwana Pałacykiem Dziewulskich, w którym dziś mieści się ambasada Bułgarii, a gdzie w roku 1922 mieszkał przejściowo gen. Józef Haller, niekwestionowany bohater narodowy i zwolennik endecji. Tłum chciał obwołać go wodzem. Generał nie stanął na czele ludu, ale wyszedł na balkon i wygłosił krótkie i bardzo treściwe przemówienie. Jego najsłynniejsze fragmenty brzmiały: „W dniu dzisiejszym Polskę, tą, o którą walczyliście, sponiewierano. Odruch wasz jest wskaźnikiem, iż oburzenie narodu, którego jesteście rzecznikiem, rośnie i wzbiera jak fala!".

Pokrzepiony tymi słowami tłum ruszył pod siedzibę endeckiej „Gazety Porannej 2 Grosze" mieszczącej się przy ulicy Zgoda 5. Tu z okna wychyliła się inna, mniej charyzmatyczna postać – poseł i wydawca gazety Antoni Sadzewicz. W przeciwieństwie do Hallera mówił jednak otwarcie: „Najwyższym przedstawicielem Polski ma być człowiek, który jeszcze dwa dni temu był obywatelem szwajcarskim i któremu na gwałt, może już po wyborach na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, sfabrykowano obywatelstwo polskie!". Była to łgarstwo, gdyż Narutowicz miał obywatelstwo polskie nie od dwóch dni, ale dwóch lat. Nikogo ze zgromadzonych prawda jednak nie obchodziła. Ważne, że poseł powiedział to, co tłum chciał usłyszeć. Inna grupka manifestantów próbowała w tym czasie pikietować siedzibę MSZ, rozpędziła ich jednak policja – wyjątkowo, jak na ówczesne realia, zachowała się jak należy. Nadeszła noc. 10 grudnia miał być jeszcze gorszy.

Manifestanci zgromadzili się rano na ulicy 3 Maja – chodzi w tym przypadku o dzisiejszy odcinek Alei Jerozolimskich biegnący od Nowego Światu do mostu Poniatowskiego. Kim był statystyczny uczestnik protestów? Maciej Rataj w swoich wspomnieniach zanotował postać jakiegoś bogacza w futrze, który na ulicy roztaczał przed tępawym

eprasa.pl 101deee3b0



Gabriel Narutowicz po złożeniu przysięgi prezydenckiej

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

dozorcą wizję żydowskiego spisku montowanego właśnie przeciw Polsce. Przeważali jednak studenci i uczniowie (była niedziela). Szczególnie licznie stawili się chłopcy z gimnazjum męskiego im. Zamoyskiego z ulicy Smolnej, gdzie dziś mieści się XVIII LO mające tego samego patrona. Resztę stanowili rzemieślnicy lub drobni przedsiębiorcy, czyli typowy elektorat endecki. Zofia Grabska wspominała o „eleganckich różnego wieku paniach" oraz licznych „kobietach z ludu".

Najbarwniejszy jednak obraz owej ciżby sporządziła Aleksandra Piłsudska, która trafiła w sam środek obcego jej ideowo kłębowiska: „W ścisku nie mogłam się prawie ruszyć. Z jednej strony parła na mnie stara przygłucha chłopka, która bez przerwy pytała, o co chodzi, z drugiej – gruba wielka służąca. Ta ostatnia, z czerwoną twarzą – podrygiwała całym ciałem, wymachując pięściami i krzycząc: »Precz z Narutowiczem, Precz z Żydem!«. Gdy jej zabrakło oddechu, powiedziałam, że znam dobrze rodzinę Narutowiczów; nikt z nich nie pochodzi od Żydów. Ale to był groch o ścianę. Za chwilę znowu zaczęła wrzeszczeć: »Żydzi nie będą nami rządzili!«".

Z 3 Maja pochód, jak poprzednio, dotarł pod mieszkanie Hallera. Tym razem generał powiedział słuchaczom, że muszą wspierać swoich, unikać Żydów, a jeśli chcą coś zmienić, to ich odruch nie może być słomianym ogniem. Sam nie zamierzał jednak owym płomieniem kierować. Po latach w swoich wspomnieniach opublikowanych na emigracji w 1964 r. przedstawiał swoje przemówienie w kompletnie innym świetle. Swoje słowa zrelacjonował tak: „Nikt nie może zaprzeczyć, że wybory były legalnie przeprowadzone, a jeśli chcecie, żeby kiedyś było inaczej, to trzeba na to długiego i mozolnego przygotowania. Nie mogę dać wam żadnych innych wskazówek, jak tylko, że istotnie prezydentem jest Narutowicz, a jeśli macie wątpliwości, to najlepiej idźcie do kardynała Kakowskiego, aby usłyszeć jego opinię".

Hallera srodze zawiodła pamięć albo też po latach ogarnął go wstyd. Jego prawdziwe słowa w 1922 r. relacjonowane były nie tylko przez lewicę, lecz także przez przychylne mu gazety endeckie czy Zofię Grabską, siostrę prawicowego premiera Władysława Grabskiego, która 10 grudnia rano stała pod oknami Pałacyku Dziewulskich.

Eskalacja przemocy

Około południa tłum ruszył pod Sejm, stamtąd na ulicę Fredry koło placu Teatralnego, gdzie wówczas mieściła się ambasada Włoch. Obok znanego i nieco już wyświechtanego „Precz z Żydami!" rozległo się wówczas gromkie „Wiwat Mussolini!". Dość dziwne było to połączenie, ponieważ świeżo wykluty włoski totalitaryzm nie miał antysemickiego zabarwienia. Nie ambasada Włoch była jednak głównym celem pochodu, lecz Hotel Europejski, gdzie wówczas mieszkał Narutowicz. Tu wysłuchano płomiennych mów działaczy proendeckiego stowarzyszenia Rozwój.

O godz. 16 pod siedzibą Rozwoju przy ulicy Żurawiej 2, koło placu Trzech Krzyży, uformował się drugi tego dnia wiec, tym razem pełen weteranów jednostek dowodzonych przez Hallera i Dowbora-Muśnickiego. Przemawiał ks. Kazimierz Lutosławski, jeden z autorów wstępu do konstytucji oraz rot ślubowania poselskiego i przysięgi prezydenckiej. Stworzono rezolucję, która żądała od Narutowicza zrzeczenia się urzędu, a od posłów endeckich zdecydowanej walki z żydowskim jarzmem i żydowskimi roszczeniami. Odśpiewano „Rotę" i ludzkie mrowie ruszyło ponownie w okolicę placu Teatralnego pikietować Hotel Europejski i nieistniejący do dziś pałac Brühla, gdzie mieściło się MSZ, któremu szefował jeszcze przez kilka dni Narutowicz.

Intelektualiści w rodzaju ks. Lutosławskiego nie zdawali sobie wówczas sprawy, że od pochodu odłączają się grupki oprychów, którzy opór wobec żydowskiej dominacji rozumieją jako walkę fizyczną. W Alejach Jerozolimskich i na ulicy Marszałkowskiej tłuszcza ruszyła bić postronnych Żydów. Atakowano ich na chodnikach i w tramwajach. W jednym z nich jechał ks. Seweryn Popławski, proboszcz parafii św. Stanisława Biskupa i Męczennika na robotniczej Woli przy ulicy Bema. Był ubrany w długi czarny płaszcz, więc pałkarze „pomyśleli, że jest Żydem", wyciągnęli go z tramwaju i pobili. Wymierzając razy, zorientowali się w pomyłce i jęli się kajać. Ksiądz odmówił jednak pomocy i zakrwawiony poszedł dalej pieszo.

We wspomnieniach świadków owych wydarzeń, i to o różnych poglądach, takich jak Zofia Grabska czy Maciej Rataj, dominuje jednak cecha wspólna – całkowity brak reakcji policji, która owe bandyckie sceny obserwowała. Nie był to objaw jedynie braku kompetencji, ale celowego działania i braku dobrego przykładu „z góry". Zwierzchnik policji, minister spraw wewnętrznych Antoni Kamieński, działał opieszale, choć od niedzieli wiedział o planach endeckich bojówek. Premier Julian Nowak okazał się zwykłym tchórzem, wymigując się od obowiązkowego towarzyszenia Narutowiczowi w drodze przez Aleje Ujazdowskie. Obu zresztą szybko po zamieszkach

eprasa.pl 101deee3b0

zdymisjonowano. Sami funkcjonariusze, zwłaszcza dowódcy, sympatyzowali zaś z endecją i bez skrępowania stosowali podwójne standardy wobec manifestantów z różnych opcji.

11 grudnia leje się krew

11 grudnia doszło w Warszawie do krwawego apogeum. Od niedzieli na słupach ogłoszeniowych widać było plakaty wzywające wszystkich następnego dnia na plac Trzech Krzyży, aby zablokować budynek Sejmu i nie dopuścić do niego posłów – zwolenników Narutowicza. Prezydent nie może przecież ślubować w pustej sali. W Rozwoju rozdano bojówkarzom pałki, a liderzy grup i agitatorzy dostali broń i transparenty. Szacuje się, że przybyło 15 tys. ludzi – w tym wielu zwykłych gapiów. O godz. 11 rozpoczęła się blokada Sejmu. Policja znów zawiodła, nie próbując jej zlikwidować. Tłuszcza poczynała sobie w najlepsze, legitymując posłów i dziennikarzy, nie przepuszczając ku Sejmowi ludowców, socjalistów i posłów mniejszości.

Bardziej zdeterminowani posłowie i senatorowie zdołali przedrzeć się do pałacu, okupując drogę ranami i siniakami. Ofiarami napaści stało się dwóch Żydów oraz dwóch ludowców. Posłowie PPS Żuławski i Piotrowski wyszli z Sejmu, chcąc pomóc swoim kolegom na placu. Żuławski nie wytrzymał i nazwał bojówkarzy „szczeniakami" – dostał za to mocno w głowę tępym narzędziem, tracąc przytomność; w szpitalu zdiagnozowano wstrząs mózgu. Jeden dziennikarz „wyglądał na Żyda, a zdjęcie miał niewyraźne" – też go pobito. Bojówkarzy próbował powstrzymać tylko jeden policjant – reszta stała bezczynnie i patrzyła.

Do Sejmu nie dotarli wówczas Bolesław Limanowski, Ignacy Daszyński i Rajmund Jaworowski. Tych trzech, uciekając przed endekami, zdołało zabarykadować się w sklepie. O godz. 13.30 Jaworowski, były bojowiec PPS zbratany z warszawskim półświatkiem, wydostał się tylnym wyjściem i pobiegł po pomoc – w odsiecz ruszyła grupa robotników, którzy specjalnie na tę okazję wzięli dzień wolny w fabrykach. Grupa ruszyła Nowym Światem ku placowi Trzech Krzyży, śpiewając „Czerwony sztandar". Przeciw nim ustawiła się tyraliera endeków, śpiewając „Rotę". Rozgorzała bitwa wcale nie gorsza od tych, jakie rozgrywano w Chicago czy Nowym Jorku w czasie kampanii wyborczych czy podczas czerwonej trwogi w roku 1919 r. Nagle rozległ się strzał – nie wiadomo jednak, czy ze strony socjalistów czy narodowców. Obie ekipy rozbiegły się po placu, ale dzięki zamieszaniu do Sejmu przedarli się Limanowski, Daszyński i Jaworowski. Kilkaset metrów dalej doszło do kolejnej strzelaniny. Działacz PPS Kałuszewski padł zabity strzałem w głowę, a ranny został sam Tadeusz Hołówko.

Bójki rozgorzały też w Sejmie. Oszalali z wściekłości socjaliści zaczęli rzucać się z pięściami na endeków, z których spora część, choć przeciwna Narutowiczowi, potępiała ekscesy bojówkarzy. Walczących rozdzielał marszałek Rataj. Socjaliści szturmowali sale zajmowane przez kluby narodowe, na co niektórzy endecy zaczęli już sięgać po broń. Na szczęście tym razem obyło się bez ofiar.


Precz z faszyzmem!
Precz z endecką zdradą narodową!

Dla cara ukłony — dla Polaków, — dla 1-go Prezydenta wolnej Polski brauningi!

Stefan Żeromski — największy pisarz Polski pisał o endekach, że chodzili do katów Narodu Polskiego

„po zezwolenie tłumienia rewolucji, chełpili się publicznie, że przelewali krew bratnią i zapowiadali wojnę domową".

Czy słowa te, płynące z pod pióra najczujniejszego strażnika narodowego sumienia i odnoszące się do endeckich upiorów polskiego życia 1906 roku utraciły dziś cokolwiek ze swej straszliwej wymowy?

Czy nie dadzą się zastosować i do dzisiejszej działalności endeckiej?

Nakładem O. K. R. P. P. S. Kraków-miasto, Kraków, Aleja Krasińskiego 16. Drukarnia Związkowa w Krakowie.

Ulotka wydana przez Polską Partię Socjalistyczną

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Z dala od placu Trzech Krzyży, jak w niedzielę, bojówkarze polowali na Żydów. W tramwaju linii 9 na Krakowskim Przedmieściu napadli emerytowanego przedsiębiorcę Wilhelma Meyera, biorąc go za Żyda. Bili go pałkami po głowie, wyrzucili z tramwaju, w wyniku czego staruszek uderzył głową w słup. Wdział to policjant i zachował się w typowy dla ówczesnych dni sposób, ograniczając swoją interwencję do odprowadzenia rannego do szpitala.

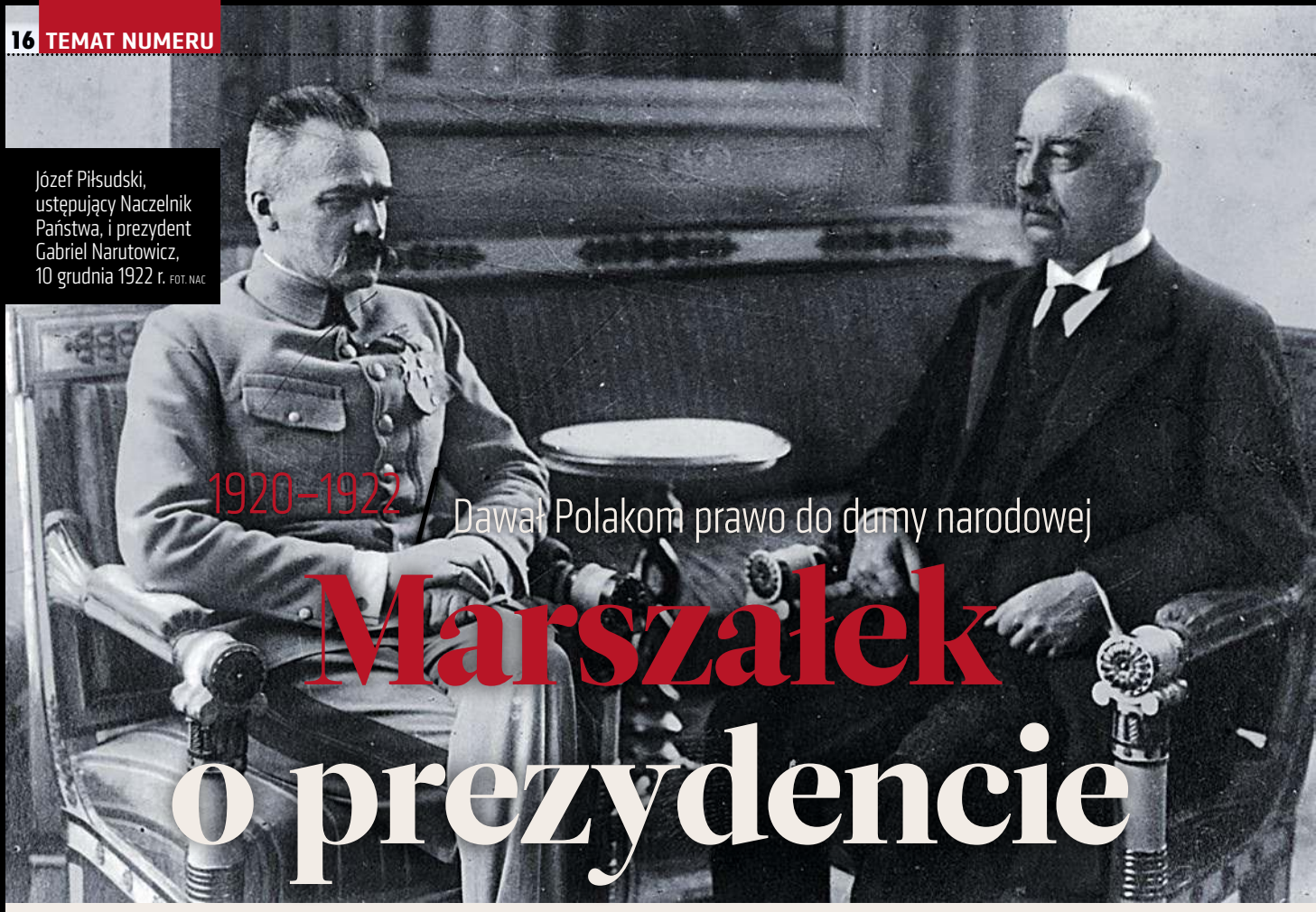
W tym samym czasie powóz z Narutowiczem ruszył z Łazienek w eskorcie szwoleżerów. Wzdłuż całej trasy przejazdu stał tłum nieszczędzący złorzeczeń, wyzwisk w znanym już antyżydowsko-zdradzieckim tonie. Tłuszcza rzucała śnieżkami, kilkoma oberwał prezydent, ale mniej szczęścia miał woźnica, w którego ktoś cisnął cegłówką. Na rogu ulicy Pięknej i Alei Ujazdowskich studenci ustawili barykadę z ławek. Policja oczywiście nie raczyła jej zlikwidować, musiała więc to uczynić szarża szwoleżerów.

Gdy powóz zwolnił, by wjechać w wyrwę w barykadzie, na jego stopień wbiegł jakiś protestujący i zamachnął się lagą na prezydenta. „Myślałem: czy ty mnie tak spokojnie zabijesz? I zajrzałem w jego oczy – spuścił wzrok i laskę" – wspominał to zdarzenie Narutowicz. Dopiero wtedy policja otrząsnęła się na chwilę z letargu i naparła na tłum, salutując jednocześnie prezydentowi. Powóz dotarł pod Sejm spóźniony raptem o 30 minut. Okolice pacyfikowało już wojsko. Narutowicz ślubował z siniakiem na głowie i cały mokry od śnieżnych piguł.

12 grudnia Warszawa była już w miarę spokojna. Władze ostrzegły Rajmunda Jaworowskiego, aby nie próbował zachęcać robotników do akcji odwetowych. Ten potraktował sprawę serio i cały dzień objeżdżał Wolę, Pragę i Grochów, pacyfikując nastroje. Lewica w czasie dwudziestolecia międzywojennego skora była to organizowania rozrób nie mniejszych niż endecy, nie ma jednak wątpliwości, że tym razem to nie ona ponosiła winę za akty agresji. Zofia Grabska zanotowała jednak nieco faryzejsko: „Wina jest po stronie tych, którzy narodowo czujące społeczeństwo i młodzież polską zbyt silnie sprowokowali".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 101deee3b0



Józef Piłsudski, ustępujący Naczelnik Państwa, i prezydent Gabriel Narutowicz, 10 grudnia 1922 r. FOT. NAC

1920–1922 / Dawał Polakom prawo do dumy narodowej

Marszałek o prezydencie



Tomasz Stańczyk

Józef Piłsudski namawiał Gabriela Narutowicza, by stanowczo odrzucił propozycję kandydowania na najwyższy urząd w państwie

W czerwcu 1923 r. Józef Piłsudski wycofał się z życia politycznego, zamieszkał w Sulejówku i już w lipcu napisał „Wspomnienia o Gabrielu Narutowiczu". Świadczyło to o tym, że wciąż głęboko przeżywał zamordowanie pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej i postanowił podzielić się z opinią publiczną relacją o swoich spotkaniach z Narutowiczem, oddać hołd jego pamięci.

Rodziny Piłsudskiego i Narutowicza wywodziły się z tych samych stron – ze Żmudzi, były ze sobą spowinowacone. Brat Gabriela, Stanisław Narutowicz, ożenił się z Hanną Billewiczówną, bliską krewną Piłsudskiego.

O Narutowiczu opowiadali Piłsudskiemu przyjaciele i znajomi, którzy mieszkali lub byli przejazdem w Szwajcarii, gdzie Narutowicz studiował na politechnice w Zurychu, budował hydroelektrownie i był profesorem macierzystej uczelni. Marszałek wspominał, że wyrażali się o nim zawsze z szacunkiem z powodu jego uznania wśród cudzoziemców. „Dawał wszystkim innym pewne prawo do dumy narodowej".

Jednak jeden ze znajomych Piłsudskiego określił Narutowicza jako dziwaka, mówiąc, że jeszcze jako student brał udział na swojej uczelni w kursach wojskowych przygotowujących przyszłych oficerów armii szwajcarskiej. „Nie spotykałem się nigdy w tym czasie z Gabrielem Narutowiczem, lecz fakt ten – pisał Marszałek – wywołał w stosunku do niego jakąś bezwiedną sympatię, jakiś mimowolny pociąg". Stwierdzał bowiem, że społeczeństwo polskie było jak najdalsze od podejmowania jakiejkolwiek pracy związanej ze sprawami wojskowymi.

Gdy Piłsudski był Naczelnikiem Państwa, a Narutowicz ministrem robót publicznych (1920–1922), prawie nie mieli ze sobą kontaktu. Piłsudski pochłonięty był sprawami wojny i wojska, a swoją drogą negatywnie oceniał pracę resortu kierowanego przez Narutowicza, choć w tym kontekście nie wymieniał jego nazwiska. Stwierdzał, że robiono olbrzymie plany, chciano likwidować skutki zniszczeń wojennych, ale widział masę przedsięwzięć niezrealizowanych, niedokończonych.

Wiadomo jednak, że Narutowicz był dobrym szefem resortu, przyczynił się bardzo do odbudowy infrastruktury kraju, a niedociągnięcia wynikały z tego, że – niestety – zawodzili podwładni i wykonawcy inwestycji. Niedokończone projekty były natomiast spowodowane brakiem kredytów. Nie było nawet dostatecznych pieniędzy na działalność ministerstwa. Narutowicz pozytywnie

eprasa.pl 101deee3b0

zaskoczył Piłsudskiego, gdy w tej sytuacji zaproponował, by ministerstwo zlikwidować. I wygrał – otrzymał dodatkowe fundusze.

Europejczyk

Zdziwienie Piłsudskiego wywołało mianowanie Narutowicza na jednego z delegatów na konferencję w Genui. Marszałek sądził: „Tak dalekim dotąd był p. Narutowicz od wszystkich burz w szklance wody, które szalały i szaleją u nas przy każdym dotknięciu spraw międzynarodowych: tak dalekim wydawał mi się on od tego licznego u nas grona zawodowych autorytetów w tej dziedzinie, która należała zawsze do najdrażliwszych i do najbardziej delikatnych spraw dla każdego z rządów Rzeczypospolitej".

Jednak gdy delegaci wrócili z Genui, Narutowicz ujął Piłsudskiego spokojną i rzeczową oceną wyników konferencji oraz taką samą analizą stosunków międzynarodowych. „Widać było w każdym niemal słowie, że p. Narutowicz mówi o świecie zagranicznym jak człowiek, który ten świat zna – oceniał Marszałek. – Był on, jak to miałem sposobność zauważyć, człowiekiem, którego bym nazwał Europejczykiem w sposobie ujmowania państwa i jego zadań". Nie uprzedzał się z góry do żadnej opinii, do żadnego zdania, „tak jak gdyby szukał najmniejszego ziarenka prawdy w każdej głowie ludzkiej, w każdej pracy człowieka". W ocenie Piłsudskiego Narutowicz starał się widzieć w ludziach, z którymi pracował, w politykach, tylko dobre strony, starał się usprawiedliwiać ich wady i błędy. Jednak z czasem zaczął zauważać że jest zbyt wielkim idealistą.

W czerwcu 1922 r. Gabriel Narutowicz objął stanowisko ministra spraw zagranicznych. W jego osobie Piłsudski zyskał – co mocno podkreślał – nadzwyczaj lojalnego i dyskretnego współpracownika. „Wyznaję – stwierdzał – że po raz pierwszy w moim urzędowaniu czułem się swobodnie, gdym mógł bez obawy rozplotkowania powtórzyć mu każdorazową swą rozmowę z którymś z przedstawicieli państw zagranicznych".

Gdy Narutowicz dowiedział się, że Marszałek nie zamierza kandydować na urząd prezydenta, zaczął go usilnie, wielokrotnie namawiać, żeby zmienił



Gabriel Narutowicz (drugi z lewej), minister spraw zagranicznych, podczas wizyty w Rumunii, 1922 r. FOT. NAC

zdanie. Uważał, że dla dobra stosunków międzynarodowych Polski konieczna jest ciągłość na stanowisku głowy państwa, a zmiana może wywołać niekorzystne skutki. Narutowicz nalegał tak bardzo, że Piłsudski miał tego dość. „Prosiłem go nieraz, aby zaprzestał dyskusji nad tym przedmiotem, gdyż zaczyna ona mnie drażnić i mogę stracić cierpliwość, i zepsuć swoje z nim dotychczasowe stosunki".

Gdy Gabriel Narutowicz dowiedział się, że PSL „Wyzwolenie" wysunęło jego kandydaturę na prezydenta, był – jak wspominał Piłsudski – przerażony. Marszałek radził mu zrezygnować z kandydowania i otwarcie powiedział Narutowiczowi dlaczego. Uznał, że Narutowicz jako prezydent będzie się zajmował głównie sprawami wewnętrznymi, a do tego zadania „jest najzupełniej nieprzygotowany ze względu na słabą znajomość stosunków polskich, zbyt małe zżycie się z nimi oraz ze względu na zbyt łatwe oceniane stosunków polskich na modłę europejską i stąd prawdopodobieństwo błędów, szkodliwych dla kraju, a niewątpliwie bardzo bolesnych dla niego".

Marszałek jednak tylko w pewnej mierze miał rację. Nie można nie zauważyć, że namawiał Narutowicza do rezygnacji z kandydowania, gdyż miał własnego faworyta – Stanisława Wojciechowskiego – i zamierzał zrobić wszystko, by zwiększyć jego szanse. Powiedział o tym zresztą Narutowiczowi.

Narutowicz zdawał sobie sprawę, że – jak relacjonował jego słowa Piłsudski – chcą na niego włożyć ciężar, co do którego wątpi, czy mu podoła. Piłsudski raz jeszcze radził, by zrezygnował z kandydowania. Rzeczywiście, Narutowicz złożył deklarację, że wycofuje się z wyścigu o urząd prezydenta, jednak zarazem oświadczył, że jeśli kandydatura jego osoby będzie podtrzymywana wbrew jego woli, to pogodzi się z takim obrotem sprawy.

„Narodowa robota"

Narutowicz był wstrząśnięty nienawistną kampanią, z którą się spotkał. Powiedział Piłsudskiemu: „Ma pan rację [...] – to nie jest Europa". Pokazał mu stos listów „pełnych brudu, inwektyw, płaskich dowcipów, gróźb". Gdy Marszałek zapytał, czy Narutowicz odbierał już telefony w tym rodzaju, prezydent zdziwił się, skąd on o tym wie. Usłyszał odpowiedź: „Ależ panie, ja byłem w Polsce Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, więc wszy właziły zewsząd. Zwykłe rzeczy! To »narodowa robota!«".

Radził Narutowiczowi nie przejmować się, bo to najlepszy sposób. Prezydent nie mógł się jednak uspokoić i wołał: „Po co te brudy! Po co te brudy!".

Narutowicz nie wyzbył się jednak „naiwnej wiary w szybką moralną naprawę ludzi", uważał, że za jakiś czas miną namiętności wywołane jego wyborem.

Piłsudski wyznawał, że był ujęty propozycją Narutowicza, by w pałacu belwederskim wskazał swój ulubiony pokój, a on zachowa go bez żadnych zmian: „Tak by on mu o mnie i mojej pracy w Belwederze przypominał".

Mocnym akcentem było zakończenie wspomnień Piłsudskiego o Narutowiczu: „Zginąłeś – pisał Marszałek – od kuli nie wrażej, o której może w dzieciństwie marzyłeś – od kuli rodaków, do których niosłeś swoją ewangelię miłości i pracy. Czy zginąłeś w ten sposób za to tylko, że takim byłeś, czy za to, że z brudem niewoli walczyć nie chciałeś czy nie mogłeś?".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 101deee3b0

Grudzień 1922–styczeń 1923 r. / Chora miłość ojczyzny



Pogrzeb prezydenta Gabriela Narutowicza FOT. GETTY IMAGES

Śmierć prezydenta i proces zabójcy



Tomasz Stańczyk

Eligiusz Niewiadomski zabił z nienawiści. Nie do Gabriela Narutowicza, lecz do socjalistów i Żydów

16 grudnia 1922 r. rano prezydent Gabriel Narutowicz podpisał akt ułaskawienia Ukraińca skazanego przez sąd doraźny na karę śmierci. Stanisław Car, szef kancelarii cywilnej prezydenta, pisał we wspomnieniu o Narutowiczu, że skorzystał z przysługującego mu prawa łaski, „czyniąc zadość wewnętrznej potrzebie rozpoczęcia swoich rządów od aktu przebaczenia".

Przed południem prezydent złożył wizytę arcybiskupowi warszawskiemu, kard. Aleksandrowi Kakowskiemu. W swoich pamiętnikach kardynał stwierdzał, że Narutowicz – który był u niego także dzień wcześniej – mówił o swoim dążeniu do pogodzenia stronnictw, a także o pogróżkach, które otrzymuje. Kardynał był oburzony nienawistną kampanią narodowej prawicy przeciw prezydentowi. Na zakończenie spotkania Narutowicz poprosił kardynała o błogosławieństwo. Prezydent nie wiedział – a może jednak przeczuwał – że będzie to błogosławieństwo in articulo mortis, w niebezpieczeństwie śmierci. Tamtego dnia przed wyjazdem z Belwederu do kardynała powiedział Leopoldowi Skulskiemu, byłemu premierowi

eprasa.pl 101deee3b0





Gabriel Narutowicz FOT. WIKIPEDIA

i towarzyszowi polowań, żeby zajął się jego dziećmi, gdyby coś mu się stało.

Strzały w Zachęcie

W samo południe prezydent przestąpił próg Zachęty; po wystawie oprowadzał go jej wiceprezes, malarz Edward Okuń. Poetka Kazimiera Iłłakowiczówna rozmawiała w tym czasie z kolegą z MSZ, malarzem Janem Henrykiem Rosenem. Stwierdzili, że nie ma co pchać się do pierwszych szeregów zwiedzających, by być blisko prezydenta. „Ale wśród nas byłby bezpieczniejszy – powiedziała Iłłakowiczówna. – Chciałabym stać tuż przy nim, żeby go w razie czego zasłonić".

Gdy prezydent przystanął przed obrazem Teodora Ziomka „Poranek zimowy", słuchając objaśnień Okunia, Eligiusz Niewiadomski, 53-letni malarz i krytyk sztuki, stojący za Narutowiczem, trzykrotnie strzelił do niego z rewolweru Browning. Prezydent, jak relacjonował Stanisław Car, „spojrzał jakby zdziwiony, mrugnął parę razy, zachwiał się, oparł na ręce i runął na wznak".

Okuń odwrócił się i zobaczył Niewiadomskiego, schwycił go za rękę, a adiutant prezydenta, rtm. Sołtan, wyrwał mu rewolwer. Niewiadomski oświadczył, że do nikogo więcej nie chciał strzelać i oddaje się w ręce policji. Miał „nieruchomą, marmurową twarz, skupioną", jak zauważył Car.

Zrobiło się ogromne zamieszanie, wybuchł popłoch. „Wpadliśmy na górną platformę schodów, którymi w pośpiechu zaczęły się tłoczyć płaczące i krzyczące panie… – opowiadała Iłłakowiczówna. – Roztrącał je p. Rajnold Przeździecki, który spieszył w dół, wołając: »Na miłość Boską, prędzej księdza!«. Panikę wstrzymywać starał się p. Stefan Przeździecki, który skinął na mnie, stojąc w drzwiach: »Niech pani wejdzie. Jeszcze żyje, ale zdaje się, że koniec…«".

Iłłakowiczówna była podczas pierwszej wojny sanitariuszką, ale nie mogła już pomóc. Prezydenta przeniesiono z kanapki, na której się nie mieściło jego ciało, na podłogę. „Uklękłam i oparto go o mnie klęczącą". Głowa prezydenta spoczywała na kolanach Iłłakowiczówny. Prezydent Narutowicz umarł niemal natychmiast, jedna z kul przebiła serce i płuca.

Zabić Piłsudskiego

Proces zabójcy odbył się 30 grudnia 1922 r. w Sądzie Okręgowym w Warszawie. Jedna z pierwszych odpowiedzi Niewiadomskiego na pytania sędziego była sensacyjna. Oświadczył, że pierwotnie planował zabić Piłsudskiego, a ten zamiar powziął pierwszy raz, gdy Naczelnik Państwa utworzył rząd ludowy Moraczewskiego w listopadzie 1918 r. Niewiadomski był także wzburzony demokratycznymi wyborami do Sejmu, zarządzonymi przez Piłsudskiego, gdyż – zdaniem Niewiadomskiego – Sejm ten w połowie był złożony z „analfabetów duchowych", a w jednej czwartej złożony z ludzi stojących „poza granicą polskości i obywatelskości" (Narutowicz miał na myśli głównie mniejszości narodowe); później zaś w zamiarze zabójstwa Piłsudskiego utwierdziło go utrącenie misji utworzenia rządu przez Wojciecha Korfantego.

„Od tej chwili rzecz była postanowiona. Uległo tylko zwłoce jej wykonanie" – stwierdził w sądzie Niewiadomski. Chciał skończyć swoje prace z teorii i historii sztuki.

Niewiadomski nie był pewien, czy Piłsudski będzie kandydował na urząd prezydenta. Ale i tak postanowił „przebić ten balon stronnictw socjalistycznych wydęty popularnością b. Naczelnika Państwa". A socjalizmowi, zarażonemu – jak się wyraził – przez Żydów „jadem moralnym", przypisywał rozkład duchowy Polski, nienawiść do ojczyzny i uczuć narodowych.

eprasa.pl 101deee3b0

Józef Piłsudski miał zginąć 6 grudnia 1922 r., podczas otwarcia wystawy w Kamienicy Baryczków. Jednak w przededniu Niewiadomski przeczytał gazetę z informacją, że Marszałek nie będzie kandydował. Niewiadomski mówił w sądzie, że doznał wówczas sprzecznych uczuć.

Z jednej strony odczuł ulgę, że nie musi zabijać człowieka „osobiście dobrego, szlachetnego i niepozbawionego rysów bohaterskich". Z drugiej strony czuł gorycz, że Piłsudski – którego oskarżał o bycie twórcą „Judeo-Polski" – będzie nadal żył i odgrywał ważną rolę polityczną. Ostatecznie uznał, że zabójstwo Piłsudskiego byłoby pozbawieniem życia tylko osoby, a jego idee i jego duch pozostałby i triumfował. Co więcej, uznano by taki mord za czyn szaleńca, który, zamiast wzmocnić ideę narodową, byłby jej zadał cios.

Mecenas Franciszek Paschalski, oskarżyciel prywatny, pytał o motywy zabójstwa prezydenta. Niewiadomski odpowiedział, że jego czyn był walką o polskość, a Narutowicz padł ofiarą sejmowych i partyjnych machinacji, gdyż lewica i Żydzi „stojący na czele jawnych wrogów państwa" postanowili wybrać człowieka mającego być narzędziem w ich rękach.

Co do Gabriela Narutowicza powiedział, że istniał dla niego nie jako człowiek, lecz jako symbol sytuacji politycznej, w której znalazła się Polska, jako symbol hańby. „Tę hańbę moje strzały starły z czoła żywej Polski". Oskarżony twierdził, że nie kierował się partyjną zaciekłością, lecz sumieniem i zelżoną godnością narodu.

Z wyjaśnień Eligiusza Niewiadomskiego przed sądem wynika, że kampania nienawiści nie miała żadnego wpływu na podjęcie decyzji o zabójstwie prezydenta – o czym mówiono i wtedy i o czym mówi się teraz. Niewiadomski miał tę nienawiść – do socjalistów i Żydów – już od dawna w sobie. Nie musiał czytać artykułu Stanisława Strońskiego zatytułowanego „Zawada", by uznać, że tą zawadą, a raczej symbolem hańby – jak mówił – jest prezydent Narutowicz.


Nr. 345 (1817). Warszawa, Niedziela 17 Grudnia 1922 roku. Rok XXVIII.

Niech żyje rząd robotniczy i włościański!

ROBOTNIK

CENTRALNY ORGAN P.P.S.

PROLETARJUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!

NIECH ŻYJE SOCJALIZM!

Zamordowanie Prezydenta Rzeczypospolitej.

Wczoraj o dwunastej w południe podczas otwarcia dorocznego Salonu w gmachu Zachęty Sztuk Pięknych do obecnego na uroczystości PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ NARUTOWICZA padły trzy strzały. Prezydent padł śmiertelnie raniony i po kilku minutach skonał. Zabójca, malarz Eligjusz Niewiadomski, został zatrzymany.

Pierwszy Prezydent.

Dzisiejszy numer zawiera 16 stron.

Kurjer Polski

№ 345. WARSZAWA. Rok XXV.

Niedziela 17 Grudnia 1922 r.

ZAMORDOWANIE PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ GABRJELA NARUTOWICZA.

OBWIESZCZENIE!

Niepoczytalna ręka dokonała dnia 16. grudnia ohydnego mordu na osobie najwyższego dostojnika Rzeczypospolitej

Pana Prezydenta Narutowicza.

Sprawca został ujęty i poniesie zasłużoną karę. Obowiązki Prezydenta Rzeczypospolitej objął zastępczo w myśl art. 40 Konstytucji Marszałek Sejmu pan

Maciej Rataj.

Wszystkie władze nadal sprawują swe

(—) Minister Darowski

Kierownik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych

Warszawa, dn. 16. grudnia 1922 r.

Pierwsze strony gazet z 17 grudnia 1922 r. i obwieszczenie o przejęciu obowiązków prezydenta przez marszałka Sejmu FOT. DOMENA PUBLICZNA

Anarchiczny czyn

Prokurator Kazimierz Rudnicki stwierdził, że Niewiadomski nie jest szaleńcem w sensie psychopatologicznym, lecz w tym sensie, że czyn jego nie jest na niczym oparty. Zakwestionował jako motyw zbrodni, podawany przez oskarżonego, panującą w Polsce anarchię, rozkład moralny. Rudnicki zauważał, że anarchia jest tam, gdzie coś się rozpada, a nie się buduje. Tymczasem Polska budowała się i odbudowała, a społeczeństwo „zdało swój egzamin uobywatelnienia, uspołecznienia i ze swej pracy twórczej". Prokurator pytał retorycznie, przeciw czemu swym czynem protestował oskarżony. I odpowiadał: „Przeciw legalnemu czynowi, przeciwko temu, co stało się zgodnie z prawem Rzeczypospolitej". To właśnie jest anarchia – stwierdzał prokurator, dodając, że Niewiadomski mógł przecież protestować legalnie, nawet tak wyraziście jak Rejtan, lub się zastrzelić, gdyby uznał, że nie może żyć pod takimi złymi rządami, jakie opisał. Rudnicki zarzucił Niewiadomskiemu, że „stawia się na piedestale sędziego cnót narodu". Kończąc swe przemówienie, prokurator zażądał kary śmierci, bo nie wyobrażał sobie innego wyroku.

Mecenas Stanisław Kijeński, obrońca Niewiadomskiego, stwierdził, że jego rola jest ograniczona, gdyż Niewiadomski nie chce dla siebie obrońcy – dlatego że „czyn, który spełnił, jest czynem łamiącym prawo, że jako taki przez całe społeczeństwo winien być potępiony, że on, sprawca, jako człowiek, również swój czyn potępia".

Kijeński stawiał retoryczne pytanie, czy człowiek jest w stanie stłumić ból, który go rozsadza. I odpowiadał: „Pan Niewiadomski nie mógł tego bólu, który go rozsadzał, ukoić, w porachunku z tym bólem, może nawet nieświadomie, uległ

eprasa.pl/0adeee3b0



Rozstrzelanie Eligiusza Niewiadomskiego
FOT. ILUSTROWANY KURYER CODZIENNY/DOMENA PUBLICZNA

parciu wewnętrznego nakazu, a wolna wola jego przestała działać".

Dalej mówił obrońca o „okropnych okolicznościach naszego życia", które sam Niewiadomski przedstawił na sali sądowej i które pchnęły go do straszliwego czynu. Podkreślił, że oskarżony był – jak sam mówił – wstrząśnięty tym, że głosy wrogów państwa spowodowały wybór człowieka polskiej mniejszości. I wtedy powiedział sobie: „Dość tego!".

Kijeński, mówiąc o zabójstwie prezydenta, zakończył swą mowę obrończą słowami: „Nie było takiego czynu w Polsce, ale też Polska nie była nigdy w tak wyjątkowych warunkach, w jakich ją widział Niewiadomski. Polska nigdy tak nie była przez obcość chłonięta. Niewiadomski widział, że my na każdym polu jesteśmy wykolejeni, z siodła wysadzani. I oto tragedia czynu jego i jego głęboko kochającego, bolejącego serca". I nie był to czyn zbrodniarza, tylko „człowieka oszalałego z bólu". Na koniec pytał obrońca, komu potrzebna jest śmierć Niewiadomskiego: „Kogo to obudzi? Czy naszą duszę zbiorową? Kto by nam tak mówił, źle by mówił". Kijeński argumentował, że nie ma podstaw do wymierzenia kary śmierci, ale w tym momencie Niewiadomski mu przerwał – nie chciał, by mecenas dalej prowadził swój wywód w tym kierunku.

Chciał śmierci

W ostatnim słowie Eligiusz Niewiadomski powiedział, że gdyby Narutowicz przeszedł większością głosów polskich lub gdyby wyboru nie przyjął, zamachu na jego życie by nie było. Oskarżony protestował przeciw nazwaniu jego czynu skrytobójstwem. „Ja się nie kryłem" – powiedział. Zwracał się do sądu, by nie wydawał łagodnego wyroku, gdyż taki wyrok mógłby być zachętą „dla złoczyńców, których ręce uzbroją i opłacą wrogowie Polski". Gdy bowiem na czele państwa staną „polscy mężowie stanu", nie ulega wątpliwości, że po ich życie sięgnie niejedna, ale 10 uzbrojonych rąk. Podkreślił, że Narutowicz nie był niczemu winien, lecz stał się ofiarą okoliczności, a on – Niewiadomski – spełnił „ciężką rzecz".

Stwierdził, że skoro przepisy dają możliwość wyboru kary dożywotniego więzienia lub kary śmierci, czy nie jest rzeczą słuszną pozostawić wybór oskarżonemu. On już wybrał; uważałby karę bezterminowego więzienia za największą krzywdę moralną dla siebie. A kiedy strzelał do prezydenta, jego siłą moralną było to, że za jego życie odda swoje.



Eligiusz Niewiadomski
FOT. WIKIPEDIA

Po naradzie sąd skazał Niewiadomskiego na śmierć przez rozstrzelanie. W uzasadnieniu stwierdzono, że dopuścił się czynu, który przy braku konsolidacji wewnętrznej Polski mógł wywołać w kraju powszechną anarchię. „Dążenia jednostki do tego, żeby przejawy zbiorowości nie były zaprzeczeniem tego, co jednostka w sumieniu swoim uznaje za dobro i prawdę, mogą być realizowane jedynie na drodze budzenia sumień współrodaków […], lecz nigdy drogą gwałtu, który jest zaprzeczeniem moralnych prawd sumienia. A ich brak musi prowadzić do zaciętych walk i rozkładu".

Eligiusz Niewiadomski nie złożył podania o łaskę do prezydenta Stanisława Wojciechowskiego i zabronił komukolwiek starać się o to. Po wydaniu wyroku Leo Belmont, literat i publicysta, napisał do Wojciechowskiego list otwarty, w którym prosił go o ułaskawienie zabójcy Narutowicza. I nie dlatego, że – jak pisał – Niewiadomski „działał w imię źle pojętej, ale zawsze w imię głębokiej miłości do Polski".

Helmont argumentował, że łaska potrzebna jest nie Niewiadomskiemu – on chce śmierci, chce być męczennikiem – ale wszystkim Polakom. „Wiem z góry – zwracał się do Wojciechowskiego – że Prezydent […] zważy, że krew śp. Narutowicza odepchnęła na razie od siebie mocniej dwa wielkie obozy opinii politycznej i że krew Niewiadomskiego pogłębi czerwoną przepaść między nimi […]. Czyli innymi słowy: akt zemsty państwowej, choćby w najlegalniejszym ferowany porządku, gotuje krzywdy całości narodu polskiego i promieniami jej odbicia uderzy we wszystko, co żyje pod dachem państwowym Polski".

Prezydent Stanisław Wojciechowski nie ułaskawił zabójcy swego poprzednika. Stwierdził, że ani w aktach, ani w sumieniu swoim nie znalazł niczego, co by go skłoniło do takiego aktu.

Gdy 31 stycznia 1923 r. Eligiusz Niewiadomski stanął przed plutonem egzekucyjnym na terenie Cytadeli Warszawskiej, spokojnym głosem powiedział: „Umieram za Polskę, którą gubi Piłsudski".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 101deee3b0

27 października 1917 r. / Rada Regencyjna na tronie



Wkroczenie Legionów do Warszawy 1 grudnia 1916 r. Mal. Stanisław Bagieński

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO/EAST NEWS

Przedsięwzięcie „Niepodległość”



Maciej Rosalak

W przeciwieństwie do naszej endecji umierający Sienkiewicz oraz włoski parlament poparli akt 5 listopada...

Odkończących się w mijającym roku obchodach 100-lecia odzyskania niepodległości przypomniało w końcu października Towarzystwo Pamięci Historycznej „Memoria Restituta”, organizując w archikatedrze warszawskiej pw. Jana Chrzciciela uroczystość z okazji 105. rocznicy intronizacji Rady Regencyjnej jako władzy prawodawczej i wykonawczej Królestwa Polskiego (patent obydwu niemieckojęzycznych cesarzy, zachowujących uprawnienia kontrolne, zyskała 12 września 1917 r.). Miejsce wybrano nieprzypadkowo.



Rada Regencyjna do Narodu Polskiego

POLACY!

POLACY!

† Aleksander Kakowski, Arcybiskup
Józef Ostrowski
Zdzisław hr. Lubomirski

Odezwa Rady Regencyjnej

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Właśnie w tej świątyni 27 października 1917 r., po podniosłej mszy św., trzej regenci Królestwa Polskiego – arcybiskup warszawski Aleksander Kakowski, prezydent Warszawy książę Zdzisław Lubomirski oraz ziemianin i przywódca konserwatywnego Stronnictwa Polityki Realnej Józef Ostrowski – złożyli królewską przysięgę na Boga i ojczyznę „sprawować rządy dla dobra powszechnego, ugruntowania potęgi, niepodległości, sławy, wolności i szczęścia ojczyzny polskiej, dla zachowania spokoju i zgody między obywatelami kraju”. Ceremonia w katedrze miała charakter urzędowy. Po zaprzysiężeniu ruszono z udziałem polskiego wojska na Zamek Królewski, gdzie odbyła się druga, obywatelska część uroczystości.

Wróćmy do tamtego czasu, kiedy kwestia polska wracała na arenę międzynarodową. Na marginesie przypomnijmy kilka kwestii pozornie mało ważnych i luźno wiążących się z tematem, które jednak mogą nie tylko zaciekawić same przez się, lecz także może pozwolą wejrzeć bliżej na kwestię orientacji politycznej Polaków podczas pierwszej wojny światowej.

Olśnienie Ludendorffa

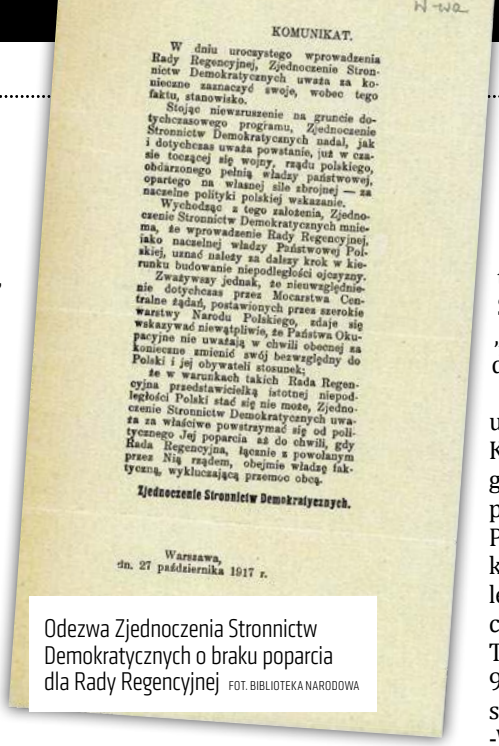
Wiadomość o wybuchu pierwszej wojny światowej, w której nareszcie wszyscy trzej grabarze Polski wzięli się za łby, nasi rodacy przyjęli z nadzieją na odbudowę własnego państwa. W aspek-

eprasa.pl 101deee3b0

cie terytorialnym bardziej obiecujące wydawało się popieranie Rosji walczącej po stronie francusko-brytyjskiej ententy, której zwycięstwo sprzyjałoby połączeniu trzech zaborów choćby w ramach autonomicznego Królestwa Polskiego pod berłem cara. Taka była, ogólnie biorąc, koncepcja prawicowego ruchu narodowego Romana Dmowskiego. Natomiast niepodległościowy program byłego rewolucjonisty Józefa Piłsudskiego, który zakładał odrodzenie Polski z udziałem w zbrojnej walce sojuszu państw centralnych u boku Austrii (wraz Niemcami), był z natury rzeczy bardziej ograniczony. Niemcy nawet słyszeć by nie chcieli o oddaniu Wielkopolski, Pomorza i Śląska.

Pod względem politycznym wysiłki obu ugrupowań od 1914 do 1916 r. przynosiły nikłe rezultaty. Mocarstwa zachodnie w najmniejszym stopniu nie zamierzały zrażać do siebie dysponującego kilkumilionową armią rosyjskiego sojusznika wsparciem programu Dmowskiego. Natomiast monarchia austro-węgierska z roku na rok słabła i stopniowo przechodziła pod dominację II Rzeszy. A w niemieckich kołach politycznych i wojskowych akurat wtedy formułowano program Mitteleuropy, czyli rozciągnięcia tej dominacji od bałtyckiej Zatoki Botnickiej do Morza Czarnego. Wydawało się, że trzy niezwykle waleczne brygady Legionów polskich krwawią na próżno.

Dopiero po upływie przeszło dwóch lat nastąpiły wydarzenia, które zdawały się potwierdzać słuszność pięknie brzmiącego, ale pozbawionego politycznych konkretów wezwania Józefa Piłsudskiego: „W wojnie narodów nie może zabraknąć polskiego miecza…”. Źródłem zmiany stało się latem 1916 r. męstwo naszych legionistów, którzy oparli się pod wołyńską Kostiuchnówką potężnej kontrofensywie Brusiłowa – w odróżnieniu od zmykających w popłochu sąsiednich cesarsko-królewskich oddziałów, węgierskich honwedów nie wyłączając. Ujrzał to nowo mianowany generalny kwatermistrz armii niemieckiej gen. Erich von Ludendorff i olśnił go pewien pomysł, będący zresztą wariantem koncepcji Mitteleuropy. Ludendorff awansował właśnie u boku gen. Paula von Hindenburga, nowego szefa sztabu generalnego. Obydwaj odgrywali w tym czasie wiodącą rolę w wojsku i w państwie.



KOMUNIKAT.

W dniu uroczystego wprowadzenia Rady Regencyjnej, Zjednoczenie Stronnictw Demokratycznych uważa za konieczne zaznaczyć swoje, wobec tego faktu, stanowisko.

Stojąc niewzruszenie na gruncie dotychczasowego programu, Zjednoczenie Stronnictw Demokratycznych nadal, jak i dotychczas uważa powstanie, już w czasie toczącej się wojny, rządu polskiego, obdarzonego pełnią władzy państwowej, opartego na własnej sile zbrojnej — za naczelne polityki polskiej wskazanie.

Wychodząc z tego założenia, Zjednoczenie Stronnictw Demokratycznych mniema, że wprowadzenie Rady Regencyjnej, jako naczelnej władzy Państwowej Polskiej, uznać należy za dalszy krok w kierunku budowanie niepodległości ojczyzny.

Zważywszy jednak, że nieuwzględnienie dotychczas przez Mocarstwa Centralne żądań, postawionych przez szerokie warstwy Narodu Polskiego, zdaje się wskazywać niewątpliwie, że Państwowa Okupacyjne nie uważają w chwili obecnej za konieczne zmienić swój bezwzględny do Polski i jej obywateli stosunek;

że w warunkach takich Rada Regencyjna przedstawicielką istotnej niepodległości Polski stać się nie może, Zjednoczenie Stronnictw Demokratycznych uważa za właściwe powstrzymać się od politycznego Jej poparcia aż do chwili, gdy Rada Regencyjna, łącznie z powołanym przez Nią rządem, obejmie władzę faktyczną, wyłączającą przemoc obcą.

Zjednoczenie Stronnictw Demokratycznych.

Warszawa,
dn. 27 października 1917 r.

Odezwa Zjednoczenia Stronnictw Demokratycznych o braku poparcia dla Rady Regencyjnej FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Istotą pomysłu było zasilenie koalicji niemiecko-austriackiej polskim „mięsem armatnim”, czyli polskimi mężczyznami w wieku od 16 do 45 lat, których w Królestwie Polskim naliczono w spisie ludności (10 października 1916 r.) 1,4 mln. Prawo międzynarodowe zabraniało okupantom wcielania poborowych z okupowanego kraju do własnych armii, ale inną sytuacją byłoby ich wstąpienie na ochotnika do rodzimego wojska. Taki był haczyk. Przynętą na nim miało się stać ogłoszenie restytucji Królestwa Polskiego. Nastąpiło to w akcie cesarzy niemieckiego i austriackiego z 5 listopada 1916 r. Kto miałby zostać królem tego państwa, jaką formę zarządzania w nim zastosować, w jakich granicach się znajdzie – nie określono. Natomiast już 8 listopada władze okupacyjne wydały odezwę werbunkową, a dopiero trzy dni później – przepisy dotyczące dobrowolnego wstępowania do „wojska polskiego”.

Dodajmy, że w sierpniu, tuż po bitwie pod Kostiuchnówką, brygadier Józef Piłsudski zabiegał bezskutecznie – składając nawet podanie o dymisję – u polityków galicyjskich o przekształcenie Legionów w Wojsko Polskie. Za to 20 września wyszło rozporządzenie o uczynieniu z nich Polskiego Korpusu Posiłkowego, wprawdzie pod polską komendą i pod polskimi sztandarami, ale wykonującą rozkazy austriackie. Tydzień później przyjęto dymisję brygadiera. Pisał on: „Niemcy po ogłoszeniu rozporządzenia o Korpusie powiedzieli, że szczegóły należą do nich i położyli na tym swoją rękę”. Istotnie, w kwietniu 1917 r. Austro-Węgry przekazały niemieckim władzom okupacyjnym zwierzchnictwo nad PKP. Nową nazwę – Polska Siła Zbrojna – Polacy używali w formie „Polnische Wehrmacht”, a wstępowanie do tej formacji bojkotowali.

Natomiast w połowie stycznia 1917 r. utworzono Tymczasową Radę Stanu Królestwa jako organ doradczy, przygotowawczy i współdziałający na rzecz przyszłych instytucji państwowych. Piłsudski przystąpił do TRS, kierując komisją wojskową, ale kiedy byłym legionistom kazano przysięgać wierność cesarzowi niemieckiemu – wystąpił. Tych legionistów z Królestwa, którzy 9 lipca 1917 r. odmówili składania przysięgi, internowano, a poddanych Austro-Węgier wcielono do c.k. armii. Nocą z 21 na 22 lipca Piłsudskiego i Kazimierza Sosnkowskiego aresztowano i po kilku innych więzieniach osadzono ostatecznie w twierdzy magdeburskiej. Trzy dni później większość członków TRS podała się do dymisji i działalność Rady zanikła. Pozostawiła projekt patentu dwóch cesarzy o Radzie Regencyjnej.

Polonia redivivus

Godzący w interesy Rosji akt 5 listopada 1916 r. spotkał się po 10 dniach z ostrym protestem rządu rosyjskiego, który ponowił zapewnienie o połączeniu wszystkich ziem polskich w autonomicznym tworze państwowym pod berłem cara. Protest natychmiast wsparły rządy Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch oraz – chcąc nie chcąc – politycy endeccy znajdujący się na Zachodzie. Dmowski wspominał, że jeśli przed aktem 5 listopada polskich polityków traktowano na Zachodzie wyłącznie jako informatorów, to po tym wydarzeniu zaczęto dostrzegać w nich partnerów reprezentujących potencjalnie znaczącą siłę. Zresztą – uwaga! – parlament włoski (odmiennie od rządu) w grudniu wezwał do utworzenia Polski niepodległej.

Natomiast prezydent USA Thomas Woodrow Wilson już 22 stycznia 1917 r. – a więc cały rok przed wysunięciem swych słynnych 14 punktów programu pokojowego! – w orędziu do Senatu mówił: „Mężowie stanu wszędzie są zgodni, że powinna powstać zjednoczona, niepodległa i sama stanowiąca swe prawa Polska”. Nieoczekiwane obalenie

eprasa.pl 101deee3b0

caratu w wyniku rewolucji lutowej 1917 r. i deklaracja rządu tymczasowego księcia Lwowa przyznająca „polskiemu bratniemu narodowi pełne prawo stanowienia o swoim losie według własnej woli" umożliwiły powstanie politycznej reprezentacji Polaków w krajach ententy i tworzenie polskich formacji zbrojnych na froncie zachodnim. Za taką reprezentację uznano Polski Komitet Narodowy z Romanem Dmowskim i Ignacym Paderewskim na czele, a wojsko formowano w trzech dywizjach we Francji, jednej na południu Rosji i jednej na Syberii.

Często przypomina się chłodne przyjęcie przez Henryka Sienkiewicza ułanów Beliny, którzy odwiedzili go w Oblęgorku po wkroczeniu na teren Kongresówki w połowie sierpnia 1914 r. „Idziecie, panowie, z Niemcami, a mnie z wami nie po drodze" – miał mniej więcej stwierdzić wielki pisarz, będący autorytetem dla całego narodu. Wieniawa Długoszowski odniósł jednak wrażenie, że na jego twarzy pojawiło się wtedy „wzruszenie, a zarazem troska głęboka, obawa i niepokój o przyszłość, o losy wojny, która na naszych ziemiach rozgorzała, o Polskę… może i o nas, obszarpanych, obdartych, nielicznych, ale pierwszych".

Krytyczną opinię o walce Legionów u boku Niemców i Austriaków, która prowadzić może jedynie do czwartego rozbioru Polski, Sienkiewicz powtórzył w roku następnym w jednym z listów pisanych z Vevey: „Wystąpienie ich jest politycznym szaleństwem, moje serce jest jednak z nimi, a nawet z ich przywódcami wojskowymi, o których to przynajmniej można powiedzieć, że zamiast obradować bezpiecznie i kłaniać się Austriakom w Wiedniu, nadstawiają głowy w polu i podtrzymują sławę polskiego męstwa".

Zapowiedź przywrócenia Królestwa Polskiego w akcie z 5 listopada 1916 r. spowodowała, że wielki pisarz ujrzał szansę przywrócenia sprawy polskiej na arenę międzynarodową. 14 listopada odmówił wysłannikom obozu narodowej demokracji podpisania protestu wobec tego aktu. Niechęć i obawy wobec planów niemieckich pozostały, ale stwierdził, że jako prezes apolitycznego Komitetu Generalnego Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce musi zachować neutralność. Gdy nalegali – wyprosił ich za drzwi. Tego samego dnia pisał do córki, że deklaracja z 5 listopada to „ogromna i dodatnia zmiana w położeniu… Według mnie nastąpił przełom. Stał się wielki fakt historyczny". Wbrew wyrażonym nadziejom nie spotkał córki podczas nadchodzących świąt „w odradzającym się kraju". Zmarł następnego dnia wieczorem.

Nie wiemy, jak Henryk Sienkiewicz oceniłby wydarzenia 27 października 1917 r., z powołaniem oraz intromisją Rady Regencyjnej. Czy na przemarsz barwnego pochodu patrzyłby oczami Marii Lubomirskiej, żony księcia Zdzisława – jednego z trzech regentów? Pisała wprawdzie, że mąż „wyglądał jak człowiek, który idzie na ścięcie, po raz pierwszy w życiu… twarz miał zoraną bruzdami, starą, siedemdziesięcioletnią, ruchy manekina". Ale zarazem o samej uroczystości pisze jako o wzruszająco pięknej, z hymnami „Boże, coś Polskę…" i „Mazurkiem Dąbrowskiego", wiwatami, salwami armat, powitaniem chlebem i solą, przemówieniami. „Regenci, duchowieństwo, Legiony Polskie, cały barwny pochód, kołyszący się pod jasnym niebem przy dźwiękach narodowej pieśni tworzył jakby żywy, drgający most pomiędzy dawnymi laty a nadzieją przyszłości, budził zamilkłe tony, wypędzał złe duchy".



Regent Józef Ostrowski FOT. NAC



Regent arcybiskup Aleksander Kakowski FOT. NAC



Regent Zdzisław Lubomirski FOT. NAC

Rozpacz poety

Jeśli rację mają ci badacze literatury, którzy opis owego pochodu upatrują w zakończeniu wspaniałego wiersza Jana Lechonia „Piłsudski" z wydanego w 1920 r. zbioru „Karmazynowy poemat" (sam poeta daty napisania wiersza nie uściślił), to wydarzenie z 27 października 1917 r. ujrzymy z ironią i dramatycznym niepokojem Lechonia.

Aż nagle na katedrze zagrali trębacze!!
Mariackim zrazu cicho śpiewają kurantem,
A później, później bielą, później amarantem,
Później dzielą się bielą i krwią, i szaleństwem,
Wyrzucają z trąb radość i miłość z przekleństwem,
I dławią się wzruszeniem, i płakać nie mogą,
I nie chrypią, lecz sypią w tłum radosną trwogą
A ranek, mroźny ranek sypie w oczy świtem.
A konie? Konie walą o ziemię kopytem
Konnica ma rabaty pełne galanterii
Lansjery-bohatery! Czołem kawalerii!
Hej, kwiaty na armaty! Żołnierzom do dłoni!
Katedra oszalała! Ze wszystkich sił dzwoni.
Księża idą z katedry w czerwieni i złocie.
Białe kwiaty padają pod stopy piechocie.
Szeregi za szeregiem! Sztandary! Sztandary!
A On mówić nie może! Mundur na nim szary.

Ów „On" w szarym mundurze to oczywiście Józef Piłsudski, który byłby już wtedy od paru miesięcy osadzony w magdeburskiej twierdzy. Niemcy trzymali go tam do pierwszej dekady listopada 1918 r. Długo później w „Dzienniku" pod datą 8 sierpnia 1951 r. Jan Lechoń zamieścił notatkę: „Stasia Nowicka powiedziała mi, że będę teraz tak pisał jak w roku 1918. To straszna przepowiednia, bo pisałem wtedy z rozpaczą i w rozpaczy, napisawszy Mochnackiego [również zakończony dramatycznie wiersz z „Karmazynowego poematu" – przyp. red.] i Piłsudskiego czułem rozpacz, jakąś klęskę, dopisałem się do beznadziejnego smutku, nie było wtedy mnie – tylko rozdygotane medium, piszące pod dyktandem tajemnych, gnębiących go potęg".

Jeżeli „Piłsudski" byłby świeżym wspomnieniem pochodu z końca października roku poprzedniego (a dlaczego by nie?), to zauważmy, że Lechoń – patriota i sympatyk Józefa Piłsudskiego – aż do drugiej bitwy nad Marną w sierpniu 1918 r. istotnie nie miał powodów do radości. Niemcy znów atakowali na zachodzie, twardo stali na wschodzie, korzystając z szaleństwa rewolucji bol-

eprasa.pl 101deee3b0

szewickiej, która topiła Rosję w morzu krwi nieznanego dotąd barbarzyństwa grożącego objęciem całego świata.

Manifestacja intermisyjna, którą tak pogodnie i radośnie wspominała Maria Lubomirska – w przeciwieństwie do własnego męża, jednego z głównych bohaterów wydarzenia, co to „szedł jak na ścięcie", przewidując klęskę państw centralnych po przystąpieniu do wojny USA – mogła u wrażliwego twórcy wywołać reakcję Stańczyka z obrazu „Hołd pruski" w 1525 r. Matejko obdarzył go poważną, zasępioną twarzą człowieka, który za feerią barwnych szat, błyszczących zbroi i rozwiniętych w triumfie sztandarów widzi być może odleglejszą, upiorną przyszłość polsko-pruskich stosunków. A duma Jagiellonów – potężny dzwon zawieszony zaledwie cztery lata wcześniej na katedralnej wieży Zygmuntowskiej – wcale nie brzmi w uszach Stańczyka radośnie…

Pełna szuflada

Gdyby jednak wiersz „Piłsudski" powstał po 11 listopada 1918 r., to następujące po sobie doniosłe zmiany – budzące ogromny entuzjazm wszystkich polskich patriotów ze wszystkich zaborów i wszystkich ugrupowań – musiałyby diametralnie zmienić również nastrój autora omawianego wiersza. Istotny, przez lata niedoceniany wkład wniosła tu Rada Regencyjna. W ciągu roku istnienia potrafiła zbudować w Królestwie Polskim zręby instytucji państwowych – rządu, samorządów lokalnych i służby konsularnej – oraz przygotowała takie akty prawne, które zanim 1918 r. się skończył, okazały się „jak znalazł" dla Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego. Był np. wśród nich projekt pięcioprzymiotnikowej ordynacji wyborczej (z udziałem kobiet!), opracowany m.in. przez młodego działacza PPS, prawnika Mieczysława Niedziałkowskiego. Wystarczyło wyjąć z szuflady i już w styczniu 1919 r. przeprowadzić wybory.

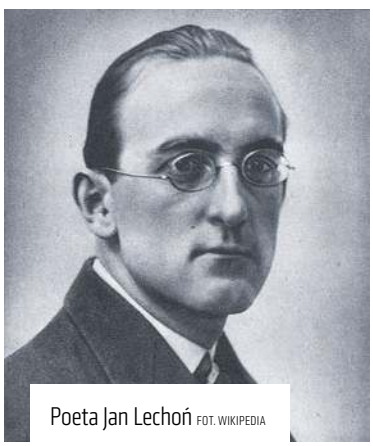
Jesienią 1918 r. historia przyspieszyła i Rada Regencyjna postarała się za nią nadążyć. Aż ku samorozwiązaniu… 7 października proklamowała niepodległość Polski, opierając się na 14 punktach wysuniętych przez prezydenta USA i przyjętych już jako podstawa rokowań pokojowych przez państwa centralne. Po pięciu dniach przejęła od okupantów



Żołnierze Legionów w okopach nad Nidą FOT. NAC

władzę nad wojskiem, a po dwóch tygodniach – gdy z funkcji wodza Polskiej Siły Zbrojnej ustąpił generał-gubernator warszawski Hans Beseler – stanowisko szefa Sztabu Generalnego objął gen. Tadeusz Jordan Rozwadowski. Te zmiany spowodowały, że w ciągu miesiąca szeregi PSZ, dotąd lekceważonej przez Polaków jako Polnische Wehrmacht, wzrosły do ośmiu tysięcy, a więc czterokrotnie (!).

Razem ze spontanicznie tworzonymi oddziałami złożonymi głównie z byłych legionistów i peowiaków nowy zwierzchnik sił zbrojnych, którym Rada mianowała 11 listopada Józefa Piłsudskiego, dysponował ok. 20 tys. żołnierzy. Rok później miał pod rozkazami 800 tys. W tym tych z Małopolski, Francji, Rosji i Wielkopolski! 14 listopada 1918 r. Rada Regencyjna rozwiązała się, przekazując całość władzy właśnie Naczelnemu Wodzowi, który na mocy swego wydanego 29 listopada dekretu sprawował ją jako



Poeta Jan Lechoń FOT. WIKIPEDIA

Tymczasowy Naczelnik Państwa. Na tym stanowisku, wprost nawiązującym do tradycji Naczelnika Kościuszki, zatwierdził go 20 lutego 1919 r. nowo wybrany Sejm Ustawodawczy. Funkcję głowy państwa przestał pełnić 11 grudnia 1922 r., po zaprzysiężeniu na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Gabriela Narutowicza.

Cień, który tragedia zamordowania naszego I prezydenta rzuciła zarówno na siedmiolecie (1916–1922) odzyskiwania niepodległości i budowy własnego naprawdę państwa, jak i na lata II RP (1923–1939), nie może jednak przekreślić historycznych osiągnięć. W ciągu tych kilku lat Polacy, borykając się z głodem, zarazami i skutkami zniszczeń wojennych, potrafili podjąć powstania i wojny o niepodległość oraz wytyczyć i obronić granice, w których połączyli większość naszych zrabowanych 123 lata wcześniej ziem. Wkład w to dzieło mieli wybitni rodacy – przedstawiciele wszystkich orientacji politycznych, zawodów i warstw społecznych, żołnierze z wielu formacji wojskowych, wcześniej nieraz dalekich od siebie.

Nie zapominajmy przy tym o naprawdę niemałej roli Rady Regencyjnej w urzeczywistnianiu przedsięwzięcia o nazwie „niepodległość" podczas pierwszej wojny światowej. Jej budzącą sprzeczne odczucia intronizację sprzed 105 lat temu można w aspekcie politycznym uznać za symbol. Podobny bieg wydarzeń przeczuwał właśnie na łożu śmierci Henryk Sienkiewicz…

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 101deee3b0



Wojsko pod Stocznią Gdańską FOT. IPN

1981 r. / Stan wojenny w kolebce Solidarności

Twierdza Port Gdański



Grzegorz Janiszewski

Na początku stanu wojennego przez chwilę wydawało się nawet, że z Gdańska wyjdzie iskra, która podpali ciemiężony przez komunistów kraj

Gdańsk odgrywał szczególną rolę w historii Polski. Niewiarygodnie bogate miasto, będące bramą dla polskiego handlu, rządziło się specyficznymi prawami. Czasem wspierało z całych sił Królestwo, częściej mniej lub bardziej odmawiało posłuszeństwa, posuwając się nawet do otwartego buntu przeciw polskiej władzy. Umożliwiały to pieniądze mieszczan, silne fortyfikacje, których budowy nie zaniedbywali gdańszczanie, jak również kontakty z możnymi zagranicznymi kontrahentami, którzy skłonni byli przyjść miastu z pomocą na szkodę Rzeczypospolitej. Nawet komunistyczne władze nie potrafiły do końca sobie z nim poradzić. Nic więc dziwnego, że to tam właśnie narodziła się Solidarność. Próby jej zdławienia w początkach stanu wojennego miały w Gdańsku szczególnie dramatyczny przebieg. Przez chwilę wydawało się nawet, że z miasta wyjdzie iskra, która podpali ciemiężony przez komunistów kraj.

Wprowadzenie stanu wojennego przez ekipę Jaruzelskiego, mimo że od dawna przygotowywane, dla społeczeństwa i opozycji było dużym zaskoczeniem. W tym czasie prawie całe kierownictwo Solidarności znajdowało się na obradach Komitetu Krajowego w Stoczni Gdańskiej. Już 12 grudnia ok. godz. 23.30 do akcji pod kryptonimem Jodła w całym kraju przystąpiły specjalne grupy milicji i SB. W Gdańsku ich głównym zadaniem było wyłapanie członków kierownictwa związku. Po obradach w większości udali się oni do hoteli Monopol i Grand. Budynki zostały otoczone i spenetrowane przez funkcjonariuszy, a działacze wywiezieni do ośrodków internowania.

Po wprowadzeniu stanu wojennego w całym kraju wybuchło kilkaset strajków. Głównie w większych zakładach, które dało się okupować i gdzie działały struktury Solidarności. Sytuacja nie była korzystna dla protestujących. Część zakładów zmilitaryzowano i za udział w strajku groziły surowe kary, z karą śmierci włącznie. Przywódcy Solidarności zostali w większości internowani pierwszej nocy. Łączność została przerwana. Ulice miast obsadziły wojskowe patrole, kontrolujące ruch. Zima była mroźna, co nie sprzyjało wychodzeniu na ulice, żeby wesprzeć strajkujących. Reżim Jaruzelskiego od miesięcy mamił społeczeństwo i związkowców perspektywami kolejnych rozmów i ustępstw, usypiając czujność. Opozycja nie była gotowa do większych akcji.

Zdusić w kolebce

Spontaniczna akcja strajkowa rozpoczęła się zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego również w kolebce Solidarności – Stoczni Gdańskiej. Część stoczniowców mimo nacisków dyrekcji pozostała

eprasa.pl 101deee3b0

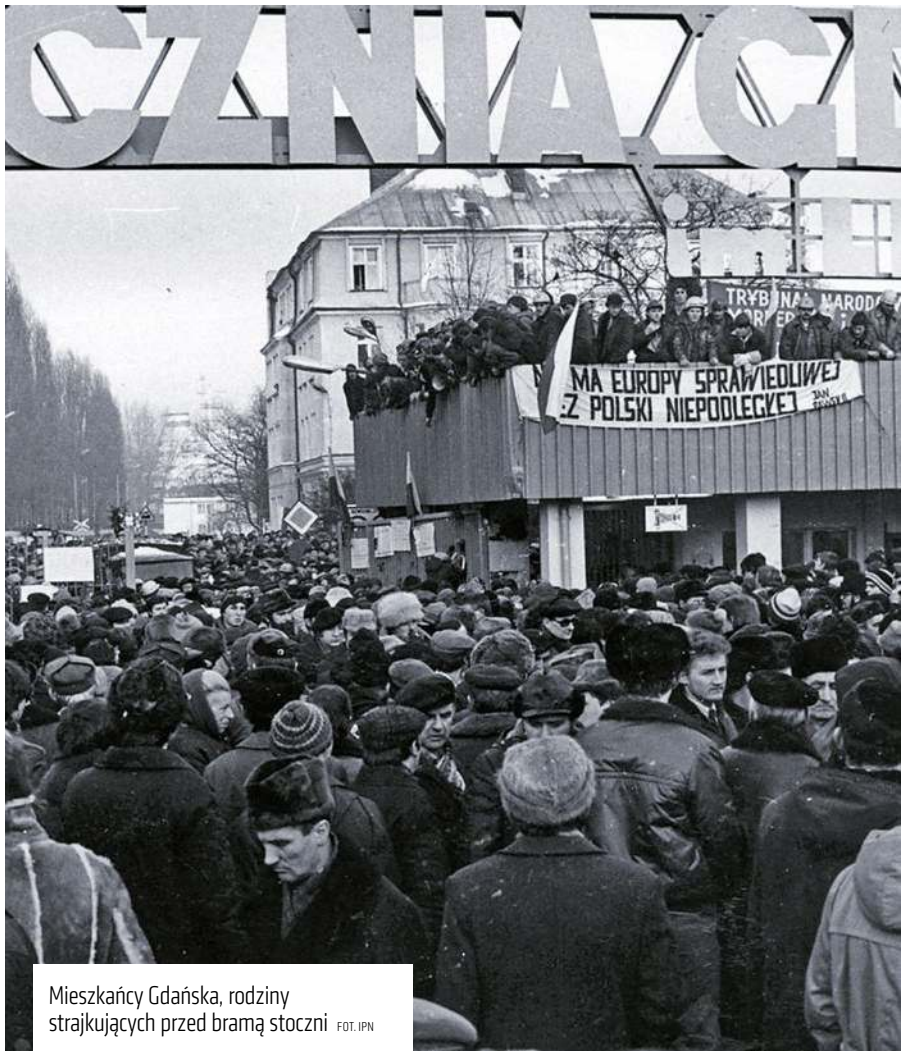
na terenie zakładu. Pod bramą gromadzili się ludzie, chcący wesprzeć akcję. Podjęto próbę stworzenia ogólnopolskiego centrum strajkowego, kierującego protestami w miejsce rozbitych struktur. W pobliskim Porcie Gdańskim powstał Krajowy Komitet Strajkowy, w którego skład weszli Mirosław Krupiński, Antoni Macierewicz i Andrzej Konarski, którzy uniknęli internowania. Wieczorem 13 grudnia jego członkowie przepłynęli motorówkami do stoczni. W regionie Trójmiasta strajkowało wtedy ok. 40 zakładów pracy.

W nocy z 13 na 14. grudnia do stoczni wkroczyło kilkuset ZOMO-wców, zatrzymując kilkanaście osób zgromadzonych przy głównym wejściu. Wydawało się, że uspokoiło to sytuację. Jednak 14 grudnia powstał Regionalny Komitet Strajkowy, a stoczniowcy znowu zaczęli protestować. Na terenie zakładu przebywało ok. 6 tys. pracowników. Przed bramą nr 2 kłębił się tłum demonstrantów. Następnej nocy, ok. godz. 0.15, do stoczni znowu wkroczyło ZOMO i wojsko, wypychając zebranych na zewnątrz. Zatrzymano ok. 900 osób, które zgodnie z przyjętymi przez komitet zasadami nie stawiały oporu. Przywódcy strajku ukryli się w budynkach wydziału W-3. Do stoczni zaczęli przybywać robotnicy z innych zakładów Trójmiasta. Od rana strajk znowu prowadziło 600–700 ludzi, do których w ciągu dnia dołączali następni. Załogi czołgów stojących pod bramą zaczęły bratać się ze strajkującymi.

Komitety strajkowe podjęły decyzję o przygotowaniach do obrony stoczni. Tarasowano bramy, wystawiono czujki, robotnikom rozdano metalowe rury do obrony przed ZOMO. 16 grudnia o godz. 6.27 główną bramę staranował czołg. Na teren stoczni wkroczyło prawie tysiąc ZOMO-wców wspieranych przez pluton specjalny wojska. W powietrzu latały śmigłowce. Stu ZOMO-wców niespodziewanie wyszło z bunkra na terenie stoczni, gdzie ukryło się poprzedniego dnia. Przez kilka godzin łapano i wyprowadzano ok. 3 tys. strajkujących. Bito ich pałkami, zgromadzonym w sali BHP urządzono „ścieżkę zdrowia". Jak wspominał Antoni Macierewicz: „Byliśmy ustawieni w rzędach; pamiętam, że wojsko i ZOMO-wcy nas przeszukiwali, zabierali nam rzeczy osobiste. Następnie porozwożono nas do różnych zakładów karnych". Zatrzymano praktycznie



Komunikaty strajkujących stoczniowców FOT. IPN



Mieszkańcy Gdańska, rodziny strajkujących przed bramą stoczni FOT. IPN

eprasa.pl 101deee3b0

wszystkich przywódców strajku, którzy postanowili pozostać razem ze strajkującymi.

Miasto nieujarzmione

Brutalna pacyfikacja stoczni bynajmniej nie uspokoiła nastrojów w mieście. Pozostający na wolności działacze Solidarności zaczęli zwoływać na popołudnie wiec protestacyjny pod pomnikiem Stoczniowców, gdzie już od rana gromadzili się ludzie. W tym czasie głównym punktem oporu stał się Port Gdański, w którym powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy ze Stanisławem Jaroszem na czele. Komitet kolportował ulotki wzywające do odbicia stoczni, kiedy ZOMO i wojsko przystąpią do pacyfikacji portu. Około południa milicjanci zaczęli rozpraszać zebranych, wypierając ich w kierunku Dworca Głównego. Pacyfikacja zakończyła się ok. godz. 21. Rannych zostało ponad 300 osób.

17 grudnia ok. godz. 9 w okolicach gdańskiego Dworca Głównego starcia zaczęły się na nowo. Grupy młodzieży obrzucały oddziały ZOMO śrubami, kamieniami i butelkami z benzyną. Wznoszone były barykady, dochodziło do walk wręcz. Próbowano dostać się pod pomnik Stoczniowców. Po południu walki zaczęły się również w centrum miasta, na Hucisku, ulicach Świerczewskiego i Kalinowskiego, gdzie mieściły się Komitet Wojewódzki PZPR oraz prokuratura. Uczestniczyło w nich ok. 25–30 tys. ludzi – najwięcej w tym czasie w całym kraju. Przed komitetem partii milicjanci użyli broni palnej. W okolicach Dworca Głównego wojsko zaczęło strzelać w kierunku demonstrantów ślepymi nabojami z czołgowych armat. Rannych zostało kilka osób, a trafiony w głowę 23-letni Antoni Browarczyk zmarł kilka dni później w szpitalu. Użycie broni palnej ostudziło nastroje demonstrantów. Pojawiły się pierwsze informacje o tragedii w kopalni Wujek. Około godz. 20 tłumy zaczęły ustępować, walki wygasały. Prawie 180 milicjantów i dwóch żołnierzy odniosło obrażenia, rannych było 196 cywilów.



Pomnik Poległych Stoczniowców 1970 i tereny Stoczni Gdańskiej podczas strajku w 1981 r. FOT. IPN

Urwać łeb portowej hydrze

Kończyły się też lub były właśnie pacyfikowane protesty w zakładach pracy. Strajkowało jeszcze siedem zakładów: Transbud, Centrum Techniki Okrętowej, Hydroster, Elektromontaż, Unimor, Zarząd Portu Gdańsk i Zakłady Naprawcze Mechanizacji Rolnictwa w Tczewie. Największym problemem był Port Gdański. Na redzie stały tankowce z ropą, których nie można było rozładować, co groziło paraliżem rafinerii. Do portu wkrótce miały zacząć zawijać statki z cytrusami na święta Bożego Narodzenia. Partia musiała pokazać narodowi, że jak co roku panuje nad sytuacją. W gdańskim porcie stał też drobnicowiec „Kruszwica", załadowany bronią dla Libii. Władze poważnie obawiały się przejęcia jej przez strajkujących. W porcie ciągle też działał MKS, który mógł stać się organem koordynującym dla strajków w całym kraju. Wizja uzbrojonej i ufortyfikowanej reduty, która dniami, a może i tygodniami broni się przed atakami wojska i milicji, dając przykład reszcie kraju, musiała być koszmarem dla partyjnych kacyków.

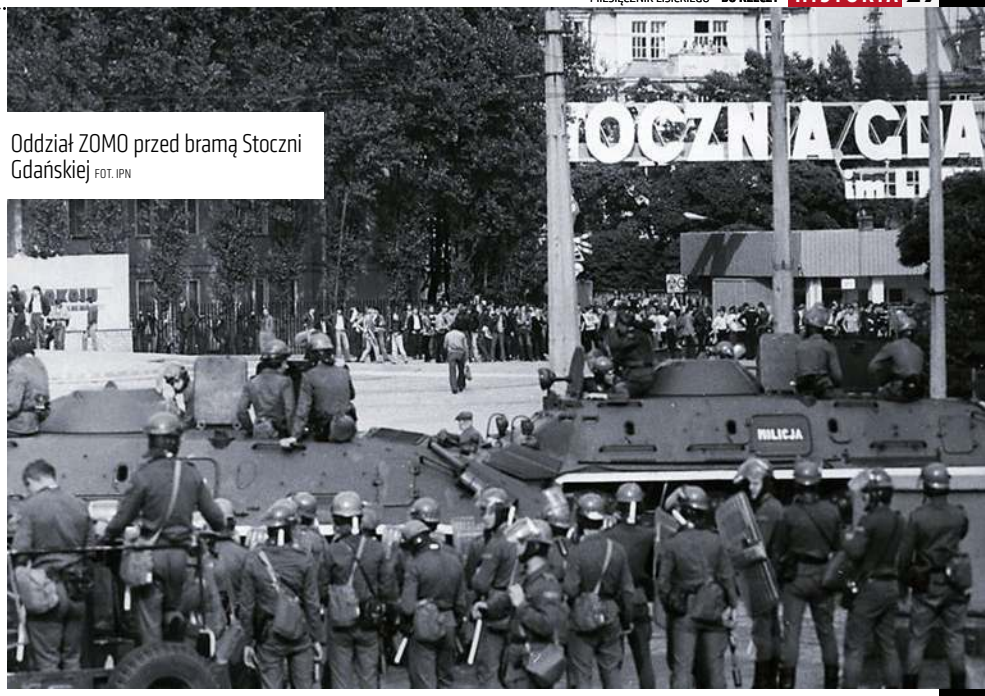
Załoga portu zaczęła przygotowywać go do obrony od razu po wprowadzeniu stanu wojennego. Nie było to łatwe zadanie przy 18 kilometrach nabrzeży i pięciu wielkich obszarach przeładunkowych. Już w nocy z 13 na 14 grudnia nastąpił atak ok. 250 ZOMO-wców na Rejon I Portu. Pracownicy wycofali się do łatwiejszego do obrony Rejonu II Wiślanego. Dostęp do niego ograniczały rowy melioracyjne i ogródki działkowe. Portowcy wiedzieli, że ZOMO-wcy nie zaatakują ich na piechotę. Dodatkowo przetoczyli tam wagony z siarką, obłożyli je słomianymi matami i oblali ropą. Rozpuszczano wiadomości, że w razie ataku wagony zostaną skierowane na portową bazę CPN, żeby wysadzić podziemne zbiorniki z paliwem. Pod mostem, przez który prowadziła jedyna droga dojazdowa do Rejonu, umieszczono dwie beczki z benzyną i przygotowanymi do podpalenia lontami. Wąską drogę za mostem zastawiono kontenerami. W razie potrzeby jeden z nich unosił dźwigiem syn Anny Walentynowicz.

Wszystkie holowniki i motorówki wprowadzono do kanału portowego prowadzącego na redę, żeby uniemożliwić desant. Rejonu miało bronić ok. 1,2 tys. strajkujących pod dowództwem Antoniego Grabarczyka, uzbrojonych w dwumetrowe styliska od kilofów i butelki z benzyną. Nad portem latały milicyjne i wojskowe śmigłowce. Wzdłuż nabrzeża kutrem pływał wojskowy komisarz portu kmdr Roman Swatko, krzycząc do jednego z liderów protestu Andrzeja Michałowskiego:

eprasa.pl 101deee3b0

„Panie Michałowski! Wzywam pana jako żołnierza, bo jest pan zmobilizowany, i wydaję panu rozkaz jako żołnierzowi, przestawić holowniki na swoje miejsce i odstąpić od strajku!”.

Do zapory z holowników podpływały kutry rakietowe z odkrytymi kontenerami rakiet i marynarzami z karabinami maszynowymi na stanowiskach.



Oddział ZOMO przed bramą Stoczni Gdańskiej FOT. IPN

Niehonorowa kapitulacja

19 grudnia w dzielnicach Brzeźno, Letniewo i Nowy Port do rozprawy z portowcami skoncentrowano znaczne siły ZOMO. W położonym po drugiej stronie kanału Nowym Porcie trwały starcia z milicją. Próbowano podpalić IV komisariat. W porcie toczyły się nerwowe negocjacje dyrekcji i wojska ze strajkującymi. Portowcy wiedzieli, że w końcu będą musieli się poddać, ale chcieli to zrobić honorowo. W końcu postanowiono, że jeżeli zaatakuje wojsko, to nie będą się bronić. Nie chodziło o strach. Michałowski i wielu jego kolegów dobrze pamiętało wydarzenia z grudnia 1970 r., strzelanie do robotników i zabitych na gdańskich ulicach. Chcieli uniknąć niepotrzebnych strat spowodowanych przez młodych i niedoświadczonych żołnierzy wysłanych z bronią do pacyfikacji. Przed ZOMO mieli bronić się do końca.

W końcu wynegocjowano „honorową” kapitulację. Portowcy mieli złożyć „broń” i rozejść się do domów. Milicja i wojsko nie miały wchodzić na teren portu. Jednak ok. godz. 18, kiedy zapadał już zmierzch, okręty MW wysadziły na portowym nabrzeżu kilkuset marynarzy i WOP-istów. Dokonano też abordażu holowników przy nabrzeżu. Niewykluczone, że o decyzji strajkujących, żeby nie atakować wojska, doniósł władzom tajny informator w szeregach strajkujących. Potem do akcji wkroczyło ZOMO. Portowcy zostali zamknięci w magazynach i mesach statków, a następnie ich przeszukano. Przywódcy strajku zostali zatrzymani i wywiezieni do miejsc internowania. Michałowskiego wywieziono z portu w kominie holownika. Dobrze znający teren Grabarczyk zdołał wymknąć się ZOMO-wcom. Najdłużej stawiający opór zakład pracy Wybrzeża został spacyfikowany. Pierwszy sekretarz PZPR w Gdańsku Tadeusz Fiszbach mógł obwieścić, że województwo gdańskie „zeszło z mapy województw strajkujących”.

Za organizację strajku Grabarczyk został później skazany na siedem i pół roku, a Michałowski na pięć lat pozbawienia wolności. Po wyjściu z więzienia obaj zaangażowali się w działalność podziemnej Solidarności. Grabarczyk zmarł w 2007 r., Michałowski żyje w Gdańsku ze skromnej emerytury. W 2020 r. TVP nakręciła o nim i wydarzeniach w Porcie film „Konspirator”.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 101deee3b0



Zdjęcie wykonane w dniu urodzin Adolfa Pilcha 22 maja 1944 r. w Starzynkach FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH

1943–1945 / Adolf Pilch, pseudonim Góra, Dolina

Pierwsi na Nowogródczyźnie



Damian Markowski

Po zażartych walkach z czerwonymi katami Polaków z Puszczy Nalibockiej do Kampinoskiej maszerowali żołnierze Zgrupowania Stołpeckiego AK

Walczyli ze wszystkimi wrogami Polski. Nieśli im śmierć gdziekolwiek się pojawili – od lasów Nowogródczyzny do stolicy ogarniętej powstańczą pożogą. Zgotowali krwawą łaźnię katom powstania w Puszczy Kampinoskiej. Po wojnie komuniści czynili starania, by przedstawić ich jako zdrajców i kolaborantów. Do dziś ich historia jest mało znana. Jak zapisali się w historii żołnierze Zgrupowania Stołpeckiego Armii Krajowej?

Byli wśród nich synowie wsi oraz kresowych miasteczek i miast, Polacy i Białorusini, katolicy i prawosławni. Połączyła ich nienawiść do okupantów – zarówno tych spod znaku swastyki, jak i czerwonej gwiazdy – oraz chęć walki o Polskę na Kresach, pomimo wszystkich przeciwności z tym związanych. Jako jedni z pierwszych zaczęli się tam zbierać do walki, gdy tylko powstały pierwsze oddziały AK w Nowogródzkiem. Ich epopeja w okupowanym kraju mogłaby posłużyć do nakręcenia niejednego filmu.

Powiat stołpecki, przed wojną położony tuż przy granicy ze Związkiem Sowieckim, tonął w nadniemeńskich lasach. Warunki do powstania partyzantki były tam świetne. Jednakże podczas wojny jako pierwsi wykorzystali je masowo nie Polacy, a Sowieci. Zorganizowani wokół zrzuconych z „Wielkiej Ziemi" oficerów NKWD masowo wcielali do partyzantki miejscowych Białorusinów, ocalałych z zagłady Żydów i czerwonoarmistów z rozbitych latem 1941 r. oddziałów. Zdecydowanie rzadziej pod skrzydła „czerwonych" trafiali Polacy. Bolszewicka partyzantka szybko dała się poznać miejscowej ludności, zajmując się przede wszystkim rabunkiem, gwałtem i mordem.

Dowództwo AK niechętnie przyjmowało jednak oddolne naciski na rzecz utworzenia własnych oddziałów leśnych, tłumacząc to koniecznością zachowania sił do decydujących zmagań. Czara przelała się dopiero, gdy w maju 1943 r. Sowieci (przy udziale co najmniej jednej z żydowskich grup przetrwania) dokonali napadu na miasteczko Naliboki, mordując 128 polskich mieszkańców.

Dopiero wtedy podjęto ograniczone kroki w celu samoobrony ludności – także przed niemieckimi pacyfikacjami, spadającymi na wsie Nowogródczyzny za działania Sowietów. Do Puszczy Nalibockiej zaczęli ściągać pierwsi ochotnicy. Polski oddział partyzancki, który stał się zalążkiem Zgrupowania Stołpeckiego AK, po zaledwie 10 dniach liczył już 130 żołnierzy. Z Sowietami nadal otwartej wojny nie było. Po Nalibokach przycichli nieco, choć rabunki i morderstwa z ich strony nadal się trafiały. AK próbowała nawiązać współdziałanie z niepewnym „sojusznikiem". Puszczę podzielono na

eprasa.pl 101deee3b0



RYS. JACEK GRAMBURG

sektory polski i sowiecki. Ustalono sieć kontaktów, łączników, wspólnie planowano niektóre akcje. Największą z nich było uderzenie na miasteczko Iwieniec. Żołnierze AK z powodzeniem zlikwidowali niemiecko-białoruską załogę, uwolnili wielu więźniów, w tym Żydów, po czym odeszli nieniepokojeni do lasu.

Zgrupowanie pod komendą Kacpra Miłaszewskiego „Lewalda" mocno dało się we znaki niemieckim okupantom. Stawali w obronie mieszkańców wiosek pacyfikowanych podczas brutalnych akcji „Herman" i innych. Zwalczali kolaborantów. Niemcy nie pozostali bezczynni. Prawdziwej hekatomby doznała ludność cywilna, tak białoruska, jak polska. Spalono co najmniej 60 wsi, a śmierć poniosło prawie 4,3 tys. osób. Zgrupowanie przetrwało, ale za cenę poważnych strat. Psuły się też stosunki z fałszywymi sojusznikami. Nie podobało się Sowietom, gdy konni chorążego Nurkiewicza wystąpili w obronie polskich chłopów rabowanych przez leśnych z żydowskiego oddziału poległego Sowietom. AK-owcy byli teraz silni.

Sowieci obawiali się jednak otwartej konfrontacji. Zainscenizowali wspólną naradę przed „uderzeniami na hitlerowców". Niestety, Polacy chwycili przynętę. Najpierw schwytano polskich oficerów przybyłych na „odprawę". Potem w ręce komunistów dostała się również część oddziałów leśnych. Kadrę przywódczą w większości rozstrzelano, pozostałych przydzielono małymi grupkami do czerwonej partyzantki. Pochwycono również samego „Lewalda". Był zbyt cennym jeńcem, aby można było go po prostu zabić. Drogą lotniczą przerzucono go do Moskwy, gdzie na niesławnej Łubiance przeszedł ciężkie śledztwo. Do kraju wrócił dopiero kilka lat po wojnie.

„Zgniły rozejm"

Jednym z nielicznych, którzy wówczas ocaleli, był młody, zdolny oficer, cichociemny. Rodem z żywieckiej Wisły, z rodziny ewangelickiej. Adolf Pilch pseudonim Góra. Jego nazwisko miało jeszcze wielekroć przewinąć się przez uszy nieprzyjaciół. Pilch zrozumiał, że po tragedii w Puszczy Nalibockiej pozostałości oddziału nie będą w stanie skutecznie stawić czoła Niemcom i Sowietom jednocześnie. Zdecydował się zatem na podjęcie ryzykownej gry. Zgodził się na taktyczny sojusz z Niemcami w zamian za pozostawienie w spokoju i dozbrojenie. Niemcom odpowiadało, że jeden ze śmiertelnych wrogów przynajmniej czasowo przeszedł na ich stronę. Odtąd ludzie „Góry" bez pardonu zwalczali sowieckich leśnych, biorąc odwet za Naliboki i liczne inne akty przemocy wobec polskiej ludności.

Obie strony – tak Niemcy, jak dowództwo Zgrupowania – doskonale zdawały sobie sprawę z kruchości zawartego „sojuszu". Ale Polakom udało się uzyskać znaczne ilości broni i amunicji, tak potrzebnej do walki. Doskonale wiedzieli, że oręż ten wkrótce obrócą przeciw samym Niemcom. Na razie porozumienie trwało. Nazywali je między sobą „zgniłym rozejmem". Tak wspominał ten czas Józef Jan Kuźmiński:

„Po wyjściu z lasu na dużą polanę zostaliśmy ostrzelani przez sowiecką partyzantkę. Ruszyła kawaleria. Sowieci też byli na koniach, więc uciekali, zobaczywszy nadjeżdżające wozy niemieckie z piechotą. Niemcy przenieśli naszych rannych z wozów do samochodów, zabrali mnie i dwóch żołnierzy z korespondencją i ruszyliśmy w kierunku Stołpców. Koło wsi Zadworje zostaliśmy około godz. 8 ponownie ostrzelani, lecz bez strat dojechaliśmy do Stołpców. Rannych przekazałem dyrektorowi szpitala dr. Grynbergowi, sam zaś piechotą udałem się do niemieckiej komendantury mieszczącej się w budynku państwa Dudzińskich. To było moje pierwsze spotkanie z bronią przy pasie z wartownikiem niemieckim. Byłem ubrany w całkowity strój khaki, jakie nosiło WP. Na połówce widniał orzeł z koroną. Dziwnie się czułem, przechodząc obok niedawnego wroga – dziś sprzymierzeńca. […] Kazał iść dalej. Wszedłem do pokoju, gdzie siedział jakiś dyżurny – odczytałem kartkę. Pokazał wejście do następnego pokoju. Wszedłem. Odczytałem kartkę. Zza biurka wstał potężny, może 40-letni mężczyzna, który miał na lewym przedramieniu munduru romb z literami SD (Sonderdienst – służba specjalna). Powiedział »gut«, »danke« i zabrał ode mnie kartkę. Oddałem honor i wyszedłem. […] Nie mogłem zrozumieć tej naszej fuzji z Niemcami".

Dowództwo AK z rosnącym niepokojem obserwowało poczynania „Góry", tym bardziej że jego działania zyskały aprobatę ludności, która odetchnęła od represji nazistów. W końcu zapadła decyzja – przywołać go do porządku. Do dziś nie wiadomo, kto spotkał się wtedy z Pilchem: legendarny już wtedy Jan Piwnik „Ponury" czy Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz", który legendą stanie się kilka miesięcy później, po bohaterskiej śmierci w boju z wojskami NKWD pod Surkontami. Dość stwierdzić, że musieli zrozumieć jego sytuację. Nie padły zarzuty o zdradę. Nie było mowy o uznaniu Zgrupowania (zresztą jednego z najsilniejszych polskich oddziałów partyzanckich na terenie Kresów Północno-Wschodnich) za uwikłane w kolaborację. Burza została zażegnana. Ale czas pokazał, że nie był to jedyny raz, kiedy „Góra" miał się tłumaczyć przed dowództwem ze swoich poczynań.

Wiosną 1944 r. front wschodni zbliżał się szybko. Armia Czerwona na niemieckich karkach zagarniała coraz większe połacie przedwojennej Polski Wschodniej. „Góra" z niepokojem myślał o tym, co stanie się z jego ludźmi podczas kolejnej sowieckiej okupacji. W końcu mieli na koncie już ponad 200 zbrojnych potyczek z sowiecką partyzantką, przeważnie rozstrzygniętych na swoją korzyść. Czerwoni szczerze ich nienawidzili. Pilch podjął decyzję o odwrocie na zachód. Szli drogami zapchanymi przez niemieckie tabory i oddziały Wehrmachtu. Dokładnie 861 ludzi, uzbrojonych po zęby, z końmi, własnym taborem, z zapasem amunicji, w polskich mundurach, z orłami na

eprasa.pl 101deee3b0

czapkach. Wyglądali groźnie i byli groźni, zatem nie licząc „przepustki" w postaci wiedzionych ze sobą jeńców – niemieckich żandarmów (tych później rozstrzelano) i umundurowanych białoruskich policjantów – dysponowali dodatkowym „argumentem" w postaci broni. Do Puszczy Kampinoskiej dotarli kilka dni przed wybuchem powstania w Warszawie.

Ich przybycie było niemałym zaskoczeniem dla Komendy Głównej. Zanim jednak otrzymali rozkazy, włączono ich w skład tworzonej właśnie Grupy AK „Kampinos". A porucznik Pilch otrzymał rozkaz stawienia się w stolicy na swój… sąd. Przylgnęło do niego tyleż krzywdzące, co mające u niektórych wyższych oficerów przesadne znaczenie miano niemieckiego współpracownika. Kto wie, może niektórzy po prostu zazdrościli mu partyzanckiej sławy i zdolności organizacyjnych?

A więc sąd. Wezwany stawił się na przesłuchanie. Opowiedział, co robił i dlaczego. Przedstawił sytuację i perspektywę obrońców polskich Kresów, jakże odmienną od tej widzianej z Warszawy. Wyrok mógł być tylko jeden: niewinny. Oficer wrócił do swoich podkomendnych. W samą porę, by stanąć na ich czele przed zbliżającymi się ciężkimi walkami z niemieckim okupantem. Już pod nowym pseudonimem – Dolina.

Atak na dworzec

Stało się już jasne, że z militarnego punktu widzenia powstanie zakończy się katastrofą. Komenda Główna rozpaczliwie ściągała podmiejskie oddziały „Obroży" na pomoc. Wśród nich znalazła się także utworzona Grupa AK Kampinos. Jej trzon i prawdziwą siłę bojową stanowili jednak nie dziarscy chłopcy z podleśnych miejscowości rozsypanych u zachodnich obrzeży stolicy, a zahartowani w bojach i wojennych trudach żołnierze Pilcha. Pojawił się pomysł, by Zgrupowanie razem z innymi polskimi siłami z Kampinosu przerzucić na Żoliborz i uderzyć stamtąd na Stare Miasto.

Natarcia zostały fatalnie przygotowane przez dowództwo powstańcze na Żoliborzu. O ile jednak pierwszy atak zakończył się porażką, o tyle drugi przyniósł rzeź nacierających „chłopców z lasu". W świetle dziesiątek rakiet świetlnych, pod ogniem ciężkich karabinów maszynowych, armat pociągu pancernego bijącego z Dworca Gdańskiego i moździerzy zginęli najlepsi żołnierze Zgrupowania „Doliny" i całej Grupy „Kampinos". Do barykad Starego Miasta nie dotarł ani jeden z nich. Nie było triumfalnego wkroczenia na Stare Miasto, które – jak chcieliby niektórzy oficerowie wieszczący jeszcze kilka godzin wcześniej pewny sukces – zostałoby podane w świat przez radio. Zginęło do 500 żołnierzy Armii Krajowej. Na darmo, bo front dzielący Żoliborz od Starówki nie drgnął ani o ulicę… Pobite oddziały wróciły do Kampinosu.

Tamta wrześniowa noc była wyjątkowo ciemna. A mrok to błogosławieństwo „leśnych". Znali ją doskonale. Umieli bezszelestnie poruszać się w ciemnościach, podejść nieprzyjaciela na odległość rzutu granatem czy pchnięcia bagnetem. Cicho szumiały tylko liście Kampinosu. Puszcza skrywała ich w sobie, chroniła i dawała osłonę. Tamtej nocy mieli po raz kolejny wykorzystać jej opiekuńczy płaszcz.

Jak leśne diabły wpadli na kwatery zbrodniarzy z RONA, tych samych, którzy wcześniej mordowali, gwałcili i rabowali w Warszawie. Teraz to dla nich nie było pardonu. Ginęli nie jak żołnierze – w walce – ale w samej bieliźnie, podczas haniebnej ucieczki. Teraz mieli przeciw sobie nie słabo uzbrojonych powstańców, nie kobiety i dzieci, a żołnierzy z krwi i kości. Wynik tego starcia mógł być tylko jeden.

– To już nawet nie była bitwa, a rzeź – wspominał w rozmowie ze mną jeden z uczestników wypadu na Truskaw. – Hitlerowscy bandyci i mordercy zapłacili wtedy za wszystko, co zrobili wcześniej w Warszawie – dopowiedział weteran.

I rzeczywiście, zapłacili słono. AK-owcy „Doliny" nie brali wówczas jeńców. Kto ze zbrodniarzy nie zdołał salwować się ucieczką lub nie ukrył się skutecznie – padał od kul i ciosów kolb i bagnetów. Nad ranem we wsi naliczono ponad 120 trupów nieprzyjaciół. Poza zemstą za Warszawę wypad na Truskaw przyniósł Zgrupowaniu także czysto wymierną korzyść – nie dość, że oczyszczono tę ważną wioskę przy samej Puszczy z oddziałów nieprzyjaciela, to zdobyto znaczne ilości broni, pozwalające na uzbrojenie ponad setki ludzi. Wiktoria była całkowicie po polskiej stronie.

Pamiętny wrzesień 1944 r. zmierzał ku końcowi. Rada wojenna w malutkiej wiosce Wiersze – stolicy Rzeczypospolitej Kampinoskiej kontrolowanej przez Armię Krajową – była długa i nerwowa. Dla sztabu Grupy stawało się jasne, że Warszawa kona. Upadek był kwestią czasu.

Postanowiono odskoczyć na południe, ku Puszczy Mariańskiej i dalej. Dość stwierdzić, że skutki tej decyzji w połączeniu z fatalnym dowództwem komendanta Grupy „Kampinos" – mjr. Alfreda Kotowskiego „Okonia" – okazały się katastrofalne. W końcu Niemcy dopadli ich w najgorszym z możliwych miejsc. Pod Jaktorowem oddziały polskie rozciągnęły się w długą kolumnę przy przekraczaniu linii kolejowej z Warszawy do Żyrardowa.

Wtedy nadjechał pociąg pancerny. Jednocześnie na tyły oddziałów AK runęło natarcie wsparte transporterami opancerzonymi. I jeszcze te samoloty… Polskie oddziały znalazły się w kleszczach. Grupa AK „Kampinos" została rozbita przez wroga.

„Dolina" zdołał wydostać się z matni razem z częścią jazdy. Kiedy wyrwali się z okrążenia, okazało się, że jest ich niespełna 60. Pozostali zginęli, dostali się do niewoli albo poszli w rozsypkę. Po 700 kilometrach wojennego szlaku, od Puszczy Nalibockiej, przez Iwieniec, Grodzieńszczyznę, Podlasie, Mazowsze, Puszczę Kampinoską, zakończyła się bohaterska epopeja Zgrupowania Stołpeckiego AK, ale nie jego żołnierzy. Adolf Pilch walczył w szeregach AK do stycznia 1945 r. Po rozwiązaniu podziemnej armii przedostał się do Czechosłowacji i dalej – na Zachód.

Komunistyczna historiografia dokładała starań, by żołnierzy Zgrupowania przedstawić jako niemieckich kolaborantów. Rzecz jasna, przemilczano, jaki wpływ na ich decyzje miały konflikt z partyzantką sowiecką i zbrodnie dokonane przez komunistów. Bezpieka bezlitośnie tropiła byłych „doliniaków", do tego stopnia, że jeszcze w latach 70. zatrzymywano ich i stawiano im zarzuty o udział w nielegalnej organizacji. Bez względu na to partyzanci Zgrupowania Stołpeckiego AK zapisali się złotymi zgłoskami w dziejach walk o niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 101deee3b0

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

STRAŻNIK PAMIĘCI 10 lat

RELACJA Z JUBILEUSZOWEJ, X. EDYCJI GALI DOSTĘPNA NA STRONIE

DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNERZY GŁÓWNI: KGHM POLSKA MIEDŹ, PZU

WSPÓŁORGANIZATORZY: INSTYTUT WSPÓŁPRACY POLSKO-WĘGIERSKIEJ IM. WACŁAWA FELCZAKA

PARTNERZY: PKO Fundacja, STRABAG WORK ON PROGRESS, PGE, Lasy Państwowe, HUAWEI

PATRONAT MEDIALNY: TVP TELEWIZJA POLSKA

eprasa.pl 101deee3b0



Marek Gałęzowski

XX w. / Korespondencja Józefa Mackiewicza z Pawłem Jankowskim

Skarbiec zdarzeń w listach dwóch wilnian

Mackiewicz uznał, że Polacy, identyfikując ZSRS z Rosją carską, odbierają sowieckiemu komunizmowi „jego epidemiczno-katastroficzny charakter”

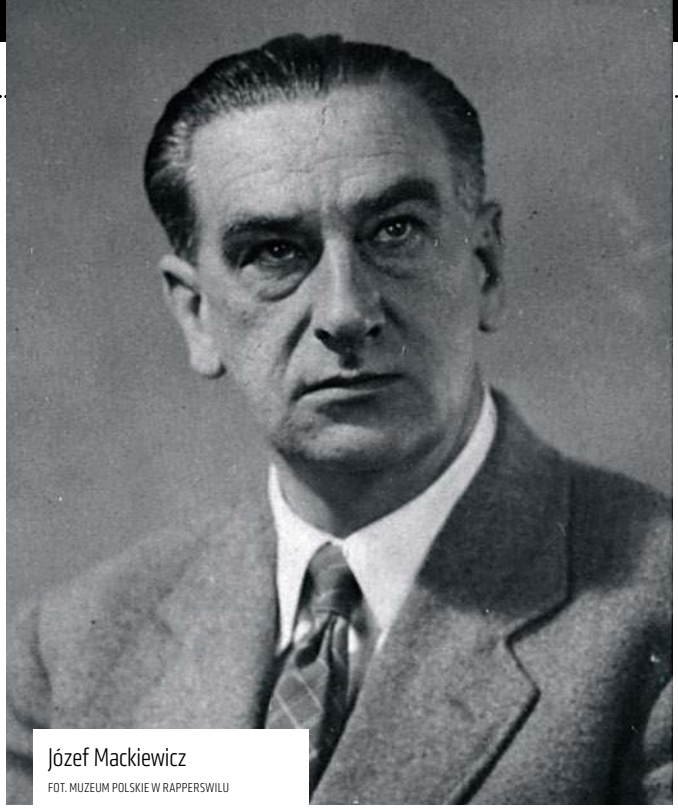
Wspaniały człowiek jest Pawełek Jankowski. Nadzwyczaj go cenię i jestem z nim w wielkiej przyjaźni” – pisał Józef Mackiewicz do innego ze swoich oddanych przyjaciół, Michała K. Pawlikowskiego. Aby przekonać się co było źródłem tak entuzjastycznej oceny nieskłonnego raczej do wylewności pisarza, czasem nawet przez najbliższych mu ludzi określanego mianem „ponury”, warto sięgnąć do liczącego sobie 850 stron tomu emigracyjnej korespondencji tych dwóch osób (z pewnym udziałem żony Mackiewicza, Barbary Toporskiej), których łączyła miłość do rodzinnego Wilna, dokąd nie mieli już nadziei powrócić. Warto napisać o tej wymianie listów w końcu 2022 roku, który Sejm Rzeczypospolitej ogłosił Rokiem Józefa Mackiewicza.

„Drogi Pan Paweł”

Autora pierwszej książki o zbrodni katyńskiej i „Drogi donikąd”, jednego z najwybitniejszych pisarzy polskich, nie trzeba przedstawiać. Warto natomiast przypomnieć osobę drugiego z autorów tej korespondencji. Urodzony u progu XX stulecia Paweł Jankowski był trzy lata młodszy od Mackiewicza. Podobnie jak on dorastał i uczył się w Wilnie, tak uwielbianym przez nich rodzinnym mieście, które jest też jednym z głównych, stale powracających wątków tej korespondencji. „Nikt jak on nie zachował w pamięci: planu miasta, opisu powietrza, jakim się tam oddychało, koloru

FOT. MUZEUM POLSKIEJ W RAPPERSWILU

eprasa.pl 101deee3b0



Józef Mackiewicz

FOT. MUZEUM POLSKIE W RAPPERSWILU

nieba, ludzi, zdarzeń" – pisał we wspomnieniu o Jankowskim autor „Kontry". Świadectwem tej opinii jest ich korespondencja – to Mackiewicz zawsze pyta o wileńskie szczegóły „Drogiego Pana Pawła". W przyjaźni nie przeszkadzało to, że Jankowski pisał o sobie: „Jestem wielbicielem Piłsudskiego, bo z nim nieraz rozmawiałem w życiu i w Wilnie", gdy Mackiewicz o marszałku miał opinię, najdelikatniej ujmując, bardzo niechętną.

Jako młodziutki harcerz i gimnazjalista Jankowski współpracował z Polską Organizacją Wojskową (został za to później odznaczony Medalem Niepodległości) i był świadkiem oswobodzenia Wilna spod rządów bolszewickich przez Wojsko Polskie, prowadzone osobiście przez marszałka Józefa Piłsudskiego w kwietniu 1919 r. Tak relacjonował Mackiewiczowi to wydarzenie:

„Wczoraj minęło już lat 40 od wileńskiej Wielkanocy. Jak ten czas szybko leci! A tu się zdaje, że to tak niedawno jeszcze było. Pamiętam te ciepłe wiosenne dnie i tę chwilę, gdy wyszedłszy rano z domu nr 27 przy ul. Zamkowej, gdzie mieszkałem (nie wiedziałem wtedy, że w „moim" mieszkaniu żył Słowacki), ujrzałem ułanów Beliny biwakujących pod dzwonnicą świętojańską. Potem biegało się aż pod Plac Katedralny, gdzie była linia bojowa i po chodniku młody Orlicz-Dreszer się przechadzał. Następnego dnia przedzierałem się »pod kulami« do stajen »pod Zamkówką«, skąd z rówieśnikami wyprowadzaliśmy bolszewickie konie i prowadziliśmy je później aż na dworzec kolejowy »do wojska«. Byłem naocznym świadkiem, jak dzisiejszy gen. Kopański stracił oko w pobliżu Mostu Zielonego. Dowodził on wtedy działem polowym, które później waliło w »średniowieczną« wieżę tego zameczku za rzeką. Pamiętam, jak długo jeszcze widniała duża dziura wybita w tej wieży pociskami. Podczas tej »pierestrełki« odłamek jakiś trafił w oko por. Kopańskiego. Armacie polowej, która pierwsza podsunęła się aż pod Most Zielony, towarzyszyłem od Placu Katedralnego przez całą ulicę Mostową aż do punktu, gdzie ją zatrzymały bolszewickie karabiny maszynowe z mostu. Wkrótce jednak oczyszczono to przedpole. Nie zapomnę też bolszewickiego trupa, który leżał w bramie przy ul. Nadbrzeżnej. Pamiętam, jak główna aleja w Cielętniku była cała zasłana strąconymi przez kule gałęziami. Cały dzień bowiem na tej trasie wrzała strzelanina: Polacy okopali się naprzeciw domu późniejszej redakcji „Słowa", a bolszewicy byli na górze Zamkowej, w Cielętniku i później za rzeką, głównie na dachu i wieży elektrowni. Właśnie z tej elektrowni prażyli we mnie, gdy czołgałem się do wejścia od Arsenalskiej, aby dostać się do tych stajni. I pomyśleć, że się było wtedy młodszym o lat 40".

Natychmiast też, zaledwie jako piętnastolatek, Jankowski zgłosił się ochotniczo do wojska. Po zakończeniu wojen o granice Rzeczypospolitej pracował jako urzędnik w państwowej służbie cywilnej – najpierw w Urzędzie Wojewódzkim w Wilnie, a od początku lat 30. do wybuchu drugiej wojny w Biurze Senatu w Warszawie. Wraz z nim ewakuował się z kraju we wrześniu 1939 r. Wstąpił do powstającego we Francji wojska polskiego, a po jej upadku przedostał się do Anglii. Służył tam w 4. Brygadzie Kadrowej Strzelców, dopóki w sierpniu 1942 r. nie został przeniesiony do Gabinetu Wojskowego Prezydenta RP. Później był urzędnikiem w Kancelarii Cywilnej Prezydenta, by w 1955 r., w czasie, kiedy urząd ten zajmował kolejną kadencję August Zaleski, zostać jej szefem; pełnił też funkcję sekretarza kapituły Orderu Odrodzenia Polski.

Także Paweł Jankowski uznał informowanie świata o mordzie dokonanym na oficerach Wojska Polskiego za jedno z najważniejszych zadań emigracji

Tym, co zwraca szczególną uwagę w działalności Jankowskiego na uchodźstwie, często znajdując oddźwięk w korespondencji z Mackiewiczem, jest stałe kierowane do opinii międzynarodowej upominanie się o pamięć o zbrodni katyńskiej: „[...] z miejsca, gdzie mogę, tę naszą sprawę wydobywam z zapomnienia". W innym liście pisał: „Zawsze gotów jestem prawdę o Katyniu utrwalać", postulując stworzenie opracowania „pod tytułem KATYŃ I JEGO POMNIEJSZYCIELE", w którym „podane by były te wszystkie mijania się z prawdą, usiłowania narzucenia z premedytacją, gdy idzie o bolszewików i ich agentów, ich »prawdy«, oraz powtarzania albo zmyślania nowych bajek o Katyniu i rozpowszechniania ich na Zachodzie".

Informowanie świata o mordzie dokonanym na oficerach Wojska Polskiego uważał za jedno z najważniejszych zadań emigracji; także dlatego, że, jak pisał do Mackiewicza, popularne encyklopedie anglojęzyczne „żadnej wzmianki o Katyniu nie podają". W liście z jesieni 1958 r. czytamy: „Będę się starał, chyba przez Maddena, który niewątpliwie wyjdzie cało z wyborów, aby w nowym Kongresie wskrzesić katyńską komisję dla Starobielska i Ostaszkowa". Cztery lata później informował Mackiewicza, że próbuje „zjednać dla wznowienia sprawy Katynia każdego, komu komunizm zaczyna zagrażać". „Nawiązałem teraz korespondencję z Portugalią, która ma kłopoty w Angoli, gdzie komuniści chcą się usadowić, aby mieć wylot na łacińską Amerykę

eprasa.pl 101deee3b0



Ulica Zamkowa w Wilnie FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

i w ogóle" – kontynuował. Skuteczność tych działań, nie z jego winy, była niewielka. Wymagała ona bowiem zaangażowania i środków o zupełnie innej skali. Dawał jednak świadectwo.

Pesymizm „Pana Józefa"

Mackiewicz, jak wiadomo, sprzeciwiał się poglądowi, jakoby Związek Sowiecki, choć w innej formie ustrojowej, był kontynuacją państwowości rosyjskiej sprzed 1917 r.„ i odrzucał traktowanie niewoli komunistycznej jako kolejnej w dziejach odsłony rosyjskich rządów zaborczych w Polsce. „Związek Sowiecki nie jest Rosją" – twardo stawiał sprawę w jednym z artykułów, uważając, że identyfikowanie przez większość Polaków ZSRS z Rosją carską odbiera sowieckiemu komunizmowi „jego epidemiczno-katastroficzny charakter". Dlatego starał się wykazać, że „pomiędzy dawnym zaborem rosyjskim a dzisiejszym sowieckim nie ma żadnej analogii" i deklarował: „Osobiście nie walczę z »okupacją rosyjską«, lecz z komunizmem".

Problem ten, silnie obecny w całej twórczości Mackiewicza, jest zauważalny również w listach do Jankowskiego, chociaż niewątpliwie w mniejszej skali niż w korespondencji z innymi adresatami. I tutaj jednak Mackiewicz podkreślał, że w ocenie komunizmu „wszyscy rodacy nie potrafią wyskoczyć ponad granice narodowe. Nikt nie rozumie, że mnie chodzi nie o stosunek do »białej« czy »czerwonej« Rosji, do Litwy, Denikina i wzajemnie, do takich czy innych pretensji, a tylko – wszystkich tych panów łącznie do bolszewizmu [podkreślenie Mackiewicza]. Razem z Piłsudskim. Tu leży sens. Tak samo jak wówczas, tak i – dzisiaj".

Takie stanowisko różniło Mackiewicza, jak sądził, od większości społeczeństwa polskiego. Pisząc na ten temat do Jankowskiego, odwołał się m.in. do praktycznego przykładu – rozmowy z przybyłą z kraju wdową po jednym ze swoich emigracyjnych przyjaciół Stanisławie Kodziu: „Stara kobieta, pozostała, jak była, endeczką, katoliczką; pierwsza rzecz poleciała do komunii św. I... jednocześnie zajadła reżymówka-propagandzistka komunistyczna! – (U nas wsio jest! Nie pozna Pan Polski! Wszystko najlepiej w Polsce Ludowej!). I ubrania lepsze, i buty lepsze, i taniej niż za granicą [...]. Nie jest ważne, że to mówi ona, bo jest głupia jak but, albo może to jest ważne: bo powtarza nastroje i poglądy »pracującej inteligencji«, sfery w której przebywa. Kościół+nacjonalizm+komunizm. Oto, do czego doprowadził genialny Gomułka. Ale ludzie bredzą o jakichś tam »bagnetach rosyjskich«. Polska dziś, z przedmurza chrześcijańskiego skierowanego na wschód, przeistoczyła się w okno wystawowe dobrego komunizmu na Zachodzie i jednocześnie w redutę wypadową międzynarodowego komunizmu na zachód". Spotkanie z wdową po przyjacielu pisarz ocenił tak: „Jedno z najbardziej przygnębiających przeżyć w moim życiu". Opinia ta może czynić wrażenie wyolbrzymionej, jednak będzie zrozumiała w świetle innej wypowiedzi Mackiewicza, w liście do Janusza Kowalewskiego: „Ze wszystkich komunizmów za najgorszy uważam polski". Narodowa odmiana komunizmu był dlań bardziej odpychająca niż międzynarodowa, ponieważ łączyła cechy totalitarne z „ujemnymi cechami nacjonalizmu".

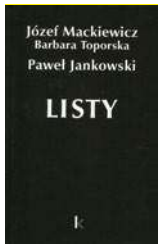
Takie spostrzeżenia powodowały gorzką krytykę społeczeństwa polskiego w kraju i na emigracji, czasem przesadną, bywało, że wyrażoną w formie nazywanej nieparlamentarną, a sprowadzającą się do przekonania, że „cała Polska, wraz z literaturą, nauką i nieomal Kościołem idzie na najdalszy kompromis z bolszewikami" (dalej było już dosadniej). W podobnym tonie pisał nie tylko do swojego przyjaciela „Pawełka", lecz także do innych, jak chociażby do Pawlikowskiego: „My jawnie nie należymy do bloku antykomunistycznego". Jak można zauważyć, od tej krytyki nie był wolny i Kościół

eprasa.pl 101deee3b0

katolicki. Komentując w kwietniu 1965 r. w liście do Jankowskiego zapowiedź mszy żałobnej za duchownych polskich pomordowanych przez Niemców w Dachau, podkreślając, że jest „całym sercem z nimi", zauważał jednak, że „o tym, że akurat przypada XXV rocznica mordu katyńskiego i wymordowania oficerów polskich (mordu, nawiasem, niesłychanego nawet w ostatniej wojnie!) nagle głucho. Czy oni nie mieli dusz, żeby się za nich nie modlić? [...] Cały świat modli się za ofiary hitlerowskie. Słusznie. Ale czy słusznie, że nikt nie modli się za ofiary bolszewickie?".

Silva rerum

Są te listy, jak każdy zresztą z kilku opublikowanych dotychczas tomów korespondencji Mackiewicza, także prawdziwym silva rerum spraw polskich – postaw i poglądów ludzi, rozmaitości i osobliwości życia społecznego powojennego uchodźstwa w ich większym i mniejszym wymiarze. Chociażby, podkreślmy, dyskretne informacje o skromności uchodźczego bytowania, czasem wręcz o niedostatku materialnym. „Żałuję, że nie mam dostępu do paryskiej „Kultury" [...]. Pieniędzy brak, aby go sobie kupić" – pisał Jankowski w październiku 1955 r. A piętnaście lat później: „Zeszyty Historyczne rzadko widuję. Dla mnie są za drogie" [mowa oczywiście o znanych wydawnictwach Instytutu Literackiego Jerzego Giedroycia].



JÓZEF MACKIEWICZ, BARBARA TOPORSKA, PAWEŁ JANKOWSKI „LISTY"
KONTRA

W korespondencji, czasem epizodycznie, pojawia się wielu bardziej czy mniej ważnych uczestników polskiego życia politycznego tamtych czasów, dziś przeważnie zapomnianych, czasem wręcz nierozszyfrowanych w opracowaniu tekstu. W przedostatnim liście do Mackiewicza Jankowski wspomina o raporcie, który z rozkazu komendanta Tajnej Armii Polskiej mjr. Jana H. Włodarkiewicza przewiózł jakiś znajomy Jana Nowaka (Jeziorańskiego). Tym znajomym był ppor. Zygmunt K. Nowakowski z 7. dywizjonu artylerii konnej Wielkopolskiej Brygady Kawalerii, który we wrześniu 1939 r. uczestniczył w bitwie nad Bzurą. Wiosną następnego roku, jako emisariusz mjr. Włodarkiewicza, udał się on z misją i owym raportem na Zachód, do gen. Władysława Sikorskiego. Komendant TAP liczył, jak można wnosić z całego przebiegu sprawy opisanej przeze mnie w „Przeglądzie Historyczno-Wojskowym", że przekona premiera i Naczelnego Wodza, by to jego wyznaczył na dowódcę konspiracji wojskowej w kraju i żeby to TAP, a nie ZWZ, był ośrodkiem konsolidującym podziemie wojskowe.

W korespondencji Mackiewicz daje czasem wyraz swojemu poczuciu humoru – na ile zabawne są tego rodzaju „wtrącenia", to już zależy od usposobienia współczesnego czytelnika listów. W jednym z nich, po słynnym referacie Chruszczowa, radzi Jankowskiemu: „Niech Pan koniecznie dobrze schowa portret Stalina z własnoręczną dla Pana dedykacją, o którym wiem, że Pan otrzymał... Może być nieprzyjemność w razie jakiej rewizji na Zamku. Boję się też, żeby grafolog nie ustalił podobieństwa dedykacji z moim charakterem, bo jeszcze część zbrodni gotowi przypisać mnie!".

Zacytujmy jeszcze fragment, w którym Mackiewicz w innej niż zwykle formie daje wyraz swojej wrażliwości pisarskiej: „Miałem jeden z najpiękniejszych lotów. Londyn w nocy z samolotu i z księżycem na górze, całe miasto w trzech głównych światłach: pomarańczowym, zielonym i fioletowym, poprzecinane wstęgami świetlistymi i z odblaskiem księżyca po Tamizie... To chyba najpiękniejsza rzecz, jaką widziałem w życiu".

*

„Moja żona (czyli Barbara Toporska) twierdzi, że wszystkie listy Pana powinienem kolekcjonować, gdyż są tak ciekawe i dotyczą tak różnych dziedzin, szczegółów, charakterystyk, że w przyszłości należałoby je ogłosić w zbiorze. Ale ponieważ umrę na pewno, i na długo przed Panem, więc kto ma wydać?" – pisał Józef Mackiewicz do „Pawełka", jak nazywał Jankowskiego w listach do innych adresatów, a we wspomnieniu pośmiertnym określił mianem jednego z najbliższych sobie ludzi (chociaż za życia obaj pozostawali na oficjalnej stopie). Pisarz miał rację, określając listy interesującymi, pomylił się jednak w prognozie co do śmierci „na długo przed Panem".

W jednym z listów z 1968 r. pisał o własnej starości i swoim uczuciu, „że należy się do tych, co umierają" (chociaż nie miał jeszcze nawet 70 lat), a dalej żartował, że Jankowski będzie żył jeszcze sto lat „i umierając w 2068", wspomni jego, tj. Mackiewicza, słowa. Tak się nie stało, Paweł Jankowski zmarł w 1974 r., a Mackiewicz przeżył go o 11 lat. A obawa o wydawcę? Okazała się niepotrzebna, ponieważ korespondencja obu wilnian została opublikowana w 2017 r. przez Ninę Karsov i wydawnictwo Kontra jako 26. tom dzieł Józefa Mackiewicza.



Marszałek Józef Piłsudski w zdobytym Wilnie, 19 kwietnia 1919 r. FOT. CAW/WIKIPEDIA

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl 101deee3b0



Sowieccy żołnierze wzięci do niewoli na Krymie
FOT. WIKIPEDIA/BUNDESARCHIV BILD

1941–1945 / Kolaboracja sowieckich jeńców wojennych

Zdrada czy wyzwolenie



Mikołaj Iwanow

Co piąty z 5,7 mln jeńców czerwonoarmistów przeżył niewolę u Niemców, co siódmy walczył u ich boku przeciw Stalinowi

Stosunek sowieckiego państwa, partii komunistycznej do żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej, którzy trafili do niewoli niemieckiej, stanowi zjawisko unikatowe. Według Stalina, który odmówił ratowania nawet własnego syna Jakowa będącego w niemieckiej niewoli, „w Armii Czerwonej nie ma jeńców, są tylko zdrajcy". Dlatego los tych ludzi, z których liczni stali się jeńcami nie z własnej woli, lecz w wyniku beznadziejnego, czasem absurdalnego dowodzenia przez swych „komandirów", z samym Stalinem włącznie, był wyjątkowo tragiczny.

Świadczą o tym wymownie następujące liczby. Z 5 mln 740 tys. żołnierzy sowieckich, którzy trafili do niemieckiej niewoli w latach 1941–1945, wojnę przeżyło jedynie 1,2 mln osób. 818 tys. zgodziło się na kolaborację z Niemcami i zasiliło jednostki Wehrmachtu, SS i innych różnorodnych oddziałów walczących u boku III Rzeszy przeciwko własnej ojczyźnie. Jeszcze bardziej wymownie o tej tragedii mówią liczby określające los tych, których Armia Czerwona i jej zachodni sojusznicy wyzwolili z obozów jenieckich. Z 1 mln ocalałych ponad 200 tys. trafiło z jednej niewoli do drugiej – do sowieckich gułagów. Ich winą było to, że nie zginęli, że poszli do niewoli, nie zdołali się zastrzelić, tak jak tego wymagał tajny regulamin wojskowy, nakazujący oficerom sowieckim strzelać sobie w łeb w razie zagrożenia niewolą.

Gwoli sprawiedliwości odnotujmy, że cena życia ludzkiego zawsze na wschodzie Europy i w Rosji była bardzo niska. Trudno wymienić konflikt wojenny z udziałem żołnierzy rosyjskich czy sowieckich przez ostatnie kilka stuleci, w którym armia rosyjska miałaby mniejsze straty od przeciwnika. Czasem różnica w stratach sięgała skali prawie niewiarygodnej, tak jak w konflikcie z Finlandią w latach 1939–1940. Uważa się, że na jednego zabitego żołnierza fińskiego poległo co najmniej 10 żołnierzy sowieckich. Dlatego spisanie na straty swych jeńców wojennych dla Stalina nie było czymś wyjątkowym.

Terror był w państwie Lenina i Stalina jedną z podstawowych metod rządzenia. Społeczeństwo sowieckie jakby przyzwyczaiło się do wielkich strat ludzkich nawet w czasie tego umownego pokoju w okresie międzywojnia. Jedynie wielki terror z lat 1937–1938 pochłonął do 1 mln ofiar. Spowodowało to niespotykane w dziejach ludzkości społeczne znieczulenie na ofiary ludzkie. Jak twier-

eprasa.pl 101deee3b0



Prowizoryczny obóz jeniecki koło Smoleńska FOT. WIKIPEDIA/BUNDESARCHIV BILD

dzą niektórzy, „zasypanie przeciwnika ciałami własnych zabitych żołnierzy" było podstawową metodą prowadzenia wojny przez sowieckie dowództwo wojskowe. Straty Armii Czerwonej na polach bitewnych drugiej wojny światowej wielokrotnie przewyższały straty armii niemieckiej i jej sojuszników. Według obliczeń badacza rosyjskiego Borysa Sokołowa w 1941 r. straty Armii Czerwonej wobec strat Wehrmachtu układały się w stosunku 18 do 1 w roku 1941, 13,7 do 1 w 1942 r., 10,4 do 1 w 1943 r., 8 do 1 w 1944 r., a w 1945 r. 4,6 do 1.

Już w pierwszych miesiącach wojny Niemcy byli wprost zszokowani ogromną liczbą jeńców sowieckich. Stało się tak, mimo że przygotowania niemieckie do ataku na Związek Sowiecki nie były tajemnicą dla Kremla. 29 grudnia 1940 r., zaledwie kilka dni po podpisaniu przez Hitlera planu wojny przeciwko ZSRS (plan „Barbarossa"), ten dokument już był znany na Kremlu. Z każdym następnym dniem już w 1941 r. wywiad sowiecki dostarczał coraz nowszych informacji na temat przyszłego konfliktu sowiecko-niemieckiego.

Już w połowie 1940 r. rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do wojny z Niemcami. Pierwszy konkretny plan wojny przeciwko III Rzeszy został opracowany przez Ludowy Komisariat Obrony i sztab generalny Armii Czerwonej prawie trzy miesiące przed niemieckim planem „Barbarossa" – już 18 września 1940 r. Przewidywał on uprzedzające Niemców uderzenie i przeniesienie działań wojennych na terytorium wroga. Stalin był przekonany, że Armia Czerwona będzie w stanie natychmiast go rozbić. Jednak pierwsze bitwy przygraniczne zaskoczyły wszystkich. Zamiast mocnego kontruderzenia i „wyzwolenia" Europy z jarzma niemieckich faszystów doskonale uzbrojona Armia Czerwona, mimo swej znacznej przewagi liczebnej, zaczęła ponosić jedną druzgocącą porażkę za drugą. Przez lata przyczyny tych wyjątkowych niepowodzeń były skrupulatnie ukrywane i fałszowane.

Dane o stratach wojsk sowieckich w początkowym okresie wojny są przerażające. Tylko w ciągu trzech pierwszych miesięcy wojny wojska sowieckie straciły 15,5 tys. czołgów, 66,9 tys. armat i moździerzy, ok. 10 tys. samolotów. Te liczby co najmniej trzykrotnie przewyższają uzbrojenie biorących udział w agresji na ZSRS armii niemieckich i armii ich sojuszników w czołgi, samoloty i artylerię. Prawie 4 mln żołnierzy się poddały. Jest to więcej niż liczba żołnierzy całego Wehrmachtu z sojusznikami, którzy 22 czerwca rozpoczęli wojnę. Historyk rosyjski Mark Sołonin widzi tego przyczyny w samej istocie reżimu stalinowskiego: „20 lat okrutnego niszczenia wszystkich norm moralności i prawa, wszystkich pojęć o honorze i godności przyniosło swe zatrute żniwo. W żadnym kraju, który padł ofiarą hitlerowskiej agresji, nie było tak powszechnego moralnego rozkładu, masowej dezercji, tak masowej współpracy z okupantem". Na oczach Stalina jego „niezwyciężona", doskonale uzbrojona armia w ciągu kilku dni, tygodni przemieniła się w bezwolną grupę uzbrojonych ludzi, dążącą jedynie do uratowania własnego życia.

Od pierwszego do ostatniego dnia drugiej wojny światowej niemiecki Wehrmacht nigdy na froncie wschodnim nie miał przewagi liczebnej. Zdecydowanie ustępował on również Armii Czerwonej pod względem liczby i dość często jakości wszystkich typów uzbrojeń. Wielkie niemieckie zwycięstwa w latach 1941–1942 odniesiono głównie dzięki słabości organizacyjnej Armii Czerwonej, fatalnemu dowództwu i pierwotnie braku motywacji do walki u milionów żołnierzy sowieckich. Druzgocące porażki wojsk Stalina wprowadziły Niemców w ich największy błąd. Zamiast oparcia na wszystkich tych, którzy nienawidzili Stalina, i wykorzystania ich dla ostatecznego zwycięstwa postawiono na ich jeszcze większe zniewolenie i niszczenie.

Szczególnie tragiczny był los jeńców wojennych. Katowano ich w rozmaity sposób, maltretowano, głodzono na śmierć, ranni i chorzy nie otrzymywali żadnej pomocy medycznej. Jednak już pod koniec 1941 r. na fali pierwszej poważnej porażki pod Moskwą sytuacja jeńców nieco się zmieniła. Wobec jeńców zastosowano swoistą hierarchię narodowościową. Komendanci obozów otrzymali wytyczne: przedstawiciele jakich narodów nadają się do wykorzystania, a jakich trzeba uznać za niewolniczą siłę roboczą lub skazać na zagładę.

Z prawie 148 oficjalnych narodowości Związku Sowieckiego swoiste uprzywilejowanie nadano jeńcom narodowości niemieckiej, litewskiej, łotewskiej, estońskiej, fińskiej, kałmuckiej, czeczeńskiej, kirgiskiej, tatarskiej, turkmeńskiej, kazachskiej, tadżyckiej i innym. Specjalnemu traktowaniu podlegali również Kozacy, którzy w rzeczywistości byli Rosjanami, lecz przez Niemców byli nie bez podstaw uważani za zagorzałych przeciwników Stalina. W obozach jenieckich rozpowszechniano ulotki w językach tych narodowości namawiające jeńców, aby wstępowali do oddziałów kolaboracyjnych w celu wspólnej walki u boku III Rzeszy przeciwko stalinowskiemu reżimowi totalitarnemu. Obiecano również możliwość niepodległości tych narodów po zwycięstwie nad Związkiem Sowieckim.

Według najnowszych badań historyków rosyjskich i zachodnich ogólna liczba sowieckich obywateli, którzy zdecydowali się wstąpić do różnych jednostek armii niemieckiej i jednostek kolaboracyjnych, wynosi 1,2 mln osób. 818 tys. z tej liczby przypadało na jeńców sowieckich zwolnionych z obozów. Innymi słowy – na każdych 10 żołnierzy Armii Czerwonej walczących na froncie przeciwko Niemcom przypadał mniej więcej jeden żołnierz obywatel Związku Sowieckiego walczący razem z Niemcami przeciwko ZSRS.

Na początku grudnia 1941 r. dowództwo Wehrmachtu na froncie wschodnim wydało specjalną dyrektywę nakazującą specjalne pobłażliwe traktowanie sowieckich jeńców poszczególnych

eprasa.pl 101deee3b0

narodowości – Kałmuków, mieszkańców Kaukazu i Azji Środkowej – w celu przyciągnięcia ich do współpracy, a już 17 grudnia tego roku przystąpiono do tworzenia legionów Turkiestańskiego, Gruzińskiego, Ormiańskiego i Północnokaukaskiego.



Żołnierze Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej (ROA) gen. Andrieja Własowa FOT. WIKIPEDIA/BUNDESARCHIV BILD

Bałtowie

Najbardziej masowy udział w niemieckim wysiłku wojennym obserwujemy wśród narodów krajów bałtyckich. Wiązało się to przede wszystkim z agresją sowiecką przeciwko Litwie, Łotwie i Estonii w 1940 r. i pozbawieniem ich niepodległości, a także tym, że Wehrmacht zajął te tzw. sowieckie republiki w ciągu kilka dni (Litwa) lub kilku tygodni (Łotwa, Estonia), co uniemożliwiło przeprowadzenie mobilizacji na tych terenach. Masowe represje wobec ludności tych krajów również nie sprzyjały zakorzenieniu w świadomości żołnierzy lojalności wobec władz okupacyjnych. Na dodatek Sowieci po okupacji krajów bałtyckich byli tak pewni swego zwycięstwa, że nawet nie rozwiązali armii tych państw. Zmieniono i aresztowano jedynie poszczególnych wyższych dowódców i dowódców średniego szczebla. Od żołnierzy i dowódców niższego szczebla wymagano jedynie złożenia przysięgi na wierność nowej ojczyźnie. Litwinów, Łotyszy i Estończyków w przededniu wojny nie powoływano do ogólnozwiązkowych jednostek Armii Czerwonej, służyli oni w tzw. jednostkach terytorialnych sowieckiej armii, które w rzeczywistości były nieco zmodernizowanymi jednostkami starych armii niepodległych Litwy, Łotwy, Estonii. Nie zmieniono im nawet mundurów i uzbrojenia.

To wszystko doprowadziło do przejścia tych jednostek, poza nielicznymi wyjątkami, na stronę Niemców i do prawie natychmiastowego wstąpienia byłych sowieckich bałtyckich żołnierzy do ochotniczych jednostek kolaboracyjnych. W latach 1941–1945 w rozmaitych jednostkach niemieckich służyło do 150 tys. Łotyszy, 90 tys. Estończyków i 50 tys. Litwinów. Nieco procentowo mniejszy udział Litwinów w wojnie po stronie Niemców tłumaczy się częściowo dziwnym meandrem niemieckiej polityki okupacyjnej. O ile niemiecka polityka dzielenia ras uznawała Łotyszy i Estończyków za Aryjczyków, o tyle Litwini byli podobnego traktowania pozbawieni. Bałtowie tworzyli po stronie niemieckiej 93 bataliony policyjne, 12 pułków straży granicznej, trzy dywizje SS i dwa ochotnicze pułki. W odróżnieniu od innych jednostek kolaboracyjnych jeńcy sowieccy pochodzenia bałtyckiego stanowili w tych jednostkach nieznaczną część składu osobowego.

Zakaukazie i Nadwołże

Gruziński legion składał się z jeńców wojennych i przedstawicieli stosunkowo licznej gruzińskiej emigracji. Niemieckie mundury włożyli na siebie również niektórzy oficerowie kontraktowi Wojska Polskiego, którzy w okresie międzywojnia mieszkali w II Rzeczypospolitej. Legion ten liczył 25 tys. żołnierzy i walczył na wielu frontach. W wojsku niemieckim służyło również ponad 40 tys. Azerów i 20 tys. Ormian. Dowództwo niemieckie musiało w ich wypadku pilnować zasady, aby te dwie jednostki nie walczyły blisko siebie, ponieważ wiekowy konflikt między tymi dwoma narodami kaukaskimi ciążył nad ich wzajemnymi stosunkami również wewnątrz III Rzeszy.

Z przedstawicieli narodów Kaukazu Północnego sformowano osiem batalionów i oddział komandosów „Góral". Walczyli w szeregach tych jednostek Czeczeni, Ingusze, Awarowie, Lezgini, Czerkiesi, Dagestańczycy i inni. Liczba żołnierzy tych jednostek nie przewyższała 15 tys. osób.

Wyjątkową rolę w wojnie III Rzeszy na wschodzie odegrali Kałmucy. Ten zamieszkały w dorzeczu Wołgi stosunkowo nieliczny (134 tys. w 1939 r.) buddyjski naród w większości przywitał armię niemiecką w 1942 r. jak wyzwolicieli. Do szeregów Wehrmachtu ochotniczo poszło walczyć z bolszewikami ponad 7 tys. osób. Stosunek Niemców do Kałmuków był rzeczywiście wyjątkowy. Ktoś w ministerstwie Goebbelsa wymyślił traktowanie ich jako potomków wszechpotężnej Złotej Ordy Czyngis-chana, jako śmiałych bojowników godnych być sojusznikami Wielkich Niemiec w podboju świata. Dlatego niemieckie władze okupacyjne traktowały ich z odpowiednim szacunkiem. Szerokie rozpowszechnienie proniemieckich nastrojów w kałmuckim społeczeństwie było spowodowane również wyjątkowo nieudolną polityką władz sowieckich wobec Kałmuków.

Podczas niemieckiego natarcia na Stalingrad latem 1942 r. władze nakazały przepędzenie całego bydła kołchozowego do Kazachstanu. Rozkaz ten skazywał miejscową ludność na śmierć głodową, ponieważ Kałmucy, jako koczownicy, nie mieli innych źródeł pożywienia oprócz bydła. Panujący na tyłach Armii Czerwonej chaos, a także gwałtowne natarcie wojsk niemieckich przeszkodziły w realizacji tych planów Stalina. Kałmucy jednak za swą kolaborację w czasie wojny musieli zapłacić bardzo wysoką cenę. W 1943 r. cały naród w sposób wyjątkowo brutalny zesłano do

eprasa.pl 101deee3b0

Kazachstanu. Zginęło w czasie wywózki do 30 tys. osób.

Osobną kartę w historii kolaboracji narodów sowieckich z III Rzeszą zapisali Kozacy. Ci mieszkający na obrzeżach imperium Stalina Rosjanie w większości byli nastawieni antybolszewicko, walczyli przeciwko władzy sowieckiej w latach wojny domowej, stawiali masowy opór kolektywizacji i innym zbrodniczym posunięciom władz. Dlatego kiedy jeniec czerwonoarmista oświadczał Niemcom, że jest Kozakiem, traktowano go od razu lepiej. 65 tys. Kozaków ochotniczo zapisało się do jednostek kolaboracyjnych. Dołączyło do nich ponad 5 tys. Kozaków emigrantów, weteranów armii białych w czasie wojny domowej, w tym kilku generałów, na czele z legendarnym dowódcą kawalerii białych gen. Andrejem Szkurą.

Rosjanie

Wbrew licznym ugruntowanym opiniom to nie Ukraińcy stanowili największą liczbę walczących kolaborantów po stronie niemieckiej, lecz rdzenni Rosjanie. Stanowili prawie połowę w składzie ponadmilionowej armii kolaboranckiej. Tworzenie jednostek rosyjskich nabrało tempa szczególnie po przejściu na stronę niemiecką w 1942 r. gen. Andrieja Własowa, jednego z bohaterów bitwy pod Moskwą i ulubieńca Stalina. W 1944 r. Własow stworzył Rosyjską Armię Wyzwoleńczą, której żołnierzy nazywano potocznie własowcami.

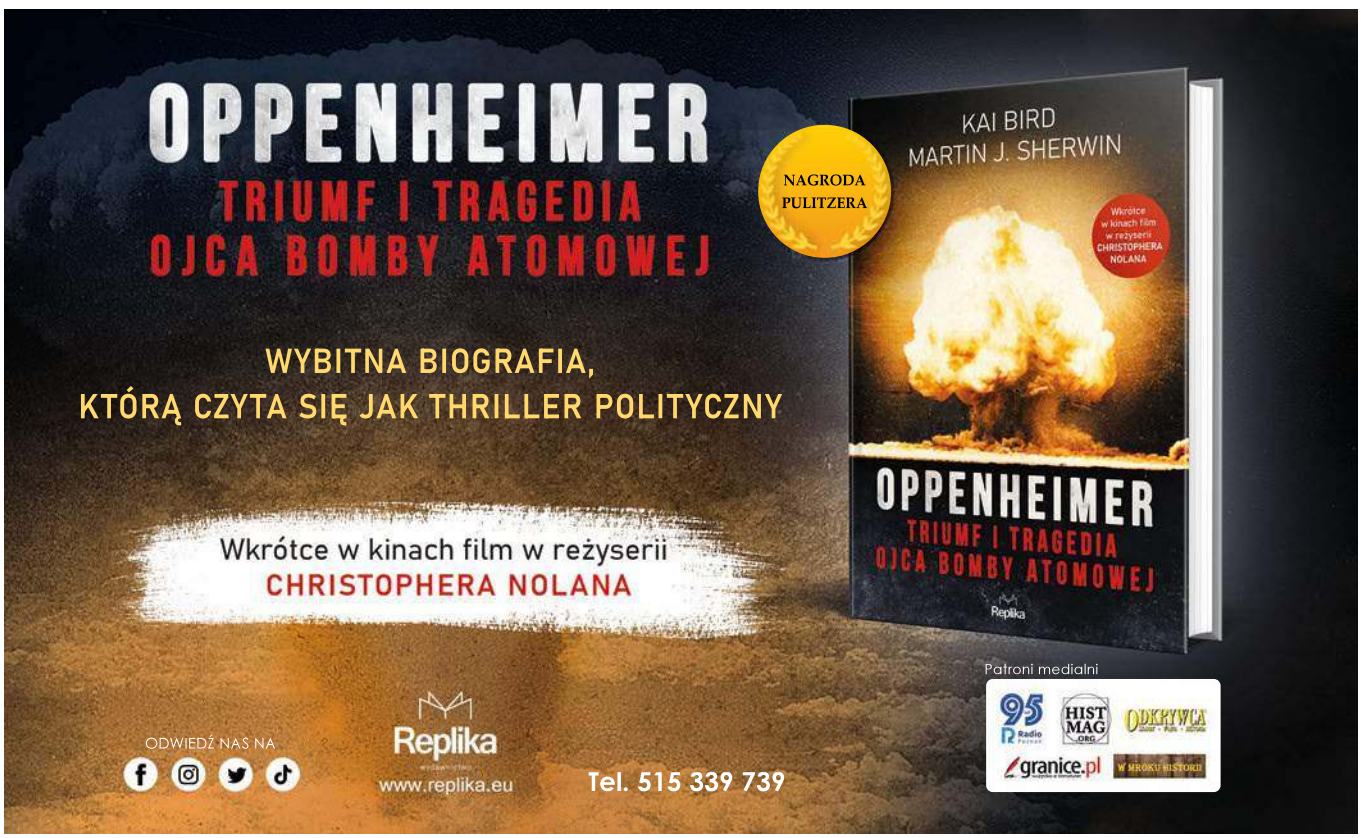
Los większości kolaborantów był tragiczny. W czasie walk na froncie żołnierze Armii Czerwonej nie brali do niewoli tzw. własowców – zabijano ich na miejscu. Po wojnie zgodnie z ustaleniami w Teheranie i Jałcie zachodni sojusznicy zobowiązali się wydać Moskwie wszystkich pojmanych kolaborantów. Ci natomiast, wiedząc, co ich czeka w ojczyźnie, robili wszystko, aby uniknąć przekazania stronie sowieckiej. Amerykanie i Brytyjczycy byli wstrząśnięci wypadkami masowych samobójstw w szeregach żołnierzy Własowa. Stalin jednak potraktował ich stosunkowo łagodnie jak na twórcę wielkiego terroru. Masowych mordów nie było.

Szeregowi żołnierze dostawali zazwyczaj karę od 15 do 25 lat obozów koncentracyjnych, oficerowie od 25 do kary śmierci, ale w 1947 r. karę śmierci w ZSRS zniesiono – jak się okazało – na niepełne trzy lata, czyli do 1950 r. Wielu zatem przeżyło. Nie oszczędzono jedynie całego naczelnego dowództwa jednostek kolaboracyjnych. W 1946 r. w Moskwie, po zamkniętym procesie sądowym, powieszono byłych sowieckich generałów i pułkowników: Andrieja Własowa, Georgija Żylenkowa, Wasilija Małyszkina, Fiodora Truchina, Siergieja Buniaczenkę i Wiktora Malcewa, a także byłych generałów armii białych – Piotra Krasnowa, Timofieja Domanowa, Siergieja Krasnowa, Sultana Kłycz-Gireja i Andrieja Szkurę, którzy obywatelami Związku Sowieckiego nigdy nie byli.

W latach 90. grupa byłych żołnierzy armii Własowa podjęła próbę rehabilitacji skazanych, jednak 25 grudnia 1997 r. Sąd Najwyższy Federacji Rosyjskiej odmówił skasowania wyroku. Wszystkie dalsze próby rehabilitacji również były nieskuteczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 101deee3b0



Konwencja filadelfijska, podczas której powstał tekst konstytucji Stanów Zjednoczonych. Mal. Howard Chandler Christy FOT. WIKIPEDIA

Wywiad / Z prof. Davidem Jacksonem, politologiem z Bowling Green State University w Ohio



rozmawia Piotr Włoczyk

Amerykański cud

– Amerykanie są dziś przekonani, że wszyscy koloniści wspierali wysiłek przeciw Brytyjczykom i zgodnie budowali nowe państwo, ale wyglądało na to, że 13 „zjednoczonych" stanów utworzy trzy lub cztery regionalne bloki polityczne – mówi amerykański politolog

PIOTR WŁOCZYK: 3 września 1783 r. USA podpisały traktat paryski kończący wojnę o niepodległość. Jak silne było wówczas państwo, które właśnie wygrało z największym imperium na świecie?

PROF. DAVID JACKSON: Ameryka, a konkretnie tworzących ją 13 byłych kolonii, była w opłakanym stanie. Kraj był przygnieciony długiem, mieszkańcy bili się o niepodległość zamiast pracować, przez co gospodarka podupadła, a władza centralna właściwie nie istniała – każdy stan robił to, co mu się podobało.

Koncept „Stanów Zjednoczonych" był jeszcze bardzo iluzoryczny. Przyjrzyjmy się choćby pieniądzu. W koloniach w czasie wojny o niepodległość farmer wolał sprzedać swoje produkty Brytyjczykom, którzy płacili w funtach, niż komuś, kto płacił papierowym pieniądzem rządu centralnego. Każdy

eprasa.pl 101deee3b0

wiedział, czym jest funt i jak solidna jest to waluta, natomiast papierowe pieniądze konfederacji miały bardzo niestabilną wartość. Amerykanie są dziś przekonani, że wszyscy koloniści wspierali wysiłek przeciw Brytyjczykom i zgodnie budowali nowe państwo, ale to nie było takie proste.

Co groziło wówczas Stanom Zjednoczonym?

Wyglądało wręcz na to, że 13 „zjednoczonych" stanów utworzy trzy lub cztery regionalne bloki polityczne. To było bardzo realne zagrożenie – regionalizmy były wtedy bardzo silne i wiele wskazywało na to, że zjednoczenie było efemeryczne. Biorąc to wszystko pod uwagę, zwycięstwo nad Wielką Brytanią wygląda wprost niesamowicie.

Jak cud?

To właściwie było coś na kształt cudu. Pobicie Brytyjczyków w znacznej mierze było wynikiem pomocy ze strony Francji. Zresztą jednym z głównych powodów uchwalenia Deklaracji niepodległości było właśnie przekonanie Francji, żeby nas wsparła. Inne nacje również nas wspomagały, jak choćby Holendrzy, ale pamiętamy też oczywiście o wkładzie dwóch ważnych Polaków – Kazimierza Pułaskiego i Tadeusza Kościuszki.

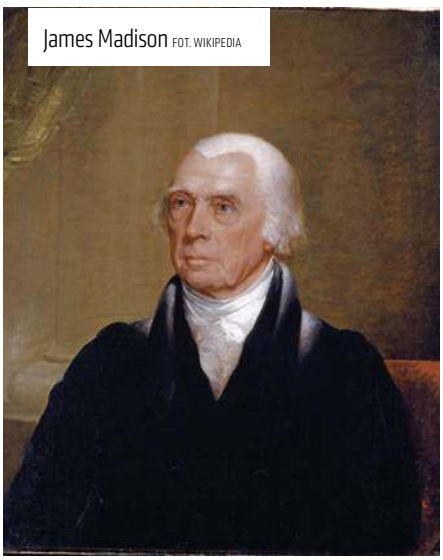
W gruncie rzeczy Brytyjczycy zmęczyli się tą wojną i stwierdzili, że nie chcą jej już kontynuować. Udało nam się pozbawić ich kontroli nad koloniami w Ameryce Północnej, ale nawet po ogłoszeniu i obronieniu niepodległości byłe kolonie miały ograniczoną suwerenność. Brytyjczycy nie do końca bowiem wypełniali postanowienia traktatu paryskiego. Amerykanie musieli więc negocjować z nimi kolejny traktat (traktat Jaya), na mocy którego Brytyjczycy opuściliby wreszcie forty leżące na terenie USA, które mieli zwolnić już wcześniej.

Konstytucja USA weszła w życie sześć lat po traktacie paryskim. Jak działał mechanizm, który do tamtej pory spajał 13 byłych kolonii?

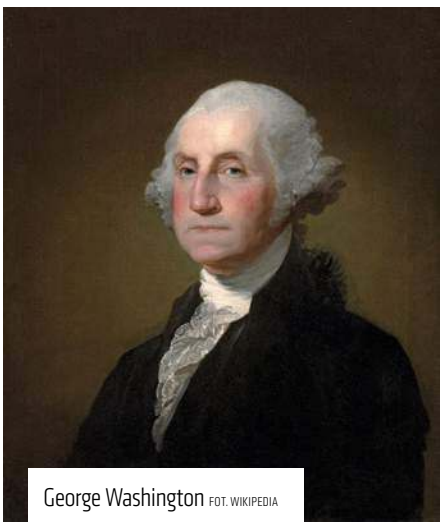
W czasie wojny rewolucyjnej, jak nazywa się ten konflikt w USA, byłe kolonie działały wspólnie w oparciu o artykuły konfederacji. Nikt wtedy jeszcze nie słyszał o amerykańskiej konstytucji. Artykuły konfederacji tworzyły bardzo luźny związek stanów, którego instytucjonalnym przedstawicielstwem był w zasadzie jedynie Kongres. Władze wykonawcza i sądownicza spoczywały w rękach konkretnych stanów.

Czyli ówczesne USA były bliższe dzisiejszej UE niż dzisiejszej Ameryce.

Tak, ale w porównaniu z UE nasz centralny ośrodek władzy miał wtedy jeszcze mniejsze narzędzia dyscyplinujące. Można wręcz powiedzieć, że rząd centralny za sprawą artykułów konfederacji w ogóle nie miał możliwości przymuszenia poszczególnych stanów do czegokolwiek. Za dokumentem tym stał kompromis elit byłych kolonii, a przecież każdy kompromis to po prostu maksimum tego, na co się wszyscy w danym momencie godzą. Wówczas właśnie to było tym maksimum. A jednak mimo tak słabej struktury ponadstanowej udało się złamać dominację Brytyjczyków nad koloniami. W takich okolicznościach obronienie niepodległości naprawdę zakrawa na cud.



James Madison FOT. WIKIPEDIA



George Washington FOT. WIKIPEDIA

Zanim artykuły konfederacji zostały zastąpione przez konstytucję, Daniel Shays musiał wywołać w sierpniu 1786 r. swoją rebelię...

Do buntu doszło w zachodniej części stanu Massachusetts. Tamtejsi farmerzy pod wodzą Daniela Shaysa zbrojnie przeciwstawili się odbieraniu farm z powodu długów. To byli ludzie wprawieni w bojach. Wielu spośród tych farmerów, m.in. ich przywódca, walczyło kilka lat wcześniej o niepodległość od Wielkiej Brytanii. Rebelia była też znakiem sprzeciwu wobec – jak widzieli to buntownicy – oderwaniu elit bostońskich od rzeczywistości.

Rząd stanowy Massachusetts chciał pomocy władz centralnych w zduszeniu buntu, ale nie mógł liczyć na takową. Powód być prosty: artykuły konfederacji nie pozwalały na użycie wojsk konfederacji w celu tłumienia niepokojów wewnętrznych. Massachusetts było więc skazane na własne siły. Ostatecznie władzom stanowym udało się spacyfikować rebelię Shaysa. Przez lata wydarzenie to obrosło wieloma mitami, ale prawda jest taka, że skala tego buntu nie groziła poważniejszymi konsekwencjami konfederacji ani nawet samemu stanowi Massachusetts. Rebelia Shaysa dała jednak paliwo tym wszystkim, którzy opowiadali się za silniejszym rządem centralnym, który miałby narzędzia zdolne przeciwdziałać takim sytuacjom. Zwolennicy zacieśnienia współpracy między stanami przekonywali, że do podobnych rebelii będzie dochodzić częściej, jeżeli nie powstanie silny ośrodek ponadstanowej władzy narodowej. To był jeden z ważniejszych impulsów, które sprawiły, że rozpoczęto prace nad konstytucją.

Dziś już raczej nie pamięta się, że uchwalenie konstytucji USA wcale nie było czymś nieuchronnym i wyczekiwanym przez wszystkich.

Stany były bardzo zróżnicowane, ale jedną z najważniejszych różnic między nimi był stosunek do niewolnictwa. Każda z byłych kolonii na którymś etapie swojej historii pozwalała na posiadanie niewolników, ale jednak z czasem fenomen ten stał się charakterystyczny głównie dla południa. Różnice kulturowe,

eprasa.pl 101deee3b0

religijne, ekonomiczne i polityczne między byłymi koloniami były ogromne. Słaby rząd centralny nie był w stanie jednoczyć Stanów Zjednoczonych Ameryki w jedno państwo. To było po prostu niemożliwe. Często spoglądamy na artykuły konfederacji jako na porażkę, ale w rzeczywistości ten system działał dokładnie tak, jak zaprojektowali go jego twórcy, którzy opowiadali się za decentralizacją. Artykuły konfederacji nie zostały zastąpione przez konstytucję, ponieważ nie spełniały swojej roli, ale stało się tak dlatego, że po pewnym czasie elity byłych kolonii stwierdziły, iż potrzebują jednak innego systemu niż bardzo ograniczony rząd centralny.



George Washington prowadzi wojsko do zbuntowanej Pensylwanii (Whiskey Rebellion) FOT. WIKIPEDIA

Trzeba przyznać, że proces stworzenia i ratyfikacji konstytucji, której „ojcem" był James Madison, przebiegł relatywnie szybko i sprawnie.

Tak. Delegaci pojawili się w Filadelfii w maju 1787 r., a już we wrześniu podpisano gotowy dokument. Co ciekawe, przedstawiciele jednego stanu – Rhode Island – w ogóle się nie pojawili. Ten stan zawsze trzymał się na uboczu. Jego założyciel, Roger Williams, odłączył się od purytanów z Massachusetts, by bronić własnych wolności religijnych, i elity Rhode Island kontynuowały ten izolacjonistyczny kurs.

Z 74 delegatów wybranych na konwencję filadelfijską (znaną też jako konwencja konstytucyjna) 55 pojawiło się w Filadelfii, a 39 podpisało się pod konstytucją. Nawet więc na konwencji nie brakowało ludzi, którzy nie zgadzali się na taki kształt ustroju państwa. Dokument ten nie tylko został szybko przyjęty, lecz także ratyfikacja przez stany odbyła się w dosyć szybkim tempie. Nasza ustawa zasadnicza weszła w życie już 4 marca 1789 r. Do dziś nie brakuje jednak kontrowersji wobec legalności procedury tworzenia konstytucji.

W czym tkwił problem?

Musimy pamiętać, że konwencja filadelfijska miała początkowo jedynie zreformować artykuły konfederacji. I z takim mandatem wyjechali delegaci. Nie brak głosów, że uchwalenie konstytucji było w związku z tym nadużyciem uprawnień.

Widać tu pewne podobieństwa z Konstytucją 3 maja. Stronnictwo króla za pomocą fortelu sprawiło, że większość przeciwnych takiemu projektowi posłów nie było obecnych na sali. Nie brak polskich historyków, którzy taki sposób procedowania naszej pierwszej ustawy zasadniczej nazywają wręcz swego rodzaju parlamentarnym zamachem stanu...

W Ameryce w tamtym czasie podnoszone były podobne głosy – jeżeli delegaci zostali wybrani z innym mandatem, to konstytucja nie miała prawa powstać. Poza tym wybory do konwencji stanowych, które miały ratyfikować konstytucję, były organizowane w pośpiechu, przez co przeciwnicy zastępowania artykułów konfederacji czuli się wymanewrowani i głośno dawali temu wyraz.

Jak dziś politolodzy oceniają pierwszego amerykańskiego prezydenta? Czy bohater wojny o niepodległość był równie dobrym prezydentem jak generałem?

Generalnie politolodzy mają dobrą opinię o prezydenturze Jerzego Waszyngtona i to nie tylko z powodu jego wkładu w obronienie niepodległości. Był to tzw. klasyczny republikanin, czyli człowiek, który odsuwa na bok swój własny interes i przede wszystkim służy społeczeństwu. Waszyngton był przecież bardzo majętny i mógł się zajmować swoim biznesem, a jednak postanowił budować kraj. Ustanowił on zasadę sprawowania urzędu prezydenta maksymalnie przez dwie kadencje, co ewidentnie dobrze służy demokracji. To on też wdrożył zasadę neutralności Ameryki.

Francuzi, którzy ledwie dekadę wcześniej pomagali Ameryce w wojnie z Brytyjczykami, nie mogli być tym ruchem zachwyceni...

Tak. Waszyngton w ten sposób stanął de facto po stronie Wielkiej Brytanii. Jak pokazała historia, była to dobra decyzja. Imperium brytyjskie dominowało na morzach i oceanach jeszcze przez ponad 100 lat, więc polityka Waszyngtona jak najbardziej służyła amerykańskiemu bezpieczeństwu, choć oczywiście Francuzi byli wściekli na Amerykę. Wielu namawiało go do poparcia Francji, ale Waszyngton przedkładał jednak chłodne kalkulacje ponad emocje.

W 1794 r., osiem lat po buncie Shaysa, doszło do wybuchu tzw. Whiskey Rebellion. W Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku można obejrzeć obraz z tamtej epoki przedstawiający Jerzego Waszyngtona na czele armii federalnej maszerującej na rebeliantów. W przypadku tego buntu władze centralne miały już – dzięki konstytucji – odpowiednie narzędzie do reakcji...

Ta rebelia wybuchła z powodu opodatkowania alkoholu produkowanego po domach. A jak wiadomo, Amerykanie nie za bardzo lubili płacić podatki... Ten bunt również wybuchł wśród farmerów, jednak tym razem zarzewie konfliktu miało miejsce w Pensylwanii. Jerzy Waszyngton osobiście stanął na czele armii federalnej, która zgasiła bunt. Natomiast sam „podatek od whiskey" okazał się bardzo

eprasa.pl 101deee3b0

trudny w egzekwowaniu i ostatecznie zniesiono go po kilku latach.

Posada sędziego Sądu Najwyższego to marzenie każdego amerykańskiego prawnika. Czy zawsze tak było?

W początkach istnienia USA wyglądało to zgoła inaczej. Artykuł 1 naszej konstytucji jest najdłuższy i dotyczy powołania Kongresu. Artykuł 2 jest krótszy i określa prerogatywy prezydenta. Artykuł 3 jest najkrótszy z nich wszystkich i powołuje sądownictwo federalne, w tym Sąd Najwyższy. W słynnych esejach pt. „Federalista" (ang. „The Federalist Papers"), tekstach napisanych przez Alexandra Hamiltona, Jamesa Madisona i Johna Jaya w obronie konstytucji, autorzy wprost napisali, że sądownictwo to „najmniej groźna gałąź". To pokazuje, że Sąd Najwyższy nie był umocowany zbyt poważnie. I dlatego początkowo ciężko było namówić znanych i cenionych prawników, by objęli stanowisko w Sądzie Najwyższym. Instytucja ta nie cieszyła się po prostu żadnym respektem.

Ten stan rzeczy zmienił się dopiero dzięki czwartemu przewodniczącemu Sądu Najwyższego Johnowi Marshallowi (pełnił to stanowisko w latach 1801–1835), gdy kierowana przez niego instytucja „wywalczyła" sobie równorzędną pozycję względem pozostałych dwóch gałęzi władzy. Sąd Najwyższy przyznał sobie wówczas moc unieważniania prawa federalnego, jeżeli uznałby, że jest ono sprzeczne z konstytucją. Takich prerogatyw nie znajdziemy wprost zapisanych w konstytucji, ale mimo to od czasu Marshalla władze federalne nie dyskutują z wyrokami. Wszystko zależy od respektu, jakim ta instytucja cieszy się wśród opinii publicznej, ponieważ Sąd Najwyższy nie ma przecież możliwości stosowania przymusu, by zapewnić wykonywanie swoich orzeczeń. Bardzo rzadko władze federalne ignorowały postanowienia najważniejszego sądu w państwie.

Ale jednak zdarzały się wyjątki?

Rządzący Ameryką w latach 1829–1837 Andrew Jackson przegrał przed sądem sprawę dotyczącą przymusowej relokacji rdzennych mieszkańców Ameryki. Jackson wypowiedział wtedy słynne słowa: „Pan Marshall podjął właśnie decyzję, to niech ją teraz wprowadzi w życie". Prezydent po prostu zignorował orzeczenie SN i dokończył wyrzucanie rdzennych Amerykanów z ich ziem na zachód kraju. To był jednak wyjątek, który potwierdzał generalną zasadę: orzeczenie SN kończy dyskusję. Nawet bardzo uparty zazwyczaj Richard Nixon, gdy SN kazał mu przekazać nagrania w sprawie Watergate, posłuchał i prostu to zrobił.

Przełom XVIII i XIX w. w USA to też wielka dyskusja filozoficzno-polityczna między zwolennikami Thomasa Jeffersona i tymi, którzy popierali Alexandra Hamiltona.

Ci pierwsi widzieli w farmerach wybrańców Boga, najlepszy sort ludzi. To oczywiście ciekawe spojrzenie, tym bardziej jeżeli będziemy pamiętali, że w posiadłości Jeffersona pracowali niewolnicy, a nie on sam. Łatwo idealizować życie na wsi, jeżeli najcięższe prace wykonują ludzie zakuci w kajdany. Jefferson wierzył w każdym razie w wizję kraju, którego podstawą jest społeczność samowystarczalnych farmerów, którzy niczego nie zawdzięczają innym ludziom, w związku z czym oddawane przez nich głosy są „najczystsze". Ameryka miała się stać narodem farmerów Yeomanów [Yeoman – przedstawiciel stanu wolnego w Anglii XV–XVIII w.], którzy handlowaliby między sobą nadwyżkami swoich produktów. Jak widać, w tej wizji nie przewidywano dla Ameryki przyszłości jako supermocarstwa.

A czy było w niej miejsce dla miast?

Jefferson otwarcie mówił, że nienawidzi miast. To było dla niego zło, które można było tolerować co najwyżej z uwagi na znajdujące się tam porty służące do eksportu dóbr wyprodukowanych przez farmerów. Konkurencyjną wizję Ameryki stworzył natomiast Hamilton – Ameryka jako globalna siła, potęga przemysłowo-finansowa. Hamilton, pierwszy sekretarz skarbu USA, sprawił, że rząd federalny przejął długi poszczególnych stanów. Jego zasługą jest stworzenie federalnego systemu finansowego, który stał się podstawą amerykańskiej potęgi. Jak widać, wizja Hamiltona bezapelacyjnie zwyciężyła.

Jefferson wygrał jednak z Hamiltonem inną bitwę – o ludzką wyobraźnię. Jego wizja wciąż żyje w umysłach milionów Amerykanów, którzy w samowystarczalnych farmerach Yeomanach widzą ideał zdrowego, szczęśliwego społeczeństwa. Prowincja w jakiś sposób ma bardziej utożsamiać amerykańskie ideały niż nasze miasta, gdzie jednak mieszka absolutna większość Amerykanów. I m.in. dlatego tak wielu wyborców jest bardzo przywiązanych do instytucji Kolegium Elektorów, które nieproporcjonalnie wzmacnia głosy mieszkańców niewielkich pod względem populacji stanów. W ten sposób liczący niecałe 600 tys. mieszkańców rolniczy stan Wyoming ma na Kapitolu tylu samo senatorów, co potężna gospodarczo, 39-milionowa Kalifornia. A musimy przy tym pamiętać, że amerykański Senat ma naprawdę dużą władzę.

Wezwania do wprowadzenia zmian w Kolegium Elektorów pojawiają się w sposób naturalny przede wszystkim po lewej stronie amerykańskiej sceny politycznej. Czy takie postulaty mają realne szanse na realizację?

Nie. Wymagałoby to bowiem zmiany naszej konstytucji, czyli trzy czwarte stanów musiałyby się na to zgodzić. Nie ma szans, by małe stany zagłosowały za taką zmianą. Kto zgodziłby się na uszczuplenie swoich uprawnień?

Na czym polega fenomen amerykańskiej konstytucji, która w ciągu ponad 230 lat była tak niewiele razy zmieniana?

Dokładnie na tym – wyjątkowo trudno ją zmienić. Dwie trzecie Izby Reprezentantów i Senatu musi za tym zagłosować, a potem jeszcze nową poprawkę muszą zaakceptować trzy czwarte stanów. Samo zdobycie tylu głosów na Kapitolu jest ekstremalnie trudne, nie mówiąc już o przekonaniu do zmian 75 proc. stanów. W całej historii USA tylko 27 razy zmieniano konstytucję, z czego pierwszych 10 poprawek zostało przyjętych za jednym razem. W tej liczbie są też dwie poprawki dotyczące prohibicji – jedna wprowadza ją, a druga kasuje. Cały czas trwa u nas debata, czy Ameryka stała się globalną potęgą właśnie dzięki tak „zaryglowanej" konstytucji czy może jednak pomimo niej...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor David Jackson jest amerykańskim politologiem, wykładowcą Bowling Green State University w Ohio, znawcą początków amerykańskiej państwowości.

eprasa.pl 101deee3b0

Polska Ludowa / Ekspresowe tempo odbudowy stolicy



Widok z pl. Hołdu Pruskiego w stronę Odry, 1947 r. Zdjęcie z wystawy „Najdalsza Polska. Szczecin 1945–1948"
FOT. HENRY N. COBB/ MUZEUM NARODOWE W SZCZECINIE

Kopalnia Szczecin



Piotr Semka

Powojenna, rabunkowa rozbiórka – by tylko uzyskać jak najwięcej cegieł – wyrządziła ogromne szkody wielkiemu miastu u ujścia Odry

To ironiczne określenie szczecińskiej metropolii – Kopalnia Szczecin – powstało w pierwszych latach po wojnie. Dotyczyło metropolii nad Odrą jako rezerwuaru cegieł i materiałów z rozbiórki bardziej lub mniej zburzonych szczecińskich gmachów i kamienic. Cegły potrzebnej władzom centralnym do szybkiej odbudowy Warszawy i innych miast Polski. Kim byli ludzie, którzy rozstrzygali o burzeniu domów na jednych ulicach i pozostawianiu w spokoju innych fragmentów miasta?

Decyzje o rozbiórce podejmowały różne podmioty – zarząd miasta, aktyw partyjny, dyrektorzy firm rozbiórkowych. Jak podaje Małgorzata Wrzosek, badaczka losów powojennego Szczecina, zaledwie 5 proc. rozebranego budulca wykorzystano do odbudowy Szczecina. Działalność firm rozbiórkowych i oddziałów Służby Polsce, polegająca na rozbieraniu niekiedy jeszcze całkiem zdatnych do odbudowy budynków, stanowi do dziś głęboką szczecińską traumę.

Jej symbolem jest potępiana dziś rozbiórka w 1954 r. przedwojennego Teatru Miejskiego – w niewielkim stopniu uszkodzonego przez bombardowania. Wzniesiony w 1848 r. gmach teatru, według projektu Carla Ferdinanda Langhansa, kojarzył się wówczas z pozbawionym wartości artystycznej pruskim pompieryzmem. Prezydent Piotr Zaremba narzekał, że były gmach Stadttheater zasłania widok z placu Żołnierza na Odrę. A zapewne w ostatecznym rachunku zadecydowała potrzeba wypełnienia planu dostawy cegły. Z podobnego powodu, choć bardziej wskutek finansowej rachuby, rozebrano na cegłę w Berlinie Zachodnim mało zniszczony Anhalter Bahnhof.

Stara pruska zabudowa z przełomu XIX i XX w., dziś przyjmowana z sentymentem, wtedy dość powszechnie była uważana za „germański nalot" na prasłowiańskim mieście. Nie cenił jej prezydent Piotr Zaremba, sam z wykształcenia urbanista, który chętnie snuł wizje Szczecina przyszłości i podobnie jak architekci Biura Odbudowy Stolicy w Warszawie w zniszczeniu starej tkanki miejskiej widział szanse na nowe, awangardowe rozwiązania.

„Chodziło tu o coś więcej – wskazywał Zaremba. – O wykorzystanie tragicznej, ale jedynej okazji, by na ruinach i zgliszczach wznieść miasto nowe, kontynuujące wartościowe tradycje miasta starego, ale odżegnujące się od tego wszystkiego,

eprasa.pl 101deee3b0

co przyniosło ze sobą długotrwałe obce panowanie".

Danina dla syreniego grodu

Centrala w Warszawie była w kwestii pozyskiwania cegły rozbiórkowej jednoznaczna i nie miała ochoty na żadne dyskusje dotyczące lokalnych potrzeb. Dla komunistów powojenna ekspresowa odbudowa Warszawy była absolutnym priorytetem i kwestią stricte propagandową. Odległy Szczecin, przez długi czas uznawany za miasto nie wiadomo jak długo mogące pozostać przy Polsce, nie był w stolicy przesadnie szanowany.

Historyk Piotr Paziewski wskazuje: „Nikła wiedza o dziejach i kulturalnych tradycjach Szczecina zadecydowała o tym, że stał się on budowlanym zagłębiem. Miał bowiem znaczący udział w wielkiej akcji »cały naród buduje swoją stolicę«. Stąd pochodziło ponad 20 proc. (jak doniósł »Kurier Szczeciński« z 22 kwietnia 1950 r.) z milionów rozbiórkowych czerwonych »cegieł z odzysku«".

Aby je pozyskać, rozbierano całe kwartały zabytkowej zabudowy miejskiej i średniowieczne spichlerze nadodrzańskie. Jechały wprost do pieczołowicie i forsownie odtwarzanej od 1949 r. Warszawy. Stolica niczym nienasycony moloch ze swoimi setkami budów domagała się wciąż nowych transportów cegieł. „Po linii partyjnej" zobowiązywano „teren" do udziału w akcji „cały naród odbudowuje stolicę". Takie działania były dokładnie nadzorowane przez wojewódzkie organy PPR, a potem PZPR.

Cegłę rozbiórkową sprzedawano również innym miastom – trafiała m.in. do Gdańska, Wrocławia, Poznania.

Varsavianista Jerzy S. Majewski zachęca jednak, by nie zatracać miary w opisie zjawiska:

„Owszem, Szczecin bardzo ucierpiał od rozbiórek. Ten sam los spotkał jednak w tym samym czasie wiele średniej wielkości miast na Dolnym Śląsku. Także później, w latach 60., zdarzały się jaskrawe przykłady rozbiórkowego amoku. W Legnicy, mieście, które przeszło wojnę dość dobrze, doprowadzono sporą część starej zabudowy miasta do takiej ruiny,



Piotr Zaremba, pierwszy polski prezydent Szczecina (1945–1950) FOT. DOMENA PUBLICZNA

że w latach 60. dokonano ogromnych spustoszeń rozbiórkowych. Można dyskutować też z mitem, że to dotyczyło obszarów zniszczonych – gdzie więc i cegły do rozbiórki było więcej – np. całkowicie zniszczonych dzielnic południowych. Rabunkowe rozbiórki staromiejskich zabytkowych starówek były losem także takich miasteczek jak Malbork na Powiślu czy Orneta na Warmii.

Musieli przyjmować to do wiadomości prezydent Piotr Zaremba i wojewoda Leonard Borkowicz. Co więcej, prezydent Zaremba ze swoją ideą arterii nadodrzańskiej i planem urbanistycznym odsunięcia od rzeki przyszłej zabudowy miasta sam był entuzjastą pozbycia się ruin domów szczecińskiego podzamcza leżących na planowanej trasie.

Choć, aby być obiektywnym, z gąszczem ruin dawnej starówki żegnano się też z przyczyn porządkowych. W zniszczonych nalotami alianckimi kamieniczkach starówki, często o średniowiecznych fundamentach, zalągł się po wojnie szczeciński półświatek przestępczy. Tu szabrownicy mieli swoje magazyny,


MIEJSKI KOMITET PRZESIEDLEŃCZY

podaje do wiadomości:

że dnia 10 sierpnia b. r. odszedł transport z Lublina w ilości 450 osób

Odjazd następnego transportu przesiedleńczego

do miasta

SZCZECINA

na

POMORZE ZACHODNIE

odbędzie się

dnia 17-go sierpnia 1945 roku.

Punkt zborny Ekspedycja Towarowa stacji LUBLIN

o godzinie 9-ej rano

(-) Władysław Rymski

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

a przestępcy – bardzo dobrze zamaskowane kryjówki. Krążyły plotki o domach schadzek „dla wtajemniczonych" czy też o piwnicach ruin jako miejscu ukrywania zwłok.

Prezydent Szczecina Piotr Zaremba tak opisywał w 1946 r. tę dość zakazaną wówczas dzielnicę przylegającą do Odry: „Za mostem kręta i stroma ulica Dworcowa wiodła między zwałami gruzów, piętrzącymi się na wysokość kilku pięter. Wypalony trzon tak zwanego czerwonego ratusza z otwartym wejściem do dwóch kondygnacji suteren służył za siedlisko lokalnym bandom złodziejskim, amatorom szybkiego wzbogacenia się, był miejscem podejrzanych transakcji i spotkań. Można tam było znaleźć pośredników do nabycia aut dowolnej marki, całych wagonów z zawartością, stosów odzieży lub maszyn do pisania. Tam – oraz w ruinach pobliskiego starego miasta – działało całe szczecińskie podziemie gospodarcze, opierające swe istnienie na powiązaniach, które znajdujący się w mieście Niemcy mieli ze swymi rodakami z zagranicy, którą wówczas jeszcze stosunkowo łatwo można było przekraczać. Faktem jest, że w latach 1945–1949 wieczorami i nocą w te rejony miasta zapuszczali się tylko najtwardsi „kozacy".

Krany, rury, armatura

Prawdziwą zmorą ówczesnych lat dla Szczecina była działalność zawiązywanych ad hoc firm wydobywania armatury budowlanej. Zazwyczaj nosiły one bardzo urzędowe i szumne nazwy. Zakładali je cwaniacy, którzy podczepiali się pod rozmaite instytucje w Warszawie – np. Koleje Państwowe – i dysponując odpowiednio ultymatywnie sformułowanymi pismami, przyznawali sobie prawo do odnajdywania, wymontowywania i wywożenia ze Szczecina jak największej ilości poniemieckiej armatury budowlanej i sanitarnej. Pozostawione przez Niemców mieszkania pozbawiano wanien, umywalek, muszli sedesowych, kafelków, instalacji elektrycznych, gazomierzy, światłomierzy, a także, jeśli to się udawało, mebli.

eprasa.pl 101deee3b0



Ruiny Zamku Książąt Pomorskich
FOT. JAN BUŁHAK/BIBLIOTEKA NARODOWA

Bardzo często wysyłali oni na wabia swojego zaufanego człowieka, który zgłaszał do władz Szczecina, że może się zająć administracją domów mieszkalnych. Gdy już swoją funkcję obejmował, przyjeżdżali jego kamraci z Krakowa czy Lublina, ogałacali mieszkania z cennych części, wywozili je wagonami uzyskanymi za łapówkę od kolejarzy i wreszcie – znikali w komplecie.

Jak wspominał prezydent Szczecina: „Przypadkowo dobrani ludzie, zdolni do improwizacji, nie zawsze okazywali się dobrymi, a co ważniejsze, uczciwymi administratorami w miarę stabilizowania się sytuacji. [...] Administracja domami mieszkalnymi kulała, a najgorzej było z upilnowaniem nieodbudowanych ruin, które rozciągały się wzdłuż wszystkich ulic miasta. Zdrowy rozsądek nakazywał, aby z tych ruin demontować te elementy budowlane i instalacje, które nadawały się do remontu i odbudowy innych zniszczonych budynków. W praktyce jednak demontaż ten przeprowadzały co bardziej przedsiębiorcze jednostki, wywoziły łup w głąb kraju, gdzie można było uzyskać zań większą cenę aniżeli w Szczecinie”.

Władze Szczecina i szerzej wojewoda zachodniopomorski z czasem zaczęli coraz skuteczniej walczyć z tymi najazdami łowców wanien i umywalek z głębi kraju. Bardzo często problemem było też ogałacanie zniszczonych fabryk i fabryczek przez „indywidualnych szperaczy i zorganizowanych szabrowników”. Ale bardzo często trzeba było też bronić terenów przyfabrycznych przed ekipami zaopatrzonymi w resortowe glejty i pieczęcie, przybywającymi po to, aby w oficjalny sposób demontować, co tylko można, dla zasilania jakiegoś odbudowującego się zakładu w głębi kraju.

Jak pisał Piotr Zaremba: „W takich przypadkach wraz z wojewodą Borkowiczem zdecydowanie się temu przeciwstawialiśmy. Wówczas to wyciągaliśmy nasze pełnomocnictwa i każdy w swym zakresie działania sprzeciwiał się uszczuplaniu tych zasobów, jakie przemysł szczeciński jeszcze posiadał. Szczecin to nie kopalnia – takie było nasze hasło. [...] Bywały też wypadki, że ekipy te, nauczone doświadczeniem, przybywały w otoczeniu własnej siły zbrojnej: uzbrojonej straży fabrycznej znad Pilicy czy Dunajca, a nawet w asyście własnej milicji wojewódzkiej. Wówczas załatwienie tych problemów przypominało staropolskie zajazdy – choć nie pamiętam, aby ktoś został przy tym cieleśnie poszkodowany. Natomiast szkody na honorze były częste – gdyż niehonorowanie zarządzeń rozmaitych resortowych »pełnomocników« powodowało ich przyjazd do nas i różne, w stanowczej formie prowadzone rozmowy”.

Priorytet: piastowskie dziedzictwo

Temu dosyć bezkształtnemu ciągowi prac nad usunięciem ruin z Podzamcza towarzyszyła, trzeba przyznać, duża troska o ocalenie tego, co uznawano wówczas za dziedzictwo piastowskie. Nazwa ta była czysto propagandowa, gdyż np. ocalały „zamek piastowski” był faktycznie siedzibą rody Gryfitów. A jeśli bywał „piastowskim”, to jedynie w czasach rządów Mieszka I, Bolesława Chrobrego, a potem Bolesława Krzywoustego. Piotr Zaremba przeforsował swoją doktrynę, w myśl której sam zamek miał być uratowany i odbudowany, natomiast nagromadzona między XV a XIX w. zabudowa Podzamcza miała być usunięta jako pozbawiona historycznej wartości. Jak pisał Zaremba: „Masa wypalonych murów zamku Książąt Pomorskich zasłonięta było ruinami domów mieszkalnych bez historycznej wartości. Już wtedy myśleliśmy o tym, jak przystąpić do jego odbudowy [...]. Zamek musi być odsłonięty i górować swą bryłą nad portem i miastem”.

Szczecin nie miał szczęścia do decyzji centrali. O ile starówka w Gdańsku czy częściowo we Wrocławiu była na skutek decyzji na szczeblu centralnym odbudowywana z dużym nakładem sił i środków, o tyle Szczecin zostawiono samemu sobie na długo. Odbudowa zamku Książąt Pomorskich trwała do 1975 r. Starówkę odbudowano dopiero w XXI w. Zmorą Szczecina było bardzo długo trwające przekonanie, że jego obecność w granicach Polski nie jest do końca zadecydowana. Dopiero wizyta w 1959 r. w Szczecinie I sekretarza sowieckiej KPZR Nikity Chruszczowa przyniosła solenne deklaracje o niezmienności granic na Odrze i Nysie.

Wtedy też zaczęto na szersza skalę eksperymentować z nowoczesnym budownictwem, zagospodarowując teren dawnej starówki. Nie zmieniało to jednak faktu, że dawny kościół farny św. Jakuba zaczął być na serio odbudowany dopiero po powołaniu przez Stolicę Apostolską archidiecezji szczecińskiej w 1972 r., której tenże kościół stał się katedrą. Już wcześniej miejscowi księża starali się o decyzję o odbudowie świątyni, ale napotykali opór urzędników do spraw wyznań. Nie pomagał nawet argument, że niemieckie ziomkostwa uwielbiają w swych publikacjach publikować zdjęcia ruin fary św. Jakuba jako dowód na niezdolność Polaków do zagospodarowania uzyskanego miasta.

Szczecin z rozmaitymi stratami i wyburzeniami z lat bezpośrednio po wojnie zmaga się do dzisiaj. Przykładowo na liście budynków, które są wspominane z żalem, jest rozebrany na początku lat 60. stosunkowo dobrze zachowany jako ruina budynek filharmonii przy ul. Małopolskiej. Dopiero międzynarodowa sława postawionego na miejscu dawnej filharmonii nowego budynku o śmiałej modernistycznej architekturze i znakomitej akustyce załagodziła żal za budynkiem, który wcześniej stał na tym miejscu. Powoli zapełniane są też dziury w zabudowie śródmieścia. Szczecin bardzo powoli leczy swoje wojenne i powojenne straty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 101deee3b0



Laureaci i organizatorzy plebiscytu Strażnik Pamięci na tegorocznej gali na Zamku Królewskim w Warszawie FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Obrońcy pamięci nagrodzeni

Tygodnik „Do Rzeczy" uhonorował na 10. gali nagrody Strażnik Pamięci instytucje i ludzi dbających o krzewienie polskości i obronę prawdy historycznej

„Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości" – te słowa Józefa Piłsudskiego już od 10 lat przyświecają kapitule Strażnika Pamięci.

Jak co roku nagrody zostały przyznane w trzech głównych kategoriach: Mecenas, Instytucja oraz Twórca.

W kategorii Mecenas – za upowszechnianie wartości polskiej kultury materialnej – Strażnika Pamięci otrzymały Lasy Państwowe. – Mowa o organizacji, która zarządza ponad siedmioma milionami hektarów lasów, co czyni ją największą tego typu w Unii Europejskiej – podkreślał w laudacji redaktor naczelny portalu DoRzeczy.pl Karol Gac.

W kategorii Instytucja nagrodą Strażnik Pamięci uhonorowany został Narodowy Bank Polski za stworzenie Centrum Pieniądza NBP im. Sławomira Skrzypka. – Narodowy Bank Polski posiada własne muzeum – choć to słowo nie oddaje sedna rzeczy. Centrum Pieniądza NBP to placówka ekspozycyjno-edukacyjna, powstała, by opowiedzieć o trudnych dziejach rzeczy, bez której nie ma suwerenności i niepodległości: dziejach pieniądza – powiedział w laudacji Piotr Gociek.

W ostatniej kategorii – Twórca – za Strażnika Pamięci uznany został filozof prof. Ryszard Legutko. Laudację na cześć laureata wygłosił Piotr Semka, który przypomniał, że już w latach 90. prof. Legutko otwierał Polakom, a także mieszkańcom Zachodu oczy na zagrożenia związane z coraz bardziej zawężającym się pod względem ideologicznym liberalizmem.

Z kolei nagrodę specjalną portalu DoRzeczy.pl otrzymało Centrum Życia i Rodziny. – Centrum od wielu lat wytrwale i konsekwentnie przeciwstawia się wypychaniu ze świadomości i z debaty publicznej dwóch kluczowych zagadnień: że największymi, najbardziej przemilczanymi ofiarami relatywistycznego państwa i konsumpcyjnego społeczeństwa są nienarodzeni – podkreślał podczas laudacji Marek Jurek, były marszałek Sejmu, który obecnie jest m.in. felietonistą tygodnika „Do Rzeczy".

W tym roku przyznano też specjalną, jubileuszową nagrodę z okazji 10-lecia Strażnika Pamięci.

Uhonorowano nią koncern PKN Orlen. – Nasz laureat wspiera twórczość najwyższego lotu, godne osiągnięcia i tradycje, pamięć o najlepszych cechach narodowej wspólnoty, patriotyzm – mówił w laudacji Maciej Rosalak, redaktor naczelny „Historii Do Rzeczy".

Na gali wręczono również nagrodę przyznawaną pod patronatem „Do Rzeczy" przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka: Strażnik Wartości – Custos Virtutum. W tym roku wyróżnienie to otrzymał Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen. – Osoba, która pokazała, że można zbudować wielki i silny środkowoeuropejski koncern multienergetyczny, i która potrafiła z wielkim osobistym zaangażowaniem przesunąć środek ciężkości z konkurencji, jak miało to miejsce przez lata w Europie Środkowej pomiędzy koncernami Orlen i MOL – na współpracę – podkreślał w czasie laudacji dr hab. Maciej Szymanowski, dyrektor Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka. ©℗

oprac. p.w.

Partnerzy główni: KGHM, PZU
Partnerzy: IKO Fundacja, PGE, STRABAG WORK ON PROGRESS, Lasy Państwowe, HUAWEI
Współorganizator: Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka
Patronat medialny: TVP TELEWIZJA POLSKA

eprasa.pl 101deee3b0



Kałmuccy ochotnicy prezentują się przed gen. Siegfriedem Henricim
FOT. DOMENA PUBLICZNA

1942–1945 / Kalmücken Verband Dr. Doll

Kałmucy bitni i straszni



Arkadiusz Karbowiak

Nadwołżańscy jeźdźcy w służbie Hitlera odznaczyli się w zwalczaniu partyzantów sowieckich i mordowaniu Polaków

Rejon dolnej Wołgi w pierwszej połowie XVII w. zaczęli zasiedlać wyznający religię buddyjską mongolscy Kałmucy, jak nazywała ich miejscowa ludność. Prowadząc koczowniczy tryb życia, trudnili się zasadniczo pasterstwem, hodowlą koni i owiec. Po przewrocie bolszewickim część Kałmuków opowiedziała się wspólnie z Kozakami po stronie białej kontrrewolucji. Po zwycięstwie „czerwonych" spadły na nich represje. W ich wyniku, lecz także klęski głodu w latach 1918–1924 aż o 70 tys. zmniejszyła się populacja ludności kałmuckiej, liczącej w czasach imperium rosyjskiego ponad 190 tys. mieszkańców. Ten spadek pogłębiła śmierć kolejnych 14 440 osób, zmarłych z głodu w latach 1932–1934. Poddani presji totalitarnego państwa Kałmucy, podobnie jak wiele innych narodów zamieszkujących ZSRR, oczekiwali wyzwolenia z żelaznego uścisku bolszewickiej dyktatury.

Tymi, którzy tego dokonali, byli żołnierze LII Korpusu Armijnego generała Eugena Otta. 12 sierpnia 1942 r. do opuszczonej przez Sowietów Elisty, stolicy Kałmuckiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki, wkroczył pluton zwiadowczy 111. Dywizji Piechoty Wehrmachtu. Pod koniec sierpnia pojawiła się na kałmuckich stepach 16. Dywizja Piechoty, dowodzona przez gen. Sigfrida Henrici, którego zastąpił wkrótce, znany z krytycznego stosunku do Hitlera i narodowego socjalizmu, gen. Gerhard von Schwerin.

Precz z kołchozami

Już pierwsze posunięcia administracji wojskowej wskazywały, że Niemcy przykładają dużą wagę do nawiązania przyjaznych stosunków z Kałmukami. Przed wkroczeniu do Kałmucji szef sztabu 6. Armii wydał specjalną instrukcję, dotyczącą właściwego traktowania ludności na zajmowanych obszarach. Do sztabu 16. Dywizji delegowano specjalnego pełnomocnika, prof. barona Bolka von Richthoffena, mającego sprawować nadzór nad utrzymaniem poprawnych relacji ze społecznością kałmucką. W listopadzie 1942 r. przybył do Kałmucji występujący pod pseudonimem dr Otto Doll-Othmar Rudolf Vrba (czasami podawana jest forma nazwiska Verba – przyp. A.K.). Pochodził on z rodziny o niemiec-

eprasa.pl 101deee3b0





Naszywka kałmuckiej formacji FOT. WIKI.ELAN-KAZAK.ORG

kich korzeniach (ojciec był podobno sudeckim Niemcem), mieszkającej na terytorium Imperium Romanowych.

Z zawodu architekt i ekonomista, władający sześcioma językami (rosyjskim, ukraińskim, tureckim, greckim, perskim i tybetańskim), w czasie pierwszej wojny służył Vrba w armii austro-węgierskiej (według innych źródeł rosyjskiej), a potem w Ukraińskiej Armii Halickiej. W latach 20. pracował w niemieckim konsulacie w Odessie. Tak charakteryzował go raport oficera WK GG (Wehrkreis Generalgouvernement – Okręg Wojskowy GG): „44 lata, na służbie czynnej już w armii austro-węgierskiej [...]. Ekonomista i architekt. 2,5 roku pracował w niemieckim konsulacie w Odessie. Zna historię i języki Rosji. Od początku wojny w różnych siedzibach korpusu oficerskiego i kontrwywiadu armii".

Vrba otrzymał podczas służby w Abwehrze przyznawany osobom nieposiadającym przeszkolenia wojskowego na odpowiednim poziomie stopień Sonderführera (B), czyli specjalisty, będący odpowiednikiem stopnia majora (według innych źródeł, kiedy przybył do Kałmucji, nosił stopień Sonderführera (Z), czyli porucznika). Doktor Doll pracował w Abwehrtruppe 103. Szybko zdobył uznanie i autorytet wśród Kałmuków. Obcował z nimi na co dzień, rozwiązując na bieżąco różne trudne sprawy dotyczące ich codziennego bytowania. Vrba podjął współpracę z kałmucką starszyzną i wspierał nominacje osób cieszących się autorytetem na stanowiska kierownicze w administracji. Nawiązywał także kontakty z przedstawicielami kleru buddyjskiego, któremu stworzono możliwości uprawiania kultu religijnego. Z wdzięczności za tę postawę Kałmucy nazywali Sonderführera „Ava", czyli ojciec.

Jego działania wspierała wojskowa administracja. Niemcy ku uciesze miejscowej społeczności rozwiązali kołchozy, a mienie rozdzielili wśród ludności. Starano się najmniej, jak to było możliwe, ingerować w tradycyjne zwyczaje Kałmuków. Dano oczywiście tym, którzy tego chcieli, możliwość powrotu do koczowniczego trybu życia. W pięciu wyzwolonych z rąk bolszewickich ułusach oraz trzech częściowo zajętych powołano do życia kałmuckie władze samorządowe. Burmistrzem Elisty został emigracyjny polityk Bemba Cuglinow, p.o. prezydent Republiki Kałmucji. Powstał także quasi-rządowy ośrodek władzy w postaci kałmuckiego Komitetu Narodowego z Sambą Balinowem na czele. W Eliście oddział IC 16 DP wydawał w języku rosyjskim i kałmuckim gazetę w ilości 10 tys. egzemplarzy. W 160 wsiach powołano do życia formacje wiejskiej samoobrony lub policji.

Oczywiście stosunki niemiecko-kałmuckie nie układały się bezkonfliktowo. Pewien problem stanowiły rekwizycje prowadzone zarówno przez Niemców, jak i przez szczególnie odczuwających braki w zaopatrzeniu w żywność Rumunów. Sprawa rekwizycji oparła się nawet o osobę marszałka Iona Antonescu, ale do końca pobytu wojsk niemiecko-rumuńskich nie udało się tej kwestii polubownie rozwiązać.

25 szwadronów

Późnym latem 1942 r. Niemcy rozpoczęli formowanie ochotniczych formacji kałmuckich. Feldmarszałek Maximilian von Weisch, dowódca Grupy Armii B, wspominał: „Kałmucy, którzy w większości nienawidzili bolszewizmu, okazali wielką pomoc w walce z jednostkami rosyjskimi". Początkowo w strukturach 16 DP znalazły się dwa szwadrony kawalerii 1/66 i 2/66. Potem ich liczba urosła do 25 skupionych w czterech dowodzonych przez oficerów kałmuckich dywizjonach. Kałmucy nazywali je Kałmuckim Korpusem Kawalerii, a w niemieckiej nomenklaturze nosiły nazwę Kalmücken Verband Dr. Doll. Oddziały te wyspecjalizowały się w działaniach rozpoznawczych, dokonując dalekich rajdów rekonesansowych na zaplecze wroga. Ale kawalerzyści walczyli także aktywnie z sowiecką partyzantką. Częstokroć otrzymywali, podobnie jak Niemcy, wsparcie w postaci informacji przekazywanych przez wrogo nastawioną do bolszewików ludność cywilną.

Dowódca 16 DP mógł w styczniu 1943 r. zameldować swoim przełożonym, że „wszystkie grupy partyzanckie działające w okolicach Elisty zostały prawie zniszczone". Jedną z nich był 22-osobowy (13 Rosjan i Ukraińców i 9 Kałmuków) oddział nr 59 o kryptonimie Grzmot pod wodzą Ilii Germaszewa, zniszczony przy pomocy kałmuckiej policji 7 listopada 1942 r. w pobliżu miejscowości Baga Burul. Jeńców wziętych wtedy do niewoli rozstrzelano w Eliście, co było standardową praktyką.

Pomoc, którą Niemcy uzyskali od Kałmuków, potwierdził po wojnie

eprasa.pl 101deee3b0



Kałmucki kawalerzysta w 1942 r. FOT. WIKI.ELAN-KAZAK.ORG

gen. Hermann Höth dowodzący 4 Armią Pancerną: „Stworzenie jednostek kałmuckich było słusznym posunięciem, ponieważ udzieliły absolutnie wyjątkowej pomocy 16. Dywizji Piechoty, która znalazła się w niezwykle trudnej sytuacji na kałmuckim stepie". Polityka niemiecka wobec Kałmuków – różniąca się zasadniczo w wielu kwestiach od polityki sowieckiej – spowodowała, że część kałmuckiej społeczności traktowała Niemców z dużą sympatią. Nawet narodowo-socjalistyczna symbolika w postaci swastyki stała się swoistym elementem łączącym, budziła bowiem u Kałmuków skojarzenia z buddyjską swastyką będącą symbolem szczęścia. Jedynym dramatycznym zdarzeniem, do jakiego doszło w Kałmucji w okresie rządów niemieckich, była egzekucja pod Elistą około 300 Żydów (według innych danych 80–100), rozstrzelanych przez Einsatzkommando 11a (Sonderkommando Astrachań), być może przy bezpośrednim udziale, co nie jest to do końca jasne, policji kałmuckiej.

Kaci Polaków

Na początku 1943 r., w związku z sowiecką ofensywą, armia niemiecka zmuszona była wycofać się z Kałmucji. Swoją rodzinną ziemię musieli opuścić również żołnierze Kałmuckiego Korpusu Kawalerii oraz cywilni uchodźcy. Czekał ich długi marsz odwrotowy wiodący od stepów Powołża, przez GG, Chorwację, do Austrii. Wiosną 1944 r. korpus przeniesiono do Generalnego Gubernatorstwa na teren dystryktu lubelskiego i podporządkowano 213. Dywizji Zabezpieczenia (213 Sicherungs Division). Kałmuków skierowano do walk z oddziałami Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich, komunistycznej Armii Ludowej i partyzantki sowieckiej.

Korpus wziął udział w dwóch dużych operacjach antypartyzanckich przygotowanych przez Okręg Wojskowy GG Strumwind I i Strumwind II. W tej pierwszej, szturmując pozycje partyzanckie od strony Tanwi, już 11 czerwca 1944 r., pod wsią Graby, Kałmucy nawiązali kontakt bojowy z 17-osobowym oddziałem BCH Juliana Kaczmarczyka „Lipy", który po zaciętej walce udało im się prawie całkowicie unicestwić. Poległo wraz z dowódcą 13 partyzantów, a tylko czterem z ubezpieczenia udało się bezpiecznie wycofać.

Nie był to jedyny przypadek zadawania bolesnych strat polskiemu podziemiu. 28 czerwca 1944 r. pododdziały kałmuckie natknęły się w okolicy wsi Szyszki na przemieszczające się dwa zgrupowania partyzanckie AK – „Prokop" i „Włodzimierz". Ostrzelani z karabinów maszynowych i moździerzy partyzanci zdołali się wycofać, ale tabory zostały rozbite. Straty wynoszące kilku rannych były niewielkie, co zapewne należy zawdzięczać temu, że bój toczył w porze nocnej. Niestety, wśród rannych znalazł się postrzelony w udo dowódca zgrupowań kpt. Ernest Wodecki „Szpak". 29 czerwca 1944 r. przewieziono go wraz z kilkoma partyzantami stanowiącymi ochronę do przysiółku Kahlówka, leżącego pomiędzy Tarnawcem a Kuryłówką. Tam ukryto go w zabudowaniach gospodarczych gajówki. 29 czerwca 1944 r. pojawili się w Kahlówce dokonujący rekwizycji Kałmucy, którzy natknęli się na partyzantów. Podczas walki doszło do obrzucenia granatami stodoły z broniącymi się akowcami. W efekcie wszyscy czterej ranni z kpt. „Szpakiem" na czele oraz trzej partyzanci z ochrony zginęli.

Wcześniej, w dniach 18–25 czerwca 1944 r., pododdziały korpusu wzięły udział w operacji „Sturmwind II", mającej na celu zniszczenie sił partyzanckich zgrupowanych w Puszczy Solskiej. Na tym obszarze zostało zamkniętych w kotle 1,2 tys. partyzantów Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich, pod dowództwem komendanta zamojskiego Inspektoratu AK mjr. Edwarda Markiewicza „Kaliny", oraz 3,7 tys. sowieckich i alowskich partyzantów ze zgrupowania enkawudysty ppłk. Nikołaja Prokopiuka – 1. Brygady AL Ziemi Lubelskiej i Brygady im. Wandy Wasilewskiej. Do akcji okupanci zaangażowali ok. 30 tys. żołnierzy i policjantów z 154. Dywizji Rezerwowej, 174. Dywizji Rezerwowej, 213. Dywizji Zabezpieczenia, 4. Pułku SS i Policji, 318. Pułku Zabezpieczenia, Kałmuckiego Korpusu Kawalerii oraz wielu innych mniejszych jednostek.

Kałmukom przydzielono zadanie zamknięcia kotła okrążenia od strony południowej, rozmieszczając ich pomiędzy wsiami Borowiec – Płazów. W międzyczasie Niemcy otrzymali informację o dużych siłach partyzanckich ulokowanych na tym odcinku; stąd pododdziały korpusu wzmocniono batalionem 4. Pułku SS i Policji. Obie jednostki miały nie dopuścić do przebicia się przeciwnika na tereny położne na południe od rzeki Tanwi. Właśnie na obszarze podległym korpusowi doszło 23 czerwca 1944 r. do wyrwania się z okrążenia sowieckich oddziałów. Akowcy i bechowcy, pozostawszy w kotle, zostali zdziesiątkowani. Poległo prawie 500 polskich partyzantów (nie licząc strat komunistycznych

eprasa.pl 101deee3b0

i sowieckich). Niemcy ujęli z bronią w ręku 471 jeńców, 2765 zabili (w tej liczbie znajdowali się również cywile). Straty niemieckie wyniosły 77 zabitych i 212 rannych (wśród nich byli żołnierze kałmuccy).

Teren pobojowiska przez kilka dni przeszukiwali żołnierze z Kalmüken Verband Dr. DolI. Ujętych „bandytów", jak i „pomocników band" – jak określano ich w nomenklaturze niemieckiej – współpracujących z partyzantką prawdziwych i urojonych członków siatki cywilnej Kałmucy przekazywali do obozu przejściowego w Tarnogrodzie, placówek gestapo w Borowcu lub Łukawicy, bądź rozstrzeliwali na miejscu. Postępowanie Kałmuków czasami nosiło znamiona działań o charakterze kryminalnym. Już w czasie operacji „Sturmwind I" doszło w wielu miejscowościach do bestialskich mordów, gwałtów i rabunków mienia. 12 czerwca 1944 r. Kałmucy rozstrzelali we wsi Harasiuki od 30 do 40 osób, 13 czerwca 1944 r. w Momotach Dolnych osiem osób, w Mamotach Górnych 16 osób, a w Ujściu 16 osób.

Bezwzględne obchodzenie się z cywilami powodowało równie bezwzględne reakcje ze strony AK. Podczas zasadzki zorganizowanej 16 lipca 1944 r. w okolicach miejscowości Górki Kościelne przez oddziały AK Edwarda Błaszczaka „Groma" „Wira" oraz Tadeusza Kuncewicza „Podkowy", na przemieszczający się szwadron kałmucki, raniono dwóch kawalerzystów, a dwóch wzięto do niewoli. W czasie przesłuchania jeńcy zeznali, że szwadron udawał się do miejscowości Górecko Stare, aby ją spalić. W konsekwencji obu jeńców rozstrzelano. W lipcu 1944 r. korpus przerzucono do dystryktu radomskiego. Kałmucy zostali rozmieszczeni m.in. w kilku miejscowościach gminy Bodzentyn. Doszło tam do pojedynczych zbrodni na cywilach (cztery ofiary) i kilkunastu gwałtów.

Na Kielecczyźnie Kałmucy również dopuszczali się zbrodni. 5 sierpnia 1944 r. w Masłowie zamordowali pięć osób, a 14 sierpnia 1944 r. wkroczyli do Lipna i zatrzymali 66 osób, z których 16 wywieźli do Skarżyska Kamiennej, 50 zaś do Starachowic. 14 września 1944 r. spacyfikowali wieś Szałas, będącą matecznikiem AK. Spalono tam żywcem AK-owską łączniczkę Lucynę Furmańczyk. W tym samym miesiącu, w odwecie za zabicie przez sowieckich spadochroniarzy czterech kałmuckich żołnierzy, spacyfikowali wieś Kozia Wola, zabijając dwie osoby, a 70 aresztując. Pomimo dokonywanych zbrodni nie zawsze Kałmucy zapisywali się w pamięci mieszkańców zdecydowanie negatywnie.

Wskazuje na to protokół przesłuchania z dnia 7 kwietnia 1966 r. Jana Borowca przez funkcjonariusza MO w ramach śledztwa prowadzonego w sprawie zbrodni korpusu: „[...] Daty dokładnej nie pamiętam, ale wydaje mi się, że we wrześniu 1944 r. do Odrowążka przyjechał oddział Kałmuków liczący około 1000 osób. [...] Kałmucy posiadali ze sobą tabory oraz kobiety pochodzenia rosyjskiego i polskiego. [...] Kałmucy w Odrowążku przebywali gdzieś do końca grudnia 1944 r. [...] W okresie, kiedy Kałmucy przebywali w Odrowążku, nie słyszałem, aby dokonywali oni jakiś rabunków, względnie dokonywali jakichś morderstw. Miejscowa ludność w zasadzie żadnych zatargów z Kałmukami nie miała. U nas w wiosce zabierali jedynie siano dla koni i bydła, które posiadali ze sobą".

W ręce Sowietów

W sierpniu 1944 r. nastąpiła zmiana na stanowisku dowódcy korpusu. Zabitego Sonderführera Othmara Vrbę (zaginął podczas walk z sowiecką partyzantką) zastąpił ppłk. (NN) Pipgorra, występujący pod przydomkiem Bergen. Zamierzał on dokonać reorganizacji korpusu, liczącego według stanu na dzień 6 lipca 147 oficerów, 3291 podoficerów i szeregowych oraz 92 oficerów, podoficerów i żołnierzy stanowiących kadrę niemiecką. Ten zamiar wywołał niezadowolenie u przewodniczącego Kałmuckiego Komitetu Narodowego. Zasadniczą osią konfliktu była chęć nominowania na stanowiska dowódcze niemieckich oficerów. Podpułkownik nie zamierzał aprobować gwałtów, kradzieży, morderstw swych podkomendnych, które były możliwe, jak słusznie podejrzewał, tylko dzięki akceptacji tych praktyk ze strony kałmuckich dowódców. Generał Ernst Kösting, sprawujący nadzór z ramienia OKH nad wschodnimi oddziałami ochotniczymi, nie chcąc pogłębiać napięć na linii dowództwo korpusu – komitet, zwolnił dotychczasowego dowódcę i mianował na jego miejsce byłego członka niemieckiej misji wojskowej w Bukareszcie płk. Raimunda Hoersta.



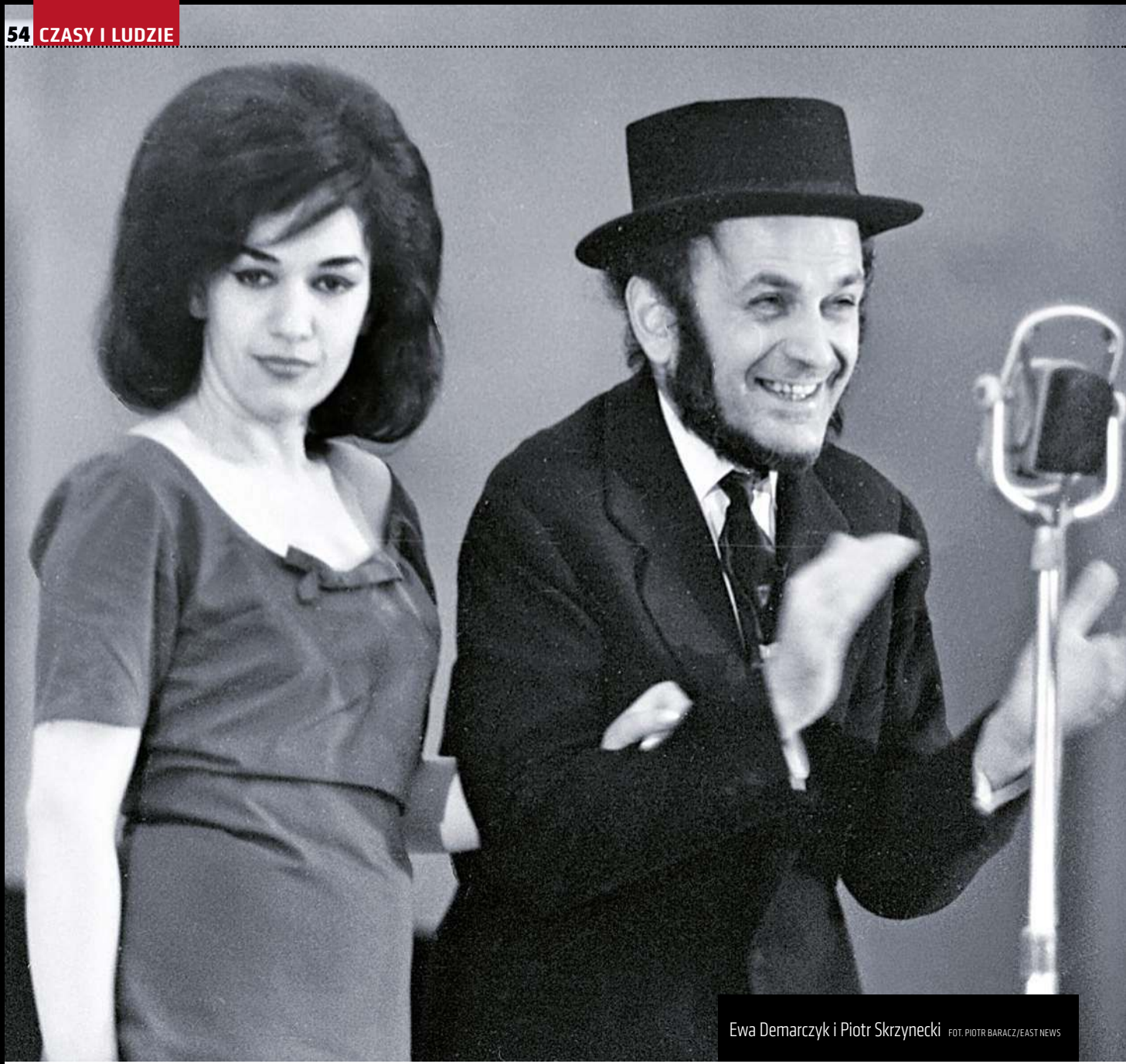
Żołnierz kałmuckiej formacji
FOT. WIKIPEDIA/BUNDESARCHIV BILD

Na początku 1945 r. oddziały korpusu kałmuckiego zostały rozbite w trakcie sowieckiej ofensywy. Kawalerzystów wycofano do Niemiec i dyslokowano do Chorwacji. Tam Kałmuków włączono do XV Kozackiego Korpusu Kawalerii SS, a konkretnie do 3. Dywizji gen. Iwana Kononowa. Żołnierze tej jednostki podzielili los Kozaków wydanych w ręce bolszewików w Austrii w 1945 r. Niewielu udało się znaleźć azyl polityczny na zachodzie. Wcześniej, bo w listopadzie 1944 r., przewodniczący Kałmuckiego Komitetu Narodowego Samba Balinow, sprawujący polityczną opiekę nad korpusem, w przeciwieństwie do przywódców innych komitetów narodowych wyraził wolę przystąpienia do Komitetu Wyzwolenia Narodów Rosji działającego pod przewodnictwem gen. Andrieja Własowa.

Faktycznego transferu kałmuckiego pułku do Sił Zbrojnych KONR nie udało się już przeprowadzić ze względu na zakończenie działań wojennych. W ZSRS Kałmucy zostali uznani za naród kolaborantów i zbiorowo ukarani za współpracę z Niemcami. W grudniu Józef Stalin, a formalnie Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, podjął decyzję o rozwiązaniu Kałmuckiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki i deportacji ludności kałmuckiej na Syberię, do Ałtaju i Uzbekistanu. W efekcie wysiedlono 92 tys. Kałmuków.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 101deee3b0



Ewa Demarczyk i Piotr Skrzynecki FOT. PIOTR BARACZ/EAST NEWS

1955–1956 / Początki Piwnicy pod Baranami

Przy świecach i tanim winie

eprasa.pl 101deee3b0



Sławomir Koper

Premierę programu kabaretowego urządzono w połowie grudnia 1956 r. Nalegał na to Skrzynecki. Scenę z drewnianych skrzynek zbił Dymny...



Od lewej: Tadeusz Kwinta, Mirosław Obłoński, Krzysztof Litwin, Zygmunt Konieczny FOT. HENRYK MAKAREWICZ/PAP

Połowa lat 50. była znakomitym okresem dla rozwoju studenckich kabaretów. To właśnie wtedy powstały gdański Bim Bom czy warszawski STS, ale największą legendą miała stać się krakowska Piwnica pod Baranami. Zainaugurowała swoją działalność w tym samym okresie, chociaż początkowo wcale nie miała być kabaretem.

„W roku 1955, był to chyba maj – relacjonował Wiesław Dymny – poznałem, a właściwie ujrzałem na własne oczy Piotra Skrzyneckiego. Oprowadzał jakąś wycieczkę po wystawie malarzy ukraińskich. Nie miał jeszcze brody, za to z dużą pewnością siebie tłumaczył zdumionym wieśniakom, w jaki sposób artysta powinien malować zwózkę zboża czy kopanie ziemniaków, na poparcie zaś swej nieomylności miał zawsze jakiś niezbity przykład w postaci olbrzymich obrazów".

Właściwymi założycielami słynnego kabaretu byli Skrzynecki i Kika Lelicińska, którzy poszukiwali miejsca, gdzie mogliby spotykać się ze znajomymi, aby spokojnie dyskutować przy winie o interesujących ich tematach. Marzyło się im coś na kształt klubów paryskich intelektualistów – miejsce, gdzie rozmawiano by o literaturze i filmie bez ingerencji z zewnątrz.

Wino marki Wino

Skrzynecki i Lelicińska byli uparci, w efekcie kierownictwo Krakowskiego Domu Kultury oddało studentom w użytkowanie piwnice w znajdującym się na krakowskim Rynku dawnym pałacu Potockich nazywanym Pod Baranami. Piwnica była zasypana węglem oraz gruzem i młodzi zapaleńcy raźno wzięli się do pracy. W ich gronie przeważali studenci szkół artystycznych, początkowo był tam nawet Krzysztof Penderecki, ale z obawy o uszkodzenie rąk (studiował wówczas w klasie skrzypiec) musiał zrezygnować z pracy fizycznej. Takich problemów nie miał Wiesław Dymny, który niebawem zjawił się na miejscu. Jak zawsze był w Krakowie tam, gdzie działo się coś interesującego.

„Wszedłem po wąskich schodach do ciemnego podziemia – kontynuował – skąd kilku kolegów na plecach wynosiło kosze z węglem i gruzem. Na kominku płonął ogień, paliło się kilka świec, dym gryzł w oczy. Sulma [Józef Sulma, student ASP – przyp. S.K.] rozwalał kilofem ceglany mur dzielący sale na połowy. Skrzynecki biegał podniecony, pan Sztyc (woźny Domu Kultury) doradzał, gdzie i jak ustawić krzesła i ławeczki. Również za poradą pana Sztyca powstała scena, zrobiona z kilku postumentów, na których stały do tej pory popiersia wodzów. Kiedy jeszcze wymyto ceglaną podłogę, ścianę i ustawiono krzesła, wydał się nam nie gorszy od Teatru imienia Słowackiego".

Nie do końca było to prawdą, gdyż przez dłuższy czas lokal nie posiadał własnej toalety i jego użytkownicy korzystali z gościnności sąsiadów. Ale początek został zrobiony, chociaż nikomu nie przychodziło jeszcze do głowy, że tworzą legendę, która miała przetrwać swoich założycieli. Inna sprawa, że po latach trudno ustalić dokładny przebieg wypadków, a świadkowie czasami przeczą sobie wzajemnie.

Początkowo był to jednak faktycznie klub dyskusyjny z wyszynkiem. Podawano najtańsze alkohole (wino „patykiem pisane" na zimno lub na gorąco) i ciasteczka kupowane w Towarzystwie Kulturalno-Społecznym Żydów przy ul. Sławkowskiej. Wybór miejsca zakupów nie był przypadkowy, tylko tam bowiem udzielano im kredytu.

Przydatnym nabytkiem okazał się Dymny, który jako bardzo silny mężczyzna jeździł razem z „barmankami" (Dorota Terakowska i Maria Pawełek) po zapasy, ciągnąc je na wózku. Z powrotem wesoła gromadka solidarnie popychała pojazd w kierunku rynku. Nie zmienia to faktu, że wyszynk stał się poważnym problemem finansowym dla bywalców Piwnicy.

Wino bowiem brano na kredyt, a także sprzedawano w identyczny sposób. Gdy wreszcie przychodziło do regulowania rachunku za dostawy, „barmanki" podnosiły „straszny wrzask" i wówczas wszyscy obecni składali się na dług. Ale nigdy nie wystarczało środków na jego pokrycie i zobowiązania urosły wreszcie do kwoty 400 zł (średnia krajowa wynosiła wówczas nieco ponad 1 tys. zł). W efekcie bar zbankrutował.

Bywalcom Piwnicy szybko przestała wystarczać formuła klubu dyskusyjnego.

eprasa.pl 101deee3b0



Piotr Skrzynecki na scenie Piwnicy pod Baranami
FOT. STANISŁAW PIOTROWSKI/PAP

Gorzej, że od samego początku ujawniły się różnice zdań na temat kierunków działalności. Wprawdzie powołano zarząd i wydrukowano nawet karty wstępu, ale nie było spójnej koncepcji funkcjonowania. Zdarzyło się nawet, że usunięto z Piwnicy Piotra Skrzyneckiego, który chciał stworzyć kabaret. Miał on jednak swoich zwolenników i ciągle „coś motał, tworzył własne koterie, planował, zmieniał plany, przeszkadzał i był przeciw". W efekcie „dla świętego spokoju przyjęto go z powrotem". O wszystkim jednak miał zadecydować przypadek.

Faktycznie zdecydowano się na kabaret, ale programy miały być prezentowane wyłącznie przyjaciołom i ich znajomym. Nikt nie myślał o komercyjnej stronie widowiska, miała to być wyłącznie dobra zabawa we własnym gronie. Zresztą pierwszy wieczór zakończył się, delikatnie mówiąc, porażką. „W blasku świec i ognia z kominka – wspominał Kazimierz Wiśniak – podawano gratis i w nieograniczonych ilościach najtańsze grzane wino »Wino«. Rysio Fischbach grał na gitarze, Wanda Szczuka ułożyła specjalny taniec Piwniczny. Wieczór był wyjątkowo nudny".

Problemem były też finanse, konieczny był bowiem zakup wina, szklanek, bułek dla dekoratorów oraz pokrycie kosztu transportu fortepianu. W tej sytuacji pożyczono 1 tys. zł od przyszłego rzeźbiarza Bronisława Chromego, który jako jedyny z założycieli Piwnicy wówczas pracował i dysponował własnymi pieniędzmi. Kwota ta nigdy nie została zwrócona właścicielowi…

Piotr Skrzynecki

Człowiek, bez którego nie można sobie wyobrazić Piwnicy pod Baranami, miał za sobą skomplikowaną młodość. Był młodszym synem dowódcy 7. Pułku Ułanów Lubelskich, ppłk. Mariana Skrzyneckiego, i Magdaleny Endelman pochodzącej z asymilowanej rodziny żydowskiej. Ojciec zginął podczas wojny obronnej Polski w 1939 r., a Piotr ze względu na pochodzenie matki musiał się ukrywać w czasie okupacji niemieckiej. Jego edukacja była wyjątkowo pogmatwana, rozpoczął bowiem studia w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Łodzi, po czym przeniósł się do Państwowej Szkoły Instruktorów Teatrów Ochotniczych. Z tego powodu trafił na praktyki do Nowej Huty, gdzie prowadził zajęcia teatralne wśród robotników budujących kombinat.

Został zaakceptowany przez środowisko, a nawet był dość lubiany, co czasami przybierało zadziwiające formy. „Zapraszali go do knajpy na bigos – relacjonowała Joanna Olczak-Roniker – po zjedzeniu którego tłukli lampę i uciekali, żeby nie płacić, ale kazali mu siadać przy drzwiach, żeby mógł pierwszy uciekać. Po pół roku praktyki zapisał się na historię sztuki".

Odnalazł się jako student tego kierunku, ale nie ukończył edukacji z powodu problemów ze Studium Wojskowym. Nie powinno to specjalnie dziwić, gdyż każdy, kto miał okazję studiować w czasach PRL, dobrze wiedział, że nauka na uczelni dzieliła się na zajęcia wojskowe i całą resztę. I niejedna osoba bez problemów radząca sobie na studiach miała ogromne problemy z zajęciami militarnymi. A nieukończenie Studium Wojskowego skutkowało relegacją ze studiów.

Inna sprawa, że Skrzynecki w ogóle nie przystawał do rzeczywistości państwa „przodującego ustroju". Mieszkał nielegalnie, czyli – jak wówczas określano – „waletował" w domu studenckim Akademii Sztuk Pięknych, czasami sypiał w nocnych tramwajach, jeżdżąc nimi do rana, nocował w szatniach lokali z wyszynkiem lub w wagonach na bocznicach kolejowych. Z tego powodu zdarzało się, że „budził się w Chabówce lub w Suchej" i problemem stawał się powrót, gdyż jak zwykle nie miał pieniędzy. Jego sytuację najlepiej określały suche zdania sugerujące społeczne zagrożenie: „Nie studiuje. Nie pracuje. Nie posiada stałego miejsca zamieszkania. Nie posiada środków utrzymania".

Różnie też bywało z jego codziennym wiktem, odżywiał się bowiem „po domach, gdy go poczęstowano", ewentualnie „po knajpach, gdy go ktoś zaprosił". Nie gardził też odstępowanymi przez znajomych talonami na zupę albo na drugie danie w studenckich stołówkach. Zapewne nieraz był głodny, ale właśnie takie życie chyba najbardziej lubił. Powtarzał zresztą, że sam dokonał wyboru, i z dumą powtarzał, że „do niczego nie dąży, niczego nie chce osiągnąć i niczego nie chce posiadać".

Jednocześnie był niezwykłym erudytą i ludzie, którzy mieli okazję go bliżej poznać, stawali się jego zajadłymi wielbicielami. Pomagały w tym jego ogromne poczucie humoru i dystans do własnej osoby. Miał też swoją wizję przyszłości Piwnicy, która bez niego nigdy nie osiągnęłaby sławy. On sam został jej legendą, ale o wszystkim zadecydował kolejny przypadek.

W stronę kabaretu

W podziemiach pałacu Potockich odbywały się również imprezy dostępne dla każdego. Należały do nich wystawy plastyczne, na których prezentowano dzieła członków Piwnicy i ich przyjaciół. Tego rodzaju wernisaż miał Kazimierz Wiśniak, ale potem także Krystyna Zachwatowicz, późniejsza żona Andrzeja Wajdy, czy naczelny „Przekroju" Marian Eile. Nie zachowały się natomiast informacje na temat sprzedaży obrazów i rysunków, a z niektórych wspomnień można odnieść wrażenie, że ich twórcy byli zadowoleni, gdy nie zginęło zbyt wiele prac.

W połowie grudnia 1956 r. odbyła się jednak premiera programu kabaretowego, na co bardzo nalegał Skrzynecki. Scenę z drewnianych skrzynek zbił Wiesław Dymny i łącznie pojawiło się na niej dziewięć osób, w tym późniejsze legendy Piwnicy, takie jak Barbara Nawratowicz czy Krzysztof Litwin. Konferansjerem został późniejszy scenograf Krzysztof Żrałek, natomiast Skrzynecki musiał się zadowolić rolą obserwatora.

Publiczność faktycznie składała się wyłącznie ze znajomych, a program był

eprasa.pl 101deee3b0

zadziwiającym pomieszaniem abstrakcyjnego humoru, utworów Gałczyńskiego, tekstów prasowych i francuskich piosenek. Poczesne miejsce zajmował esej Leszka Kołakowskiego „Czym jest socjalizm", który ze względu na zastrzeżenia cenzury nie został opublikowany. Wyrecytowano go w formie litanii i na wszystkich zrobił ogromne wrażenie. Wieczór zakończył się w stylu paryskiego kabaretu, konferansjer zaczął rzucać krzesłami w publiczność, która z krzykiem rzuciła się do ucieczki.

Następnego dnia Skrzynecki ostro skrytykował twórców i wykonawców. Uznał program za haniebny, a dyskusja przy stoliku w jednej z krakowskich kawiarni zakończyła się stłuczeniem szklanego blatu. Nie wszyscy jednak widzowie mieli podobnie negatywne odczucia i np. Sławomir Mrożek sprawiał wrażenie zafascynowanego, a już wówczas należał do osób o wyjątkowo wybrednych gustach.

Oczarowany był również szef „Przekroju" Marian Eile, który poświęcił Piwnicy rozkładówkę pisma i zaczął konsekwentnie promować młodych zapaleńców. Do chóru zachwytów przyłączył się także „najbardziej wybredny krytyk w Polsce" Ludwik Flaszen. „Ciasno tu i tłoczno – pisał w lutym 1957 r. – że skoroś raz usiadł, nie wstaniesz do końca przedstawienia. Siadasz w płaszczu, bo zimno tu jak na dworze (okno piwniczki



SŁAWOMIR KOPER
„ULUBIEŃCY BOGÓW UMIERAJĄ MŁODO"
WYDAWNICTWO FRONDA

nie ma szyb), potem od tłoku robi się u góry gorąco i tylko nogi piekielnie marzną od posadzki".

Flaszen uznał jednak, że dzięki ascetycznym warunkom można skupić się na odbiorze programu, gdyż wygoda rozprasza, a nawet usypia. Zauważył też, że ważnym elementem scenografii był brak światła elektrycznego, chociaż było ono zainstalowane w Piwnicy. Grano jednak przy świecach i blasku kominka, dzięki czemu jeszcze bardziej zacierała się różnica pomiędzy członkami kabaretu a widownią.

Skład kabaretu był dość płynny, tworzyli go przecież młodzi ludzie, którzy kończyli studia i rozpoczynali karierę zawodową. Tym bardziej że w PRL od 1950 r. istniał nakaz pracy i absolwenci wyższych uczelni na trzy lata byli kierowani do różnych regionów kraju. A nawet ci, którym udało się tego uniknąć, i tak musieli zająć się zarabianiem pieniędzy. Piwnica nie mogła im tego zapewnić, gdyż początkowo jedyny dochód stanowiły dobrowolne datki od widzów. Przypominało to zresztą nieco „zbieranie na tacę" i nie każdy chciał naśladować Skrzyneckiego oraz jego tryb życia.



Spektakl jubileuszowy w 10. rocznicę powstania Piwnicy pod Baranami (1966 r.)
FOT. HENRYK MAKAREWICZ/PAP

Odszedł rzeźbiarz Bronisław Chromy, podobnie postąpił Krzysztof Żrałek, który przeniósł się do Warszawy, gdzie niebawem dał się poznać jako wzięty scenograf. Jego miejsce zajął Mariusz Chwedczuk, który stanowisko zawdzięczał głównie temu, że „miał sztruksową marynarkę i był bardzo elegancki". Jednak pewnego dnia nie pojawił się na przedstawieniu i wówczas uznano, że skoro Skrzynecki zawsze wszystko krytykował, to powinien go zastąpić. Tym bardziej że zdążył się już „przeprosić z ekipą" i zabiegał nawet o niewielkie role, nie ukrywając zresztą, że „bardziej zależy mu na gaży niż sławie". Wynosiła ona wówczas ok. 6 zł za występ, co stanowiło równowartość „dwóch grzanych win" lub „dwóch paczek papierosów".

Jednak pan Piotr w roli konferansjera wydawał się pomysłem abstrakcyjnym. Miał słabą dykcję, a poza tym nigdy nie potrafił trzymać się ustalonego tekstu, przejawiając irytujący zwyczaj wtrącania własnych dygresji. Być może niektórzy mieli nadzieję, że zostanie wygwizdany i przestanie wszystko krytykować? „Tego wieczoru wypchnęli Piotra na scenę – opisywał Wiśniak – żeby prowadził kabaret. Ludzie się gromko śmiali, bo faktycznie niewyraźnie mówił, a raczej bełkotał. Sam się z tego śmiał i cały czas przepraszał. To w zasadzie był występ, nie konferansjerka".

Skrzynecki podążył drogą przetartą przed laty przez Fryderyka Jarossyego i z własnych słabości uczynił swój najważniejszy atut. Oczywiście obu panom pomagały ich inteligencja, erudycja i osobisty urok, ale trzeba przyznać, że krakowianin miał znacznie trudniejsze zadanie niż słynny Węgier. Piwnica dopiero startowała, a on nie był zagraniczną gwiazdą, na którą można byłoby się snobować. Ale stworzył własny, niepowtarzalny styl, którego znaczącymi elementami były dystans i śmiech z siebie samego. I w ten sposób rozpoczęła się legenda…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Sto lat kabaretu… Krakowskie kabarety w XX wieku", https://encyklopediateatru.pl/repository/performance_file/2014_05/63283_sto_lat_kabaretu_teatr_stary_krakow_2004.pdf.
Olczak-Roniker J., „Piwnica pod Baranami, czyli koncert ambitnych samouków", Warszawa 1997.
Wąs M., „Skrzynecki. Demiurg i wizjoner", Kraków 2018, s. 105.

eprasa.pl 101deee3b0

1906–1987 / Roman Brandstaetter i „Jezus z Nazarethu”

Żyd od Krzyża



Krzysztof Masłoń

Brandstaetter często przywoływał zdanie Alberta Einsteina o Panu Bogu, który pisze prosto po krzywych liniach ludzkiego życia

Roman Branstaetter powtarzał często polonijną anegdotę ks. Jasiewicza, do którego pewnego dnia przyszedł Jasiek, chcąc dać na zapowiedzi. Proboszcz spytał: „A wiesz ty coś o Panu Bogu, religii, Piśmie Świętym?”. „Jakżeby nie – ten odparł – jo wszystko znom”. „No to cię przepytam – powiedział ksiądz. – Jakiej narodowości był Pan Jezus jako człowiek?”. Jasiek bez namysłu odpowiedział: „Polok”. Ksiądz na to: „Głupiś, Jasiu, Pan Jezus był Żydem”. Jasiek złapał się za głowę i wykrzyknął: „Olaboga, co tyż ksiądz za herezyje opowiado”.

Naturalnie to spolonizowanie dziejów Jezusa przynależy do swojego czasu, coś się bowiem w jasełkowej wizji Bożego Syna, archaicznej, choć skądinąd wzruszającej, zmieniło. Niemniej pozostawiła ona głęboki ślad na odczytywaniu Historii Świętej, podobnie jak jej latynizacja, z czego nie zawsze zdajemy sobie sprawę. Brandstaetter opowiadał, jak nieodmiennie w dobry humor wprawiała go lektura Sienkiewiczowskiego arcydzieła, w którego kluczowej scenie Piotr spotkanego Jezusa pyta: „Quo vadis, domine?”. I tak dwóch Żydów gada do siebie po łacinie…

Swojego Jezusa Roman Brandstaetter (1906–1987) osadził w języku, realiach i tradycjach żydowskich. W jego tam i wtedy. Można przyjąć, że w swoich utworach przywrócił Zbawicielowi semickie rysy. Nie mogło być inaczej. Ten wybitny pisarz chrześcijański był Żydem. Biblię poznał dzięki swemu dziadkowi Mordechajowi Dawidowi Brandstaetterowi. To on nauczył go kochać Pismo Święte, wczytywać się w nie i odczytywać wciąż na nowo. Swoje zrobiło też sześć lat spędzonych przez przyszłego autora „Jezusa z Nazarethu” w Ziemi



FOT. ANDRZEJ SZYPOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 101deee3b0

Świętej. Dopiero po opuszczeniu Palestyny, w 1946 r., przyjął chrzest. Miał za sobą połowę życia.

Chrystus z Apokalipsy

„Dla mnie Chrystus Ewangelii jest Bogiem groźnym i wymagającym – podkreślał autor »Jezusa z Nazarethu« w 1973 r., po ukazaniu się czwartej, ostatniej części tego dzieła. – Nie jest słodkim Jezuskiem z jasełek, w miarę naiwnym, w miarę infantylnym, w miarę groteskowym. Jest sprawiedliwym, przebaczającym, ale nie mniej surowym Bogiem, a dostać się w Jego karzące ręce nie jest jasełkową przygodą. Chrystus na kartach Ewangelii i Apokalipsy jest często Chrystusem Jahwicznym. Przypomnijmy sobie Jego klątwy ciskane na Korozain, Bethsaidę i Kafarnaum. Jego siedmiokrotne »biada«. Jego gniew i zapalczywość, kiedy rzucił swojemu apostołowi: »Jesteś szatanem«. Przypomnijmy sobie Chrystusa z Apokalipsy, tego Chrystusa-Słowo z mieczem obosiecznym w ustach, przychodzącego brać pomstę na narodach. Jest na pewno Bogiem cichego serca, ale zarazem Bogiem wielkiej zapalczywości, jest Bogiem miłosierdzia i twardych żądań. Bogiem przebaczającym i Bogiem Łaski, ale zarazem Bogiem nacierającym, wymagającym i »zazdrosnym« o człowieka jak Jego… starotestamentowy Ojciec”.

„Chce urobić człowieka na swoje podobieństwo – powiadał dalej o Chrystusie Brandstaetter. – Chce go uczynić świętym. Nie w przenośnym, ale w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie stylizujmy tekstu ewangelicznego dla celów naszego oportunistycznego wygodnictwa. Chrystus żądał od nas, abyśmy wszystko i wszystkich zostawili, i ojca, i matkę, i braci, i siostry, i całą naszą majętność – i poszli za Nim. Domagał się od nas, żebyśmy byli biedni, bo wiedział, że pieniądz, złoto, posiadanie dóbr materialnych demoralizuje człowieka. Nieprawdą jest, że chodzi tutaj o »ubogich duchem«. Chodzi o ludzi, którzy swoich dóbr materialnych wyrzekli się z wewnętrznej potrzeby duchowej, z nakazu wewnętrznego. Chrystus dosłownie, a nie metaforycznie żądał od nas wyzbycia się wszystkiego, aby człowiek wolny od ciężaru doczesnego posiadania mógł za Nim iść”.

„Nie róbmy z Chrystusa wspólnika naszych nędznych pożądań – stawiał już najwyraźniejszą z możliwych kropkę nad i. – W każdym razie ja tak Chrystusa odczuwam. I gdybym Go tak nie odczuwał, nie byłby dla mnie Bogiem dwóch Testamentów, ale bogiem mitologii”.

Uśmiech niewidzialnego Pana

W rozmowie o „Jezusie z Nazarethu”, którą przeprowadził z nim Jan Grzegorczyk, powiedział m.in., że należy „do tego typu ludzi semickiego pochodzenia, którym przychodzi z trudnością myśleć kategoriami abstrakcyjnymi. Ja osobiście myślę obrazami. Obraz przybiera różne kształty: symbolu, przypowieści, paraboli itd. Stąd też zdarza się, że czytając Pismo Święte, gdy natrafiam na jakieś przypowieści, obraz, symbole, które dla czytelnika niesemickiego pochodzenia wydają się trudne do odczytania, dla mnie ich zagadkowość jest tylko pozorna. W zakończeniu mojej powieści o Jonaszu prorok, żegnając się z niewidzialnym Bogiem, patrzy na drzewo, gdzie mu się objawił Pan, i mówi o tej Niewidzialności jak o czymś bardzo konkretnym, tak konkretnym, że nieomal widzi… uśmiech niewidzialnego Pana. To może na pewno człowiekowi niesemickiego pochodzenia wydać się dziwne. Mnie osobiście nie, ale ja jestem człowiekiem z pogranicza dwóch kultur…”.

„»Jezus z Nazarethu« – mówił autor – jest sumą mojego życia, moich doświadczeń i owocem pobytu przez sześć lat w Ziemi Świętej. Ja nigdy bym nie napisał tej powieści, gdybym tyle czasu tam nie spędził. Wypowiedziałem w tym utworze wiele moich osobistych sprzeczności, niepokojów, rozterek, lęków, wewnętrznej szarpaniny. Chodziło o to, aby to wszystko z sobą pogodzić, ugruntować, wytłumaczyć, uspokoić



Roman Brandstaetter i Teodor Parnicki na kiermaszu książki, Warszawa, maj 1969 r. FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl 101deee3b0

i – przezwyciężyć. Chciałem napisać nie tylko epopeję o Bogu i nie tylko pokazać otoczenie, wśród którego i ja się znajdowałem, ale również moje widzenie Boga albo, mówiąc ściślej, m o j e widzenie m o j e g o Boga. W tym sensie jest to opowieść bardzo intymna – z zachowaniem odpowiednich proporcji – moje augustiańskie wyznanie".

I wyznawał: „Ja wierzę w objawiony charakter Pisma Świętego […], wierzę w objawioną naukę Chrystusa i w to, że pewnego poranka zacznie się ona wypełniać. Gdybyśmy tę wiarę stracili… bo, widzi Pan, wiara jest ważniejsza od nadziei. Można nie mieć nadziei, ale nie wolno stracić wiary. […] Są sytuacje beznadziejne, w których człowiek może trwać w godności dzięki swojej wierze. Jeżeli człowiek traci wiarę, to następuje katastrofa, załamanie wewnętrzne. Wiem jedno: bez wiary człowiek istnieć nie może. Tylko z nią może istnieć w pełni, pełnosprawnie. […] Proszę jednak pamiętać, że poddanie się woli Bożej nie ma nic wspólnego z biernością, z wewnętrznym bezwładem. Jest to tylko akt zaufania, pokładany w niezbadanej Mądrości".

Duch mój przed Tobą klęknie

Roman Brandstaetter funkcjonuje w czytelniczej pamięci jako autor „Jezusa z Nazarethu", a także „Kręgu biblijnego" czy „Pieśni o moim Chrystusie" jak również twórca dramatów na czele z ukazującym koleje życia Rembrandta „Powrotem syna marnotrawnego". Pisał jednak także zgoła inne utwory, jak choćby więcej niż interesujące wspomnienia o swoich kolegach po piórze. Wśród nich wyjątkowe miejsce zajmuje bardzo ważny dla niego osobiście „Chrystus Juliana Tuwima". Przypomnieć tu trzeba wiersz Tuwima z jego debiutanckiego tomu „Czyhanie na Boga":

Jeszcze się kiedyś rozsmucę,
Jeszcze do Ciebie powrócę
Chrystusie…

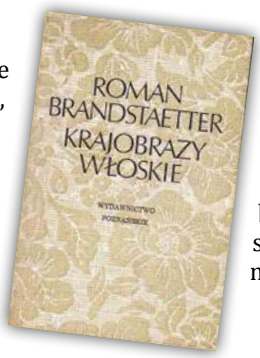
Jeszcze tak strasznie zapłaczę,
Że przez łzy Ciebie zobaczę,
Chrystusie…
I taką wielką żałobą
Będę się żalił przed Tobą,
Chrystusie,

Że duch mój przed Tobą klęknie
I wtedy serce mi pęknie
Chrystusie…

Słowa te w ledwie 13-letnim Romanie Bradstaetterze wywołały – jak wspominał w „Kręgu biblijnym" – niepokój. „To odkrycie – pisał – wywróciło na nice wszystkie moje chłopięce wyobrażenia o związkach i sporach żydowsko-chrześcijańskich i jeszcze bardziej je pogmatwało. W głowie mojej powstał nie byle jaki zamęt, którego nie umiałem ujarzmić". To ten właśnie utwór, „który – jak powiadał – bardzo kocham, piękny i wzruszający wiersz o Chrystusie", cytował 27 grudnia 1953 r. w Zakopanem, rozmawiając o Tuwimie z Włodzimierzem Martinem, który miał go skomentować zjadliwie: „Szkoda, że dzisiaj takich wierszy nie pisze".

W zakopiańskim Kmicicu pojawił się wtedy sam Tuwim, który – jak ocenili rozmówcy – „wypił o jedną kroplę za dużo". Za Giewontem kłębiły się chmury, wiał halny. Jeszcze tego samego dnia poeta umarł. A autor „Chrystusa Juliana Tuwima" przypomniał sobie wcześniejsze spotkanie z nim w Warszawie i wspólnie wypitą wódkę w Kameralnej: „»A zagrycha?« – pytam. »Tylko niemowlęta piją wódkę z zagrychą« – odpowiada Tuwim. Pijemy. »Co słychać u Pana Boga?« – pyta. »Nie wiem, panie Julianie«. »Czy Chrystus istniał?«. »Istnieje«. »A gdyby udowodniono, że nie istniał?«. »To niemożliwe« – odpowiadam. »Dlaczego?« – pyta Tuwim. »Bo Chrystus m u s i i s t n i e ć«. […] Odprowadzam go do taksówki. Żegnamy się. Siada. Zatrzaskuje drzwiczki, ale natychmiast je otwiera, wychyla się z samochodu, wpatruje się we mnie życzliwym i zarazem zakłopotanym wzrokiem i mówi: »Wie pan, pan ma rację… To m u s i i s t n i e ć jest bardzo mądre…«. Uśmiecham się i przyjaźnie macham do niego ręką. Dlaczego otworzył drzwiczki samochodu? Dlaczego?".







Po śmierci poety pracownik zakładu pogrzebowego dopytywał się o jego wyznanie, nie wiedząc, czy ma na trumnie zostawić Chrystusa czy Go zdjąć. Gdy znoszono trumnę do cmentarnego wozu stojącego przed Halamą, autor opowiadania spostrzegł na jej wieku „dwie skrzyżowane wyblakłe, lecz wyraźne smugi pozostałe po usuniętym krzyżu z przybitym doń Chrystusem".

„Wyszedłem przed willę – tymi słowami kończy się »Chrystus Juliana Tuwima«. – Było już zupełnie ciemno. Ruszyłem na przełaj lasem do domu. Z gałęzi obsypywała się mokra okiść. Padał lekki śnieg. Ujrzałem samochód, otwarte drzwiczki i wychylającego się Tuwima, wpatrującego się we mnie życzliwym i zarazem zakłopotanym wzrokiem: »Wie pan, pan ma rację… To m u s i i s t n i e ć jest bardzo mądre«. Uśmiechnąłem się i przyjaźnie pomachałem do niego ręką".

Hirsz Singer w teatrze

Zapewne nie tylko moje ulubione opowiadanie Branstaettera nosi tytuł „Ja jestem Żyd z »Wesela«" i swój pierwodruk miało w 1972 r. w „Tygodniku Powszechnym", choć napisane zostało wcześniej. Ta mocno osadzona w realiach opowieść o występującym w arcydramacie Stanisława Wyspiańskiego Żydzie Herszu Singerze i jego córce Pepce, lepiej znanej jako Rachel, odnosi się do zasłyszanej przez autora w 1944 r. w Jerozolimie historii o powodach rozwodu sławnego karczmarza z Bronowic, któremu – rzec można – znakomity dramaturg złamał życie. W 1905 r. opowiadać miał on krakowskiemu adwokatowi, jak to kilka miesięcy po weselu Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczy-

eprasa.pl 101deee3b0

kówny „moja Pepka wróciła z Krakowa do domu i z wypiekami na twarzy opowiadała mnie i mojej żonie, że ten rudy opisał wesele Rydla, a to całe opisanie dał do teatru i ono od kilku dni idzie w teatrze. »Jak to? W teatrze?« – zapytałem. »Tak, w teatrze«. A ja na to: »Też pomysł. Co on takiego zobaczył na tym weselu? Chłopów pijanych nie widział«. A na to moja Pepka: »Gdyby tato wiedział, kogo on opisał! Rydla i jego żonę, Tetmajerów i wszystkich gości, wszystkich poetów, wszystkich malarzy, wszystkich parobków i tato jest tam opisany, i ja jestem opisana! Tato chodzi po scenie i gada! I ja chodzę po scenie i gadam! Ale jak ja chodzę! I co ja gadam! Wie tato, z tym poetą!...«. A ja na to: »Pepko, dziecko moje, tyś zwariowała. Ja chodzę po scenie i gadam? I ty chodzisz po scenie i gadasz? Córko moja, może ty masz gorączkę?«. A na to moja żona: »A mnie tam nie ma?«. […] Czy mogłem nie iść? Musiałem iść,

Najważniejszą duchową przemianę przeżył nocą w grudniu 1944 r. w Jerozolimie za sprawą rzeźby ukrzyżowanego Jezusa

żeby zobaczyć, co ja tam robę i co mówię. Mój ojciec nie był w teatrze, mój dziadek nie był w teatrze, mój pradziadek nie był w teatrze i dopiero Hirsz Singer był w teatrze… Na co mi zeszło? Gdyby pan wiedział, jak ja w tym teatrze wstydziłem się…”.

Całe życie prostego, pobożnego Żyda obrócić się miało na nice. Pepka coraz bardziej stawała się Rachel, w Krakowie chodziła na kawę do Michalika, paliła papierosy, wódkę dawała na borg, żona wstydziła się już stać za szynkwasem, aż w końcu karczmarz dowiedział się, że Rydel namawiał jego córkę, by się ochrzciła. Matka, której radziła się w tej kwestii, powiedziała tylko, że „tego nie wolno robić za życia taty”.

Hirsz nie chciał być Żydem z „Wesela”, chciał pozostać sobą. Zażądał więc rozwodu, rodzinie zostawiając karczmę i grunt i przenosząc się do domu starców, dokąd zabrał ze sobą jedynie Pismo Święte. Cóż, Pepka dumna była z tego, że znalazła się w literaturze, Hirsz – przeciwnie. I pytał: „Po co ja mam wchodzić do literatury? Co porządny Żyd ma robić w literaturze?”. Świetnie napisane monologi Singera budzą uśmiech, najbardziej jednak – tak zwyczajnie, po ludzku – wzruszają. A dobrzy poloniści, „przerabiając” w liceach „Wesele”, powinni z opowiadania Brandstaettera uczynić lekturę uzupełniającą. I przedyskutować z uczniami kwestię, jak dzieło literackie kształtować może rzeczywistość na swoje podobieństwo. Na swoją modłę.

Krzywe linie ludzkiego życia

Najważniejszą duchową przemianę przeżył pewnej nocy w grudniu 1944 r. w Jerozolimie za sprawą reprodukcji rzeźby przedstawiającej ukrzyżowanego Chrystusa. Ten wizerunek, oprawiony w ramkę, zawiesi później w swoim mieszkaniu. I będzie pamiętał, że ten martwy Chrystus żyje. Obruszał się, gdy mówiono o jego nawróceniu. Powtarzał, że nie był poganinem, by miał się nawracać. Po prostu uznał Nowy Testament za całkowite wypełnienie Obietnicy Pańskiej zawartej w Starym Testamencie. I stał się Żydem chrześcijaninem.

Jego przemiana miała, jak się zdaje, niewyłącznie duchowe motywy. Dokonała się w bardzo trudnym dla niego momencie. Dowiedział się o śmierci swoich zagazowanych w Treblince rodziców, opuściła go pierwsza żona, skłócił się ze środowiskiem żydowskim po wystawieniu przez teatr Habimah jego „Kupca warszawskiego” w przekładzie na hebrajski, spektaklu, za który musiał się też tłumaczyć przed polskim sądem koleżeńskim. Powrót do kraju stał się w tej sytuacji oczywisty. Tam minister Sokorski, jak potem opowiadał, miał orzec, że Kraków to nie dla niego, za to endecki Poznań jest w sam raz, czuć się w nim będzie bardzo źle. I rzeczywiście, nie polubi tego miasta, na 10 lat wyrwie się nawet stamtąd do Zakopanego.

Na premierach jego sztuk pojawią się Wanda Wasilewska i Jakub Berman, szybko jednak wszystkowiedzący marksiści stwierdzą, że dramaty te „nie oddają ideologii naszej współczesności”, i odtąd będzie Brandstaetter toczył swą prywatną walkę w imię prawa do wolności przekonań i wolności słowa. W efekcie np. jego „Milczenie” grane będzie (z sukcesem) w Paryżu, Wiedniu czy Sztokholmie, ale w Krakowie weto miejscowego kacyka partyjnego sprawi, że dramat pojawi się tam na deskach scenicznych – i to w Nowej Hucie – dopiero w 1982 r.

Roman Brandstaetter, chętnie opowiadający o swoich spotkaniach życiowych z Jezusem, jak ognia unikać będzie wspomnień z lat przedwojennych. O przyczynach tego zajmująco opowiadał, przygotowujący obecnie powieść o swoim mistrzu, Jan Grzegorczyk, autor świetnych tomów prozy o ks. Groserze, redaktor książek twórcy „Jezusa z Nazarethu”. A rzecz polega na tym, że Brandstaetter w latach 30., po powrocie z paryskiego stypendium, zaangażował się w działalność syjonistyczną. I pisał nie tylko takie antyhitlerowskie pamflety jak „Zmowa eunuchów” (1936), lecz także gwałtowne filipiki przeciw tzw. asymilatorom, „odszczepieńcom”, do których ten „literacki podpalacz” (używał takiego pseudonimu) zaliczał np. Antoniego Słonimskiego.

Spod jego pióra wyszła też niezwykle charakterystyczna proza „Tragedia Juliana Klaczki”, opublikowana w 1932 r. w „Tygodniku Żydowskim”. Opisał w niej dzieje Jehudy Lejba Klaczki, poety, krytyka i publicysty, w swoim czasie wybitnego polityka i dyplomaty, który przeszedł na katolicyzm. I to zaparcie się wiary rodziców uznał autor „Tragedii…” za przyczynę wewnętrznego rozdarcia swego bohatera, też nazwanego przez niego odszczepieńcem. Zresztą od chwili przyjęcia przez niego chrztu przestaje się nim interesować, pozostawiając czytelnika z obrazem sparaliżowanego starca, samotnie rozmawiającego ze sobą samym, w modlitwie szukającego pociechy i przebaczenia. Ale to ostatnie przynieść mu może dopiero śmierć.

Julian Klaczko zmarł w roku 1906, tym samym, w którym urodził się kolejny wielki przechrzta literatury polskiej Roman Brandstaetter, który często przywoływać będzie zdanie Alberta Einsteina o Panu Bogu, który pisze prosto po krzywych liniach ludzkiego życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

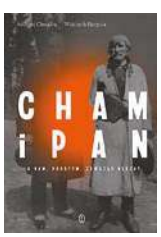
eprasa.pl 101deee3b0

Książka miesiąca / Alfabet pańszczyzny

Dola jarzma

Kres mody z lat 90. na szukanie przodków „herbowych” i nadmierne gloryfikowanie Rzeczypospolitej szlacheckiej zostały u nas ostatnio zastąpione nurtem „chłopskim”. I pojawili się autorzy bezkrytycznie tym razem nazywający ten okres „niewolnictwem”. Autentycznie pogarszające się od średniowiecza status i byt „kmieci”, które zwłaszcza na przełomie XVII i XVIII w. rzeczywiście potrafiły przybierać formy wołające o pomstę do nieba, nie uprawniały bowiem do stawiania znaku równości z antycznym niewolnictwem. Nasunęło to profesorowi UJ Andrzejowi Chwalbie oraz popularyzatorowi historii Wojciechowi Harpuli pomysł napisania książki, która przedstawiłaby stosunki między „panem” i „chamem” na ziemiach polskich, tak jak one wyglądały naprawdę. No i napisali znakomitą książkę.

Dyskusyjny wydaje się zrazu pomysł ułożenia treści w 24 rozdziałach od „A” do „Z”. I tak pod literą „A” występuje car Aleksander II i jego – całkiem dziś zapomniany, a wystawiony mu w podzięce za reformę rolną z 1864 r. przez polskich chłopów (!) – pomnik jasnogórski. Natomiast pod literą „Z” znajdujemy zbiegostwo ze wsi, nasilające się od wieku XV. Układ pozornie psuje chronologię wydarzeń. Pozwala za to na pisanie autentycznych perełek popularyzatorskich, pełnych anegdot i zaskakujących faktów, które nie tylko stanowią wartość samą w sobie, lecz także układają się w prawdziwy sznur pereł. Jeśli przeczytamy całą książkę, to okaże się, że pełna chronologia sama powstanie w naszej głowie.



ANDRZEJ CHWALBA, WOJCIECH HARPULA
„CHAM I PAN. A NAM, PROSTYM, ZEWSZĄD NĘDZA?”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Powinności chłopów wobec szlachty rosły stopniowo, a gdy zapanowała gospodarka folwarczna i należało obrabiać duże połacie ziemi przyłączone do dworu, wymiar pańszczyzny rósł. Źródłem przemian był popyt na polskie, ruskie i litewskie zboże na Zachodzie. Zysk ze sprzedaży trafiał do szlachty.

I tak od XV w. chłopi pracowali coraz więcej nie dla siebie i biednieli. Jak piszą autorzy, zmiany były tak powolne, że niezauważalne. Różnice w poziomie życia ukazałyby się przy porównaniu nie z ojcem, ale z dziadkiem, a owego ojca – z pradziadkiem. Najmniej dolegliwe były w Wielkopolsce, gdzie trzecia część gospodarstw pozostała przy gospodarce czynszowej. Szlachta starała się wycisnąć zyski z chłopa nawet w przejętych karczmach (rozdział na „K”). Od 1454 r. chłop musiał kupować tylko tu jej sól, a od 1496 r. – produkowane przez pana piwo, miód i okowitę (przywilej propinacji).



Jakub Szela, przywódca tzw. rabacji galicyjskiej w 1846 r.
FOT. WIKIPEDIA

Za to wszystko był pogardzany jako potomek Chama przez domniemanych latorośli Sema i Jafeta, siedzących mu od pokoleń na karku, rzekomo jedynych członków narodu polskiego. Były rejony kraju, gdzie jeszcze podczas drugiej wojny światowej chłopi nie identyfikowali się z „Polokami”.

Bunty chłopskie były brutalnie tłumione i dlatego przejawiały się głównie w wymigiwaniu się od pracy, niszczeniu dworskich narzędzi i zbiegostwie. Panowie, praktycznie jedyni sędziowie, wykroczenia karali chłostą, dybami, gąsiorem, dodatkowymi pracami. Tragiczne skutki pociągnęło wykorzystywanie chłopskiej krzywdy przez zaborców w XIX w. Austriacy sprokurowali – z pomocą chłopa pieniacza i agenta Jakuba Szeli – rzeź szlachty galicyjskiej, szykującej się w 1846 r. do powstania, a Rosjanie uwłaszczeniem przeprowadzonym w 1864 r. przez Milutina dobili powstanie styczniowe. Decyzję podjął car Aleksander II i jemu chłopi polscy wznieśli w 1889 r. (zebrali ochoczo 76 817 rubli) pomnik na Jasnej Górze, jako wyraz wdzięczności dla swego monarchy, który ulżył ich wielowiekowej doli i wyrwał ich z jarzma pańszczyzny.

Niemcy pozwolili rozebrać ów pomnik dopiero po abdykacji Mikołaja II w 1917 r. i postawić tam figurę Madonny. Setki małych pomniczków w całym Królestwie przerobiono i poświęcono wówczas Tadeuszowi Kościuszce. Ale już w 1920 r. uwłaszczeni chłopi bronili swojej polskiej ziemi przed bolszewikami, a na dwory napadali wyłącznie bezrolni dworscy fornale.

©℗ *Maciej Rosalak*

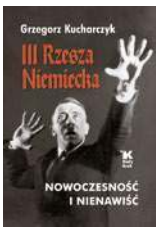
eprasa.pl 101deee3b0

Groźne oblicze III Rzeszy

Narodowy socjalizm nie wziął się znikąd – stwierdza prof. Grzegorz Kucharczyk. „Na długo przed objęciem władzy w Niemczech przez NSDAP nad Renem i Łabą mówiono, a właściwie tęskniono za narodowym socjalizmem i III Rzeszą jako ucieleśnieniem szczególnie pożytecznym i wyjątkowym pod względem walorów niemieckiej wspólnoty narodowej. [...] Drewienka zostały dobrze wysuszone i ułożone w foremny stosy. Narodowy socjalizm dołożył »tylko zapałkę«". Narodowy socjalizm był antychrześcijański, pogański i specyficznie „religijny". W piśmie SS „Schwarze Korps" czytano: „Moim Bogiem jest naród. Wierzę w Niemcy". Autor zauważa, że historia narodowego socjalizmu to historia ludzi, którzy systematyczne pozbywali się „wszystkich katolickich naleciałości". Od czasu kulturkampfu katolicy byli uważani za potencjalnych zdrajców. Likwidowane były więc katolickie stowarzyszenia i instytucje. Dwadzieścia procent pastorów ewangelickich należało do NSDAP, podczas gdy księży katolickich – mniej niż 1 proc.

Objęcie władzy przez NSDAP zostało w kręgach protestanckich przyjęte „niemal jak religijne uniesienie". Niemiecki Kościół katolicki potępiał nazizm jako herezję, nie do pogodzenia z chrześcijaństwem. Jednak, jak zauważa prof. Kucharczyk, episkopat niemiecki przyjął „zygzakowaty kurs", usiłując pogodzić lojalność – nie poparcie – wobec władzy z lojalnością wobec wspólnoty narodowej i ojczyzny. Biskupi potępiali eutanazję osób niepełnosprawnych psychicznie, mordy z przyczyn rasowych, milczeli jednak wobec zabijania polskich księży. Ale brak entuzjazmu księży katolickich dla napaści na Polskę uważany był za „pasywność na granicy zdrady".

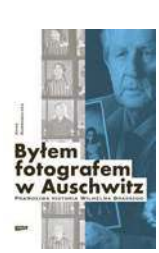
Z uznaniem oceniano w III Rzeszy amerykański New Deal, interwencjonizm państwowy i etatyzm. Ale i Roosevelt uważał, że niemiecka polityka gospodarcza po 1933 r. podobna jest do jego New Deal. W ramach polityki nowoczesności reżim prowadził ostrą kampanię antynikotynową, antyalkoholową, wprowadził przesiewowe badania kobiet pod kątem wykrywania raka piersi. Zakazano wiwisekcji na zwierzętach. Propagowano również rolnictwo biodynamiczne (dziś powiedzielibyśmy: ekologiczne), a Himmler był fanatykiem zdrowej żywności i prowadził kampanię przeciw otyłości w SS. Do symboli nowoczesności należały autostrady, jednak Hitler pilnował, by ich budowa nie rujnowała krajobrazu Niemiec. ©℗ ***Tomasz Stańczyk***



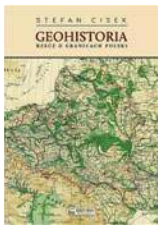
GRZEGORZ KUCHARCZYK
„III RZESZA NIEMIECKA. NOWOCZESNOŚĆ I NIENAWIŚĆ"
BIAŁY KRUK

Zdjęcia z Auschwitz

Fotograf Wilhelm Brasse na początku wojny usiłował przedostać się do armii polskiej we Francji. Złapany na granicy został zesłany w 1940 r. do obozu w Auschwitz i znalazł się w komandzie wykonującym zdjęcia, głównie więźniom. Łącznie z relacjami innych więźniów i pracami historyków powstał z tych przdśmiertnych fotografii wstrząsający obraz. Fotografował także więźniów poddanych przez dr. Mengele okrutnym eksperymentom pseudomedycznym, a także ludzi z anomaliami anatomicznymi. Po wojnie przeżył załamanie nerwowe, dręczyły go koszmarne obrazy i nigdy więcej nie wziął aparatu do ręki. ©℗ ***(t.s.)***



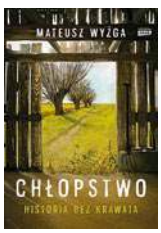
ANNA DOBROWOLSKA
„BYŁEM FOTOGRAFEM W AUSCHWITZ. PRAWDZIWA HISTORIA WILHELMA BRASSEGO"
ZNAK



STEFAN CISEK
„GEOHISTORIA. RZECZ O GRANICACH POLSKI"
KSIĘŻY MŁYN

GEOGRAFIA HISTORYCZNA

Bardzo pożyteczny, syntetyczny przewodnik opisujący geografię historycznych dzielnic i ziem Polski, zarówno tych będących w obcych granicach, jak i znajdujących się w granicach Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. Publikacja prezentuje zmiany terytorialne i państwowe aż do XX w. Jest to, jak głosi podtytuł pracy, „rzecz o granicach Polski". Dodatkowym walorem są liczne mapy. ©℗ ***(t.s.)***



MATEUSZ WYŻGA
„CHŁOPSTWO. HISTORIA BEZ KRAWATA"
ZNAK HORYZONT

POLA HISTORII

Autor jest nie tylko historykiem dziejów polskiej wsi, lecz także byłym sołtysem, który od dziecka wrośnięty jest w wiejski krajobraz. „Chłopstwo" to ciekawy i uczciwy obraz historii grupy społecznej, która przez setki lat stanowiła 90 proc. polskiego społeczeństwa. Obok codziennych trudów mamy tu też wykład o bogatej wiejskiej kulturze i chłopskiej determinacji, by poprawić swój ciężki los. ©℗ ***(p.w.)***



MICHAŁ LUBINA
„NIEDŹWIEDŹ W OBJĘCIACH SMOKA"
WYDAWNICTWO OTWARTE

ORWELLOWSKI SOJUSZ

Przed pół wiekiem Sowieci odparli zbrojnie chińskie próby zajęcia wysp na rzece Ussuri. Największe terytorialnie państwo świata dało poznać państwu najludniejszemu, kto przewodzi w utopijnym świecie komunizmu. Od 20 lat obydwa totalitarne molochy znów grożą całemu światu: Chiny ekspansją gospodarczą, Rosja imperialną agresją. W ich sojuszu przewodzą już Chiny. Jak to się stało? Odpowiedź – w książce. ©℗ ***(m.r.)***

eprasa.pl 101deee3b0



Norman Davies. Z prawej: Robert I. Frost FOT. KOSCIUSZKO.TV

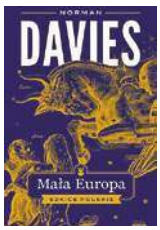
Bakcyl Daviesa

Trudno przecenić wkład prof. Normana Daviesa w popularyzowanie naszej historii na Zachodzie. A jak to się w ogóle stało, że ten znakomity historyk połknął polskiego bakcyla? Okazuje się, że był to czysty przypadek, a raczej złośliwość sowieckiego konsulatu w Londynie. Davies bowiem, bardzo zainteresowany wówczas Rosją, na początku lat 60. miał jechać wraz z grupą brytyjskich studentów na objazd po ZSRS. Wszystko było już dopięte na ostatni guzik, pozostawała jedynie kwestia wiz. Dwa dni przed wylotem z konsulatu przyszła jednak wiadomość, że nie będzie żadnych wiz. W związku z tym studenci zmienili plany i wybrali Polskę. Trzy tygodnie spędzone nad Wisłą sprawiły, że Davies stracił dla Polski głowę.

„Polska zafascynowała mnie przede wszystkim uczuciowo; jest dla mnie atrakcyjna, pełna życia i bardzo różna od tego, czego mnie kiedyś o niej uczono. [...] Rosja pociągała mnie bardzo, aż do czasu, gdy się o niej czegoś więcej dowiedziałem" – mówił prof. Davies w wywiadzie udzielonym młodemu adeptowi sztuki dziennikarskiej Radosławowi Sikorskiemu. Wywiad ukazał się po raz pierwszy w paryskich „Zeszytach Historycznych" w 1984 r.

Rozmowa ta jest częścią książki, która stanowi zbiór esejów historycznych profesora, a także wywiadów przeprowadzonych z nim na temat jego pracy zawodowej i zainteresowań. Autor słynnych „Orła białego, czerwonej gwiazdy" oraz „Bożego igrzyska" opublikował w swojej najnowszej książce lżejsze teksty publicystyczne na temat najważniejszych rozdziałów naszej historii najnowszej. Szczególnie ciekawy jest wywiad, który z prof. Daviesem przeprowadził inny brytyjski badacz historii Polski – prof. Robert I. Frost, który specjalizuje się w dziejach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Trzeba przyznać, że wyjątkowo miło się czyta rozmowę dwóch uznanych brytyjskich historyków, fascynatów naszych dziejów, którzy rozprawiają się z największymi mitami pokutującymi na Zachodzie, m.in. na temat tego, kto kogo zaatakował w 1920 r. ©℗

Piotr Włoczyk



NORMAN DAVIES
„MAŁA EUROPA. SZKICE POLSKIE"
ZNAK HORYZONT

Wehrmacht od podszewki

Tytuł książki może być nieco mylący. Stephen Bull napisał bowiem bardzo ciekawą pracę na temat całego wyposażenia żołnierzy Wehrmachtu, a nie tylko mundurów. Ta bogato ilustrowana książka będzie na pewno gratką dla wszystkich miłośników militariów. Poza opisem ewolucji niemieckich mundurów dostajemy do ręki istną skarbnicę wiedzy na temat uzbrojenia piechoty i wszelkich akcesoriów, bez których żołnierze nie byliby w stanie funkcjonować w polu, jak choćby idealnie zaprojektowane plecak, menażka, saperka czy wreszcie namiot.

Szczególne zainteresowanie czytelników może budzić fragment książki o próbach poradzenia sobie z nieoczekiwanym problemem, jakim była konieczność toczenia walk w ostrych zimowych warunkach frontu wschodniego. Widać tu, jak kompletnie nieprzygotowany był na to Wehrmacht, licząc na szybkie zwycięstwo do jesieni. Uniformizacja umundurowania skończyła się wraz z pierwszymi przymrozkami, a zamiast tego zaczęła się istna „rewia mody polowej" z wykorzystaniem wszelkich dostępnych kożuchów i futer (również damskich). Efektem tego zimowego szoku było również stworzenie specjalnych butów wartowniczych z filcu i drewna, co było zapowiedzią pożegnania z luksusami. Wraz z pogarszającą się sytuacją na froncie racjonowanie dotknęło wreszcie słynnych Marschstiefel, czyli butów marszowych, które skrócono z 35 cm do 30 cm. ©℗

Piotr Włoczyk



STEPHEN BULL
„NIEMIECKIE MUNDURY II WOJNY ŚWIATOWEJ"
WYDAWNICTWO RM

eprasa.pl 101deee3b0

AK–Niemcy, Miechów '44

O rozmowach prowadzonych z Niemcami w lutym 1944 r. przez Komendę Okręgu AK Wilno sporo już pisano. Podobne wydarzenia mające miejsce w Inspektoracie AK Miechów nie były dotychczas przedmiotem badań historyków. W 1944 r., w obliczu aktywizacji działalności partyzantki sowieckiej i komunistycznej, urząd dowódcy policji bezpieczeństwa w Krakowie KdS zabiegał o nawiązanie kontaktów z Komendą Okręgu AK Kraków. Ta ostatnia wyznaczyła do rozmów z Niemcami dyrektora Izby Przemysłowo-Handlowej w Krakowie Józefa Walczaka. Pomimo kilku spotkań do porozumienia nie doszło i żadnej umowy nie zawarto. Nieco inaczej sytuacja wyglądała w powiacie miechowskim.



DAWID GOLIK
„RAZEM PRZECIW BOLSZEWIKOM"
„ZESZYTY NAUKOWE UJ PRACE HISTORYCZNE" 2022
NR 149, Z. 2

Na tym terenie spiritus movens kontaktów z AK był kierownik komisariatu niemieckiej policji kryminalnej – Kripo – w Miechowie SS-Untersturmführer Phillip Riedinger. Pierwsze nieudane próby ich nawiązania datowane są na kwiecień 1944 r. Do faktycznego spotkania doszło jednak w lipcu tamtego roku w Bukowskiej Woli. Uczestniczyli w nim wspomniany szef powiatu miechowskiego Kripo, starosta miechowski Alfons Kalpers, powiatowy agronom Otto Saupe oraz tłumacz funkcjonariusz Kripo i członek AK jednocześnie Józef Puciński. Ich rozmówcami byli dowódca żandarmerii w Inspektoracie Miechów AK kpt. Alojzy Dziura „Kmita" oraz oficer do zadań specjalnych dowódcy 106. DP AK ppor. Stanisław Jazdowski „Żbik" i ppor. Wojciech Majewski „Jaksa".

Kolejna tura rozmów odbyła się w Dziemierzycach. Prowadził je tym razem ze strony niemieckiej szef referatu IV-A krakowskiego KdS SS-Obersturmführer Heinrich Hamann, a towarzyszyli mu Riedinger oraz nieznany z personaliów tłumacz. Poza „Kmitą" wzięli w nich udział po polskiej stronie zastępca inspektora do spraw partyzantki i dywersji kpt. Antoni Iglewski „Ponar" oraz komendant Obwodu AK Miechów Piotr Sławoń „Swarożyc". Niemcy proponowali m.in. wymianę jeńców, współpracę przy zwalczaniu sowieckich i komunistycznych oddziałów, zaniechanie wzajemnych ataków, rozejm. Mimo że wybuch powstania w Warszawie i akcja „Burza" na pewien czas wstrzymały kontakty, to w II połowie sierpnia 1944 r. je wznowiono.

Kierownik podreferatu IV-A-1 KdS SS-Obersturmführer Kurt Heinemeyer zeznawał: „Spotkania odbywały [się] w większości wypadków w restauracjach w Miechowie lub Krakowie, kilka razy w biurze u Hamanna [w Krakowie], a jeden raz w Proszowicach w mieszkaniu wyznaczonym przez Kmitę". Wiadomo, że spotkań było co najmniej osiem. Ich efektem było zwolnienie 27 sierpnia 1944 r. przez AK dwóch jeńców niemieckich, w zamian za co Niemcy przekazali podziemiu dwóch cywilów i dwóch rannych AK-owców. Poza tym miały miejsce jeszcze dwie inne wymiany. Znacznie częściej dochodziło do zwolnień zatrzymanych członków AK. AK-owcy ze swej strony starali się dobrze traktować wziętych do niewoli jeńców oraz nie dopuszczać do starć z Niemcami, co nakazywał wprost w rozkazie z 24 sierpnia 1944 r. patronujący zza kulis rozmowom inspektor mjr Bolesław Nieczuja-Ostrowski „Bolko".

W rewanżu niemieckie siły bezpieczeństwa informowały struktury AK-owskie o mających nastąpić akcjach antypartyzanckich przeciw sowieckim i komunistycznym oddziałom. Kapitan „Kmita" zdecydował się na przekazanie Niemcom informacji na temat lokalizacji sowieckich obozów partyzanckich. Na podstawie tych danych 818. azerbejdżański batalion piechoty w Czarnym Lesie oraz 23. Pułk Policji SS w Lesie Tunelskim przeprowadziły operacje przeciw nim. Wzięli w nich udział jako przewodnicy trzej skierowani do pomocy Niemcom przez „Kmitę" członkowie AK. O tych i wielu innych aspektach relacji polsko-niemieckich w powiecie miechowskim przeczytają państwo, sięgając po znakomity artykuł dr. Golika. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

HISTORYCZNE BITWY

Ruski spływ

Po śmierci Mieszka II (1034) doszło u nas do zaborczych interwencji i buntów. Mieszkowy dziedzic Kazimierz uszedł, a gdy wrócił, Niemcy oderwali już Milsko i Łużyce, Czesi – Śląsk, a Rusini – Grody Czerwieńskie. Pomorzanie przekroczyli Noteć, a dawny cześnik królewski Miecław (Masław) oderwał od Polski niezniszczone dotąd Mazowsze. Książę Kazimierz ruszył przeciw niemu dwukrotnie (w latach 1041 i 1047) z pomocą księcia kijowskiego Jarosława Mądrego, wcześniej przeciwnika dziadka, ojca, oraz swojego. Został nawet szwagrem Jarosława, oraz teściem jego syna Izasława. Gimnastyki badawczej dokonuje autor przy próbie odtworzenia obu wypraw, dysponując szczątkowymi informacjami z „Kroniki polskiej" Galla Anonima oraz ruskiej „Powieści minionych lat" Nestora. Gall przedstawia jednak decydujące zwycięstwo na Mazowszu (1047) jako sukces Polaków pod wodzą Kazimierza, a Nestor w ogóle o polskim udziale nie wspomina. Autor „Mazowsza 1047" przychyla się raczej do Nestora, pisząc o większym potencjale Rusinów, którzy na Mazowsze dotarli, spływając łodziami, a głównodowodzącym został Jarosław. Bitwę wygrali obydwaj szwagrowie, spychając Mazowszan do rzeki z „wysokiego brzegu". Nad jaką rzeką to było i w którym miejscu – dociec niepodobna. Następnie rozprawili się ze spóźnioną odsieczą Pomorzan. Dowodzący jazdą Kazimierz, który „osobiście siekąc mieczem, niezmiernie się utrudził", ocalał i został Odnowicielem, bo „prosty żołnierz szlachetnie pospieszył mu z pomocą, gdy już miał zginąć". ©℗

Maciej Rosalak



MARIUSZ SAMP
„MAZOWSZE 1047"
BELLONA

eprasa.pl 101deee3b0



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Jakoś to nie będzie

Studiowanie dziejów wojskowości, że użyję frazy poety, „może być pomocne życiu". Przede wszystkim jako źródło życiowej mądrości. Poważnie mówię: wskazania, wypracowane przez strategów, mają charakter uniwersalny. Dowodem choćby liczne w zachodnich księgarniach książki rozwijające myśli chińskiego klasyka Sun Tzu i dopasowujące je do konkretnych dziedzin współczesnego życia: „Sun Tzu uczy, jak odnieść sukces w biznesie", „Jak według Sun Tzu zrobić karierę w korporacji" i tak dalej.

Choćby ta podstawowa zasada wszelkiej strategii, że kluczem do sukcesu jest skupić wszystkie siły na rozstrzygającym kierunku, a na pomocniczych pozostawić ich tylko tyle, ile jest tam niezbędnie konieczne. Czy można znaleźć coś bardziej oczywistego? Proszę mi wierzyć, że w moim nie tak już krótkim życiu obserwowałem wielu ludzi dużo bardziej ode mnie utalentowanych, pracowitych i obdarzonych rozmaitymi łaskami, którzy ostatecznie osiągnęli niewiele albo zgoła nic, bo rozproszyli się na rozmaite duperele i sami nie wiedzieli, czego chcieli.

Otóż właśnie istota problemu, jakim jest odniesienie życiowego sukcesu – żeby skupić siły na sprawie najważniejszej, trzeba wiedzieć, co nią jest. Z tym właśnie wielu ludzi ma ogromny problem.

Jest takie genialne zdanie, punkt pierwszy przedwojennego regulaminu walki kawalerii, którego nawet użyłem kiedyś jako motta na swoich mediach społecznościowych: „Każdy dowódca na każdym szczeblu musi jasno wiedzieć, co chce osiągnąć". Nie można celniej i prościej.

Przy czym warto zwrócić uwagę na słowa „na każdym szczeblu". Dowódca niskiego szczebla może sobie pozwolić na stawianie sobie celów ograniczonych. Jeśli dostanie zadanie, dajmy na to, wejść na jakieś wzgórze, zdobyć je i utrzymać, to powinien jasno wiedzieć, jaką dokładnie drogą na nie wejść i jakich użyć środków. A po co ma tam się znaleźć i na co czekać, to już będą wiedzieć wyżsi rangą od niego (obyż tylko można ufać, że się ze swoich obowiązków wywiążą). Natomiast wódz generalny – a przecież taką rolę pełnimy w swoim własnym życiu – musi jasno wiedzieć, do czego dąży i ku czemu ludzi prowadzi, i jak zamierza to osiągnąć. Nie wolno liczyć na szczęście, trzeba mieć plan, a ściślej mówiąc, wiele planów, zakładających rozmaity rozwój wypadków.

> Najgorsze jest to – i stąd dzielę się z państwem tymi refleksjami – że w naszym życiu publicznym zasadą jest brak planu, a już zwłaszcza „planu B". Dominuje chciejstwo

Wszystkie największe klęski w historii wojen wynikały z uchybienia owej zasadzie w ten czy inny sposób. Przykład chyba najbardziej spektakularny, nieprzekraczalny, to klęska Napoleona w Rosji. Wbrew legendzie spowodowana nie mrozem, tylko tym, że cesarz Francuzów zwyczajnie nie wiedział, co chce zrobić, kiedy już do Rosji wejdzie. Wszedł i czekał, aż Aleksander się podda, choć nie zaplanował niczego, co by przeciwnika do kapitulacji zmusiło. Więc się jej nie doczekał, za to doczekał się zimy, na którą wojska nie przygotował, bo w swym „wishful thinking" założył, że załatwi sprawę z carem szybko. Sto lat później dokładnie ten sam błąd popełnił Hitler. Zapewniło to Rosji legendę niepokonanej potęgi, która weryfikowana jest dopiero teraz.

Najgorsze jest to – i stąd dzielę się z państwem tymi refleksjami – że w naszym życiu publicznym zasadą jest brak planu, a już zwłaszcza „planu B". Dominuje chciejstwo: „Szlachta na koń siędzie i jakoś to będzie". Nic nam bardziej nie szkodzi i jako jednostkom, i jako narodowi, i jako państwu. ©℗

eprasa.pl 101deee3b0



Piotr Semka

/ Felieton

Na Zachodzie wiele zmian

Powieść Ericha Marii Remarque'a „Na Zachodzie bez zmian" jest ważnym elementem antymilitarystycznej tradycji niemieckiej. Jest to opowieść o grupie żołnierzy, którzy zgłosili się na ochotnika w czasie pierwszej wojny światowej do armii niemieckiej, aby w okopach Flandrii odkrywać potworność wojny pozycyjnej. W Niemczech powieść ukazała się po raz pierwszy w styczniu 1929 r. i sprzedała się szybko w liczbie miliona egzemplarzy. Na podstawie książki rok później nakręcono film, który zdobył dwa Oscary. Książka ta była demonstracyjnym wyzwaniem wobec innego nurtu, którego dobrym przedstawicielem była powieść Ernsta Jüngera „W stalowych burzach". Powieści tego typu przedstawiały walki pierwszej wojny światowej jako apoteozę koleżeństwa i uzyskiwania duchowej szlachetności dzięki bohaterskiemu uczestnictwu w walkach. Książka Remarque'a skupiała się raczej na bezsensie wojny, przypadkowości strat i potworności śmierci w błocie i brudzie. Szczególnie naziści prowadzili kampanię przeciwko książce. Niemiecka policja musiała ochraniać kina, które ośmielały się wyświetlać film ze scenariuszem opartym na książce Remarque'a. Po dojściu do władzy NSDAP Josef Goebbels publicznie palił jego książki.

Po wojnie tę bardzo popularną pozycję zekranizowano tylko raz, w 1979 r., i nie było to najbardziej udane przedsięwzięcie. Teraz, w 2022 r., ukazała się najnowsza ekranizacja, którą można obejrzeć w Polsce np. na portalu Netflix. Film zrealizowany jest bardzo efektownie technicznie i grany jest pod względem aktorskim bardzo sugestywnie. Jeśli jednak zwrócił on moją uwagę, to nie z powodu pierwszoplanowego wątku rozczarowań i doświadczeń młodych niemieckich gimnazjalistów, którzy odkrywają szpetotę wojennej rzeczywistości.

Autorzy filmu poszerzyli fabułę o nieistniejący w książce wątek walki o zawarcie zawieszenia broni przez specjalnego pełnomocnika do spraw rozmów pokojowych, kanclerza Niemiec Maxa von Badena. Mathias Erzberger był chadeckim politykiem, który wziął na siebie gorzkie zadanie negocjowania z kierownictwem alianckim na czele z marszałkiem Francji Ferdinandem Fochem w wagonie w Compiegné. I oto autorzy serialu zaczynają pokazywać francuskich dowódców jako zajadłych arogantów. O ile Erzberger odwołuje się do dobra ludzkości i wzywa, by zatrzymać wojnę, która ściąga nędzę i głód na miliony kobiet i dzieci, o tyle Francuzi są przedstawieni jako ludzie owładnięci nacjonalistyczną pychą.

> Wspólna teza Rosji i Niemiec o „przekleństwie wersalskim" zyskała kolejne narzędzie oddziaływania

Szczególnie marszałek Foch przedstawiony jest jako brutal żądający natychmiastowego przyjęcia wszystkich żądań aliantów. Gdy Erzberger przestrzega Francuzów, że tak despotyczny dyktat nastawi przeciwko niemu zwyciężonych, Foch powtarza w kółko: „Proszę podpisać i nie dyskutować". „Proszę o uczciwość wobec przeciwnika – apeluje niemiecki wysłannik. – Inaczej ten pokój zostanie znienawidzony"– próbuje mitygować Erzberger. Foch na to odpowiada: „Uczciwość? Pan śmie o tym mówić?".

Oczywiście autorzy filmu przedstawiają w bardzo negatywny sposób także tych tępogłowych dowódców Reichswehry, którzy nie chcą pokoju do samego końca. Jeden z generałów, stylizowany – jak się zdaje – na Ericha von Ludendorfa, peroruje o łajdakach, którzy „sprzedają w pociągu naszą ojczyznę". Ale główne wrażenie, które pozostaje u każdego z widzów, to przekonanie, że w listopadzie 1918 r. to Niemcy chcieli pokoju, a zwycięska ententa upajała się zdeptaniem przeciwnika w proch. Stąd już niedaleko do coraz bardziej akceptowanej w Niemczech tezy, że kolejna, druga wojna światowa i powstanie nazizmu były de facto dziełem ententy, która w bezmyślny sposób narzuciła Niemcom traktat wersalski. A że film zrobiony jest bardzo sprawnie, teza ta trafia do przekonania widzów niejako na marginesie opowieści o wojennych losach grupy niemieckich młodzików.

Po raz kolejny Republika Federalna Niemiec pokazuje, że potrafi za pomocą kina historycznego narzucać niemieckie spojrzenie na dawne wydarzenia. I prawie nikt nie polemizuje z tą niezwykle wygodną dla Niemców prezentacją wydarzeń z listopada 1918 r. Jeśli pamiętamy zaś, że tezę o pragenezie drugiej wojny światowej w wyniku Wersalu lansował 1 września 2009 r. na Westerplatte sam Władimir Putin, to dopiero jasno widać, jak bardzo wygodne dla Rosji i Niemiec oskarżenie Wersalu mocno tkwi już w niemieckiej świadomości. Bałtycka rura jest na razie zawieszona, ale wspólna teza Rosji i Niemiec o „przekleństwie wersalskim" zyskała kolejne narzędzie oddziaływania. ©℗

eprasa.pl 101deee3b0



Komenda suwalskiego okręgu Polskiej Organizacji Wojskowej

FOT. MUZEUM OKRĘGOWE W SUWAŁKACH

1919–1920 / Na Suwalszczyźnie i nad Niemnem

Niewypowiedziana wojna

29 września 1919 r. młody oficer Władysław Broniewski zanotował w swoim dzienniku: „Mamy wojnę litewską! W odpowiedzi na ich zaczepki posłałem tam trzeci pluton z Kicińskim, który ich wypędził, wziął czterech jeńców, czterech zabił. Tego samego dnia silne patrole podsunęły się pod Szyrwinty.



Tomasz Stańczyk

Litwini sprzymierzyli się z bolszewicką Rosją, by odzyskać Wilno

Nic nie wskórały naturalnie, ale zabili mi Łabędzkiego. Ponieważ Dworzak był wtedy w Wilnie, sprawowałem funkcję dowódcy grupy 4. Zajęcie Muśnik zrobiło pewien efekt, ponieważ były meldunki, że tam jest pięciuset

eprasa.pl 101deee3b0

Litwinów, armaty, karabiny maszynowe. Inna rzecz, że tam nie było więcej jak kompania – w każdym razie czterdziestu ludzi wypędziło ją".

Powstanie sejneńskie

Zdobycie Muśnik było epizodem niewypowiedzianej wojny polsko-litewskiej, która trwała od sierpnia 1919 r. do listopada 1920 r., a rozpoczęła się na Suwalszczyźnie. Ponad pół roku po proklamowaniu polskiej niepodległości, latem 1919 r., stacjonowały tam nadal oddziały niemieckie. Do Suwalszczyzny wysuwali swe aspiracje zarówno Polacy, jak i Litwini, powiat augustowski był całkowicie polski, w powiecie suwalskim przeważała ludność polska, natomiast przez powiat suwalski przebiegała polsko-litewska granica etnograficzna, w pięciu gminach dominowali Litwini, w czterech, w tym w Sejnach – Polacy (S. Buchowski, „Konflikt polsko-litewski o ziemię sejneńsko-suwalską w latach 1918-1920").

Mimo tego zróżnicowanego układu narodowościowego rząd litewski miał ambicję objęcia całej Suwalszczyzny. Próbą rozgraniczenia między terenami litewskimi a polskimi była linia zaproponowana w lipcu 1919 r. przez marszałka Ferdinanda Focha. Rozdzielała ona w sposób sprawiedliwy, na ile to było tylko możliwe, wsie i gminy polskie od litewskich. Po stronie litewskiej skupiska ludności polskiej były w Wisztyńcu, Kopciowie (jest tam grób Emilii Plater) i w gminie Lubowo, jednak znacznie większe pretensje mieli Litwini, gdyż po stronie polskiej znajdowały się Sejny. Choć ludność litewska stanowiła ledwie parę procent mieszkańców miasta, to było ono centrum ich odrodzenia narodowego, a główną rolę odgrywały kuria biskupia i seminarium, w którym wykładano głównie po litewsku i dla litewskich kleryków, budzono patriotyzm, a także szowinizm.

W Sejnach, w których nie było już oddziałów niemieckich, znajdowało się wojsko litewskie, które najwyraźniej zamierzało umocnić się na Sejneńszczyźnie, nie respektując tym samym linii Focha.



Powstańcy sejneńscy
FOT. MUZEUM ZIEMI SEJNEŃSKIEJ

Po polskiej stronie nastroje też były bardzo gorące i bojowe, a ludność wręcz rwała się do czynu zbrojnego, by usunąć Litwinów z ziemi sejneńskiej. Bano się bowiem, że zostanie ona przyłączona do państwa litewskiego. Suwalski Okręg POW, z komendantem Adamem Rudnickim, podjął decyzję o rozpoczęciu powstania chwilę potem, jak niemieccy żołnierze opuszczą Suwałki, co nastąpiło 22 sierpnia. Liczono na wsparcie ze strony pułków kowieńskiego i suwalskiego Wojska Polskiego.

„Nastroje były bojowe – wspominał Tomasz Zan, członek POW – ale jak zawsze podczas naszych zrywów narodowych brakowało broni i amunicji. Tylko połowa ludzi zgrupowanych w oddziałach była wyposażona w karabiny, reszta miała samopały, rewolwery, granaty. Dobrze, że już nikt nie myślał stawiać kos na sztorc (W. Wiśniewski, „Ostatni z rodu. Rozmowy z Tomaszem Zanem").

23 sierpnia powstańcy zaatakowali Sejny, opanowując miasto. Jego komendantem został Tadeusz Katelbach, dowódca jednego z oddziałów. Wspominał tamten czas: „Gdy nazajutrz po zdobyciu Sejn musieliśmy urządzić pogrzeb naszych poległych, a ksiądz-Litwin najpierw wzdragał się wykonania swych obowiązków duchownych, a w czasie fotografowania konduktu protestował przeciw jego zatrzymaniu, pogroziłem mu pejczą, i gdyby się nie zatrzymał, zdzieliłbym go niechybnie" (T. Katelbach, „Spowiedź pokolenia").

Tymczasem 41. Pułk Piechoty, którego żołnierze pochodzili z ziemi suwalskiej, został wyznaczony do obsadzenia linii Focha i maszerował w jej kierunku przez Suwałki. Powstańcy w Sejnach oczekiwali wsparcia z jego strony. Pozbawieni go, nie byli w stanie oprzeć się oddziałom Litewskim, które 25 sierpnia odbiły miasto. Zginał wówczas Wacław Zawadzki „Rózga", były żołnierz I Brygady Legionów, faktyczny dowódca sił powstańczych.

Dopiero następnego dnia do Sejn wkroczyły oddziały 41. Suwalskiego Pułku Piechoty. Pogrzeb 16 poległych i zamordowanych Polaków w Sejnach przekształcił się w patriotyczną manifestację.

12 września 1919 r. Józef Piłsudski przyjechał do Suwałk, dzień później w przemówieniu wspomniał o tym, że w Belwederze pamiętał o okupowanej ziemi suwalskiej, okupowanej przez wojska niemieckie. „Wyście to byli dla mnie tym krwawym wyrzutem. Stąd szły wieści, które mi dumnym być nie pozwalały".

Sojusz Litwy z bolszewicką Rosją

Gdy Armia Czerwona przeszła do ofensywy na północnym wschodzie w lipcu 1920 r., a jej uderzenie spowodowało odwrót wojsk polskich, rząd litewski zdecydował się zawrzeć 12 lipca układ z bolszewicką Rosją. Układ przewidywał przyznanie i odstąpienie Litwie zdobywanej przez Armię Czerwoną Wileńszczyzny wraz z Wilnem.

eprasa.pl 101deee3b0



Powitanie Józefa Piłsudskiego w Sejnach FOT. NAC

Jeden z punktów układu stanowił, że w wojnie bolszewickiej Rosji z Polską Litwa zachowa neutralność. Jednak w tajnym protokole Litwini zgodzili się, by Armia Czerwona korzystała z terytorium ich kraju w celach strategicznych, niczym teraz Łukaszenka udostępniający terytorium Białorusi dla atakowania z niej Ukrainy.

Litwa nie ograniczyła się jednak tylko do udostępnienia swego terytorium Armii Czerwonej, lecz także czynnie wzięła udział w wojnie, faktycznie wspomagając bolszewicką ofensywę na Warszawę.

Z wdzięcznością wspominał Litwinów w „Pochodzie za Wisłę" Michaił Tuchaczewski. Jego plan bolszewickiej ofensywy na Warszawę zakładał oparcie prawego skrzydła jego armii „o granice państw wrogich Polsce", czyli Niemcy (teren Prus Wschodnich) i Litwę. „Kiedy tylko Litwini wyczuli, że armia czerwona odnosi zupełne powodzenie – wspominał Tuchaczewski – ich stanowisko neutralne natychmiast zmieniło się na wrogie w stosunku do Polski. Oddziały litewskie uderzyły na polskie siły, zajmując Nowe Troki i st. Landwarowo. Szybki ruch oskrzydlający korpusu konnego i pomoc wojska litewskiego odcięły północnej armii polskiej linię odwrotu ku Oranom i Grodnu. Część jej rozpoczęła szybki odwrót w kierunku miasta Lidy".

Na polsko-litewskiej linii demarkacyjnej stacjonował I batalion 76. lidzkiego Pułku Piechoty. 12 lipca batalion tego pułku otrzymał rozkaz wycofania się, jedna z jego kompanii natknęła się pod Jatelunami na oddziały litewskiej dywizji maszerującej na Wilno. Wywiązała się walka. „Porucznik Bogatko, dowódca kompanii, postanowił utorować sobie drogę siłą i uderzył na nieprzyjaciela. W toku walki kompania w brawurowym ataku rozpędziła Litwinów, dochodząc na bagnety aż do litewskiego pociągu pancernego. I batalion na odgłos strzałów ruszył na pomoc, ale już drogę do Rykont 1-a kompania sama utorowała zwycięstwem nad kilkakrotnie silniejszym przeciwnikiem". Ten sukces został jednak okupiony śmiercią dzielnego porucznika i 13 żołnierzy (K. Osten-Sacken „Zarys historji wojennej 76-go lidzkiego pułku piechoty").

14 lipca Armia Czerwona wkroczyła do Wilna, ku niezadowoleniu Litwinów, którzy się spóźnili. Bolszewicy nie spieszyli się z oddaniem Wilna w ręce litewskie. Zanim to zrobili, powołali w mieście rewkomy (komitety rewolucyjne) i sowiety (rady). „A więc siedzą – relacjonował Michał Romer – a pod ich skrzydłami lęgnie się twór Litwy komunistycznej, to znaczy bolszewickiej" (M. Romer, „Dzienniki 1920–1930").

Była to oczywiście robota obliczona na dłuższą metę. Chodziło o zmobilizowanie litewskich, a także żydowskich komunistów na czasy – w mniemaniu czerwonych władców Kremla krótkie – gdy Wilno będzie litewskie. Bolszewicy przygotowywali przewrót w Kownie, czekali tylko na definitywną klęskę Polski. Zwycięska Bitwa Warszawska ocaliła istnienie niepodległej Litwy. Jak stwierdzał historyk Piotr Łossowski, „zrozumienie tego faktu nie funkcjonuje w świadomości społeczeństwa litewskiego".

Dwie wojny

Marszałek Józef Piłsudski krótko skomentował litewsko-bolszewickie faktyczne braterstwo broni: „Od tej chwili my, Polacy, mieliśmy dwie wojny zamiast jednej".



Znaczek polskiego samorządu w Warwiszkach FOT. DOMENA PUBLICZNA

Po zajęciu Wilna przez Armię Czerwoną białostocki pułk strzelców i włączone do niego dwie kompanie 78. słuckiego pułku przeszły na terytorium Litwy i otrzymały zapewnienie litewskiego szefa sztabu, że zostaną przepuszczone w kierunku Polski, z tym jednak warunkiem, że złożą broń na wozach. Mimo tej umowy polskich żołnierzy rozbrojono i internowano.

28 sierpnia 1920 r. 1. Dywizja Piechoty Legionów podeszła pod Augustów, wzywając wojska litewskie – które wcześniej bez walki zajęły Suwalszczyznę, korzystając z odwrotu polskich armii spychanych na zachód przez Armię Czerwoną – do wycofania się za linię Focha. Trzy dni później grupa operacyjna jazdy płk. Nieniewskiego zmusiła do tego Litwinów. Ustępowali bez większego oporu, lecz tylko po to, by za kilka dni zaatakować oddziały polskie. Liczono na to, że siły polskie będą związane sytuacją na froncie walki z Armią Czerwoną, że nie będą w stanie skutecznie bronić Suwalszczyzny.

Litewski atak początkowo odniósł spore powodzenie, jednak załamało się w walkach o Augustów. Podczas gdy 41. pułk piechoty im. Marszałka Józefa Piłsudskiego bronił miasta, kawaleria zaatakowała od tyłu Litwinów. W efekcie zostali zmuszeni do odwrotu i wycofania się za linię Focha. Nie rezygnowali jednak. Dwie litewskie dywizje nacierały na Suwałki i Augustów, jednak zostały powstrzymane.

26 września 1920 r. Władysław Broniewski zanotował: „W rocznicę walk z Litwinami miałem z nimi znów do czynienia. Jak zwykle: marsz, obejście i »skok« ze »szprutem«. [...] Poszliśmy pod Sejny, a gdy już dostatecznie była

eprasa.pl 101deee3b0

wyświetlona porażka nieprzyjacielska, we właściwym kierunku, to jest na Druskienniki".

Broniewski pisał o stoczonych cztery dni wcześniej bojach jego doborowej 1. Dywizji Legionów, która dążąc w kierunku zaplanowanej przez marszałka Józefa Piłsudskiego wielkiej bitwy nad Niemnem, musiała przełamać litewskie pozycje na Suwalszczyźnie, by osiągnąć przeprawy nad tą rzeką i wyjść na tyły wojsk sowieckich.

Dowódca dywizji Stefan Dąb-Biernacki stwierdzał w rozkazie: „Wojna ta jest dla nas najprzykrzejszą ze wszystkich wojen, jakie Polska prowadziła. Nie my pierwsi zaczęliśmy tę wojnę nieszczęsną [...]. Żołnierze, jeżeli idziecie w pole przeciw Litwinom, nie idźcie z nienawiścią, jak przeciw wrogowi śmiertelnemu, lecz jak przeciw braciom zbłąkanym".

Walki były krótkie, trwały tylko dzień, 22 września, lecz zacięte. Litwini bronili się m.in. na dobrze umocnionych pozycjach pod Gibami, mając na obu swoich skrzydłach wody jezior Pomorze i Gieret. Atakował je więc frontalnie 5. Pułk Piechoty Legionów, doszło do walki wręcz. Litwini ulegli. Równie ciężkie zadanie, lecz uwieńczone powodzeniem, miał 1. Pułk Piechoty Legionów, po zdobyciu Berżnik parł na Sejny, atakując przesmyk między jeziorami Gajlik i Berżnik. Wziętych do niewoli 1,7 tys. żołnierzy litewskich puszczono zaraz wolno, oczywiście po rozbrojeniu.

W rezultacie bojów na Suwalszczyźnie polskie oddziały otworzyły sobie drogę na Druskieniki i przeprawiły się przez Niemen, opanowując szturmem most. Przemarsz przez terytorium Litwy był niezbędny dla powodzenia bitwy niemeńskiej, a walka z Litwinami – jak podkreślał Piotr Łossowski – nie była celem samym w sobie.

Litewski premier Grinius protestował przeciw złamaniu przez Polskę neutralności Litwy, jednak to jego rząd faktycznie ją pogwałcił wcześniej, umożliwiając przejście przez terytorium Litwy wojsk Armii Czerwonej.

Bitwa niemeńska ostatecznie zdecydowała o tym, że niepodległość Polski została obroniona, a wraz z nią niepodległość Litwy. Nie ma wątpliwości, że gdyby Armia Czerwona pokonała Wojsko Polskie, także los Litwy byłby przesądzony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Mogiły na Białorusi



Tomasz Stańczyk

Barbarzyńskie niszczenie grobów żołnierzy Armii Krajowej – przez „nieznanych sprawców" – z rozkazu Łukaszenki zwraca uwagę na polską wojenną historię, która rozgrywała się na ziemiach białoruskich. Konfederacja barska kojarzy się z kresami południowo-wschodnimi i Małopolską, ale i na ziemiach białoruskich walkę z wojskami rosyjskimi stoczył pod Stołowiczami oddział Michała Kazimierza Ogińskiego. Pamiątką po powstaniu styczniowym jest grób powstańców w Miniewiczach koło Bohatyrowicz, które opisała w swojej powieści „Nad Niemnem" Eliza Orzeszkowa.

Od 1917 r. stacjonował w Bobrujsku i okolicach I Korpus Polski, pod dowództwem gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego. Po bolszewickim przewrocie czerwone władze usiłowały zrewolucjonizować Korpus, a gdy się to nie udało, postanowiły rozbroić go. Polacy nie zamierzali na to pozwolić. Żołnierze korpusu Dowbor-Muśnickiego stali się – o czym trzeba pamiętać – pierwszymi polskimi żołnierzami, którzy na początku 1918 r. walczyli z Armią Czerwoną. Dopuściła się ona odrażających zbrodni wojennych na wziętych do niewoli Polakach, m.in. na personelu i chorych szpitala polowego w Cichiniczach, co opisał Melchior Wańkowicz.

Polskie miejsca pamięci na Białorusi przedstawił Kazimierz Krajewski w książce „Ziemia nowogródzka i grodzieńska. Polskie cmentarze i groby wojenne oraz miejsca pamięci narodowej z walk o niepodległość XVIII–XX w", z którego informacji w dalszym ciągu tekstu korzystam.

W roku 1919, podczas wojny z czerwoną Rosją, doszło do antybolszewickiego powstania w Nieświeżu. Pięciu jego uczestników zostało rozstrzelanych przez czerwonoarmistów. Bolszewicy mają też na krwawym koncie zabójstwo w tamtym roku ks. Wincentego Łotarewicza na zamku w Mirze – grób jego znajduje się w Iszkołdzi – oraz ks. Jana Webera w Słonimiu. Świadectwem ciężkich walk podczas bitwy niemeńskiej we wrześniu 1920 r. jest m.in. cmentarz i pomnik polskich żołnierzy armii gen. Leona Berbeckiego w Brzostowicy Wielkiej.

W Stołpcach pochowano siedmiu policjantów, którzy polegli w 1924 r. w walce z komunistyczną bandą dywersyjną, która wtargnęła do pogranicznego miasteczka z terytorium Związku Sowieckiego. Po 1945 r. ich grób został zniszczony przez Sowietów (jasne więc, od kogo Łukaszenka czerpie inspirację).

Wrzesień 1939 r. zapisał się sowieckimi zbrodniami wojennymi. W Kaletach znajduje się grób rozstrzelanych 38 żołnierzy WP. Na cmentarzu w Sopoćkiniach wśród poległych żołnierzy spoczywa gen. Józef Olszyna-Wilczyński, zamordowany przez czerwonoarmistów. Lata wojny zapisały się zbrodniami zarówno niemieckimi, jak i sowieckimi. W Nowogródku Niemcy zamordowali w 1943 r. 11 nazaretanek (beatyfikowane w 2000 r.), w Nalibokach sowiecka partyzanta dokonała w tym samym roku rzezi prawie 130 Polaków.

Na ziemi nowogródzkiej i grodzieńskiej znajdują się groby żołnierzy AK i miejscowej samoobrony poległych w walce z Armią Czerwoną i NKWD. W Surkontach zostali pochowani polegli w sierpniu 1944 r. w boju w tej miejscowości żołnierze nowogródzkiego okręgu AK, z ich dowódcą, cichociemnym Maciejem Kalenkiewiczem. ©℗

eprasa.pl 101deee3b0



Oblężenie Malty. Obraz Mattea Pereza
FOT. WIKIPEDIA

1522 i 1565 / Obrona Rodos i Malty (2)

Joannici i sułtan Sulejman



Maciej Rosalak

Dokładnie 500 lat upływa od mężnej obrony i honorowej kapitulacji rycerzy rodyjskich, a 457 od ich zwycięskiej obrony jako rycerzy maltańskich

Oblężenie Rodos przez Sulejmana stanowi bardzo istotny moment w historii basenu śródziemnomorskiego, który stał się areną bezlitosnej agresji Turków osmańskich. Sulejman – jak wcześniej jego pradziadek Mehmed II i ojciec Selim I, który wyprawić się nie zdążył – uznał joannitów na tej wyspie, odległej zaledwie 20 km od południowo-wschodnich wybrzeży Azji Mniejszej, za „odwiecznego wroga". Zwani wtedy rycerzami rodyjskimi jerozolimscy szpitalnicy św. Jana Chrzciciela uniemożliwiali Turkom zdominowanie basenu Morza Śródziemnego i uderzenie na Italię od południa. A to dawało szansę rozbicia cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego oraz pojmanie papieża w zajętym Rzymie.

eprasa.pl 101deee3b0





„Koniec oblężenia Malty". Obraz Charles'a Philppe'a Lariviere'a. Z lewej: krzyż maltański FOT. WIKPEDIA

Sulejman, tytułujący się „władcą świata", nareszcie mógłby się nim poczuć naprawdę…

Rodos 1522

Podbić Rodos udało się dopiero Sulejmanowi po 42 latach od śmierci Mehmeda II Zdobywcy, który to wyspy tej zdobyć nie zdołał, i po ok. 80 latach, które upłynęły od dwóch nieudanych prób mameluków z egipsko-lewantyjskiego sułtanatu ze stolicą w Kairze (lata 1440 i 1444). W czerwcu 1522 r. sułtan turecki wysłał przeciw joannitom ok. 300 statków, które przywiozły ze Stambułu ogromną 160-tysięczną armię. Samych janczarów było 10 tys. Oblężeniem dowodził wezyr Mustafa Pasza, ale najważniejsze decyzje podejmował Sulejman, który już wkrótce (w końcu czerwca lub w połowie lipca) we własnej osobie przybył pod Rodos.

W tym czasie janczarowie – chłopcy zabierani chrześcijańskim rodzicom, pod przymusem nawracani na islam i hodowani od lat dziecięcych lub młodzieńczych na zawodowych fanatycznych żołnierzy – byli świetnie wyćwiczeni i wierni sułtanowi po grób. Uzbrojeni w spisy i bułaty (szable wschodnie o zakrzywionych i rozszerzonych przy końcu głowniach), sztylety oraz nieco dłuższe jatagany jako broni strzeleckiej używali wtedy jeszcze na ogół łuków, ale w ciągu XVI w. zastąpią je muszkietami. Byli śmiertelnie groźni i okrutni. Nie ustępowali im spahisi, jakby osmańscy rycerze – konnica złożona z sułtańskich lenników. W misiurkach, kolczugach, z włóczniami i szablami, często już z pistoletami kołowymi przypominali staropolskich towarzyszy pancernych (a właściwie to towarzysze pancerni ich przypominali…).

Oblężenie polegało niemal na ciągłym ostrzale potrójnego pasa umocnień miasta twierdzy z dział na okrętach i na lądzie, a także na uporczywym drążeniu tuneli pod murami i wieżami Rodos oraz zakładaniu przez górników-minerów potężnych ładunków wybuchowych. Joannici opanowali jednak dzięki Wenecjaninowi Gabrielowi Tadini di Martinengo działania kontrminerskie, które kończyły się zwykle upiorną walką na śmierć i życie w podziemnych korytarzach. Linię obrony podzielono na kilka odcinków, powierzając je poszczególnym narodowościom (Langua). Od północnego zachodu miasta bronili rycerze francuscy, dalej znajdowali się Niemcy, Hiszpanie, Anglicy i Prowansalczycy. Południowo-wschodniego odcinka obrony strzegli Włosi. Łącznie w mieście znajdować się miało wojsko zakonu rycerskiego w sile kilku tysięcy ludzi (liczba samych braci rycerzy nie przekraczała paru setek).

W miarę upływu czasu armatnie kule coraz dotkliwiej dawały się we znaki obrońcom, zabijając i raniąc ich oraz w nie mniejszym stopniu mieszkańców, burząc mury, na które tygodniami usiłowali się wedrzeć Turcy. Padało ich znacznie więcej niż chrześcijan, ale miejsce zabitych i rannych ciągle zajmowali nowi.

Serial „Wspaniałe stulecie" dramatycznie maluje bieg wydarzeń, z trafieniem okrętu mężnego sułtana włącznie, ale i joannici – a zwłaszcza wielki mistrz Filip de Villiers de L'Isle Adam – przedstawieni są jako ludzie odważni i rycerscy. Do chlubnego obrazu braci rycerzy wyraźnie nie pasuje kanclerz zakonu, który potajemnie wysłał sługę do obozu wroga ze zdradziecką propozycją. Nic z tego nie wyszło, sprawa się wydała, a winowajców stracono. Afera wydarzyła się pod koniec października, po czterech miesiącach zażartych walk, a miesiąc po wielkim szturmie z udziałem janczarów, który 24 września omal nie skończył się powodzeniem. Skończył się jednak wyjątkowo dużymi stratami tureckimi. Zwały trupów zaległy fosy, a sułtan odwołał Mustafę Paszę ze stanowiska, powierzając je dowódcy janczarów Ahmedowi Paszy.

Uszczerbek poniesiony przez obrońców stawał się jednak alarmujący. W listopadzie zawaliły się kolejne wieże – najpierw 14 listopada na odcinku hiszpańskim, a rychło potem na następnych: aragońskim, angielskim, prowansalskim i włoskim. Wielki mistrz Filip de Villiers nie zamierzał się poddawać, ale w końcu uległ argumentom fachowców – wspomnianego Gabriela Tadiniego oraz admirała francuskiego Prégenta de Bidoux – którzy nie widzieli szans dalszej obrony, i nawiązał rozmowy o kapitulacji. Turkom też zależało na zakończeniu kampanii: połowa armii leżała zabita lub poraniona, a resztę dręczyła epidemia czerwonki.

22 grudnia 1522 r. zawarto umowę o kapitulacji. Wszyscy bracia zakonni z honorami opuścili miasto, podobnie jak kilka tysięcy Rodyjczyków, którzy wy-

eprasa.pl 101deee3b0

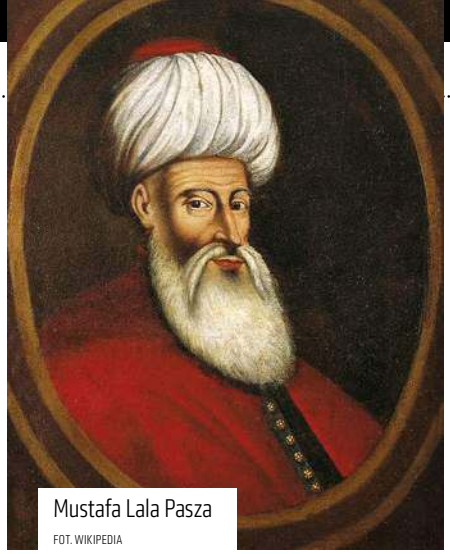
razili na to ochotę. Za to zrezygnowali z całego archipelagu Dodekanezów. Stało się to 1 stycznia 1523 r.

Malta 1565

Siedem lat joannici tułali się po Morzu Śródziemnym od przystani do przystani, aż cesarz Karol V pozwolił im osiedlić się na skalistej Malcie. Tam kawalerowie (już) maltańscy zbudowali port z twierdzą niewiele gorszą od rodyjskiej, a ich flota znów atakowała statki muzułmańskie – głównie piratów berberyjskich na służbie Osmanów – dotkliwie dając się we znaki islamskiemu transportowi do Afryki Północnej i z niej oraz biorąc udział w licznych bitwach morskich i atakach na portowe miasta. A Turcy ze swej strony nie rezygnowali ze śródziemnomorskiej ekspansji. Akwen spływał krwią, płomienie trawiły porty, wraki galer, karak i galeonów zaścielały morskie dno, tysiące jeńców uczyniono niewolnikami, często jako wioślarzy na galerach. Do historii przeszli berberyjski pirat i osmański admirał Hayreddin Barbarossa (1478–1546) oraz genueński admirał na usługach cesarza Andrea Doria (1466–1560). Postaramy się wrócić do nich w następnym numerze.

W końcu Sulejman Wspaniały postanowił ostatecznie rozprawić się z joannitami i wysłał kilkudziesięciotysięczną armię na Maltę w 1565 r. Cel strategiczny był prosty: wyspa stanowiła główną zawalidrogę dla inwazji Sycylii i dalej – południowej Italii. Powodem osobistym stało się zagarnięcie przez joannitów statku z towarami wartymi 80 tys. dukatów. Główną poszkodowaną okazała się córka Sulejmana. 18 maja na Malcie wylądowała ponad 28-tysięczna osmańska armia lądowa, a w jej składzie znajdowało się 6,3 tys. janczarów, 9 tys. spahisów, 4 tys. fanatyków idących po śmierć za wiarę oraz 6 tys. korsarzy.

Dowódcą sił lądowych sułtan mianował śmiertelnego wroga chrześcijan Lalę Mustafę Paszę, który zasłynął okrucieństwem wobec nich na Węgrzech, Cyprze i w Gruzji. Wkrótce jego siły zostały wzmocnione do niemal 50 tys. Natomiast flotą dowodził zdolny żeglarz, zięć sułtana – Piala Pasza. Obu dowódcom doradzał sławny korsarz Dragut Reis, stopniowo przejmujący kierowanie całą inwazją. Tylko do czasu, gdy pocisk



Mustafa Lala Pasza FOT. WIKIPEDIA

z joannickiej armaty odłupał kawałek skały obok jego stanowiska i śmiertelnie raził w głowę Draguta. Strata okazała się niezastąpiona…

Notabene w 1541 r. właśnie korsarze Draguta Reisa zatopili joannicki galeon dowodzony przez Jeana Parisot de la Valette, który – zanim go wykupiono z niewoli – kilka miesięcy wiosłował na galerach. On to, gdy bracia wybrali w 1557 r. tego weterana obrony Rodos na wielkiego mistrza, dostrzegł śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony Sulejmana, obciążył zwiększonymi podatkami cały zakon i mieszkańców Malty, umocnił twierdze oraz stołeczne miasto Birgu, wezwał posiłki z innych komandorii. Zapewnił też odsiecz króla Hiszpanii Filipa II, która w krytycznym momencie rzeczywiście nadeszła, prowadzona przez hiszpańskiego wicekróla Sycylii – Don Garcię de Toledo.

W maju 1565 r. wyspę broniło ok. 9 tys. żołnierzy, w tym 592 kawalerów zakonnych. Obsadzali głównie Fort św. Elma na półwyspie Sciberras, Fort św. Anioła na półwyspie Birgu i Fort św. Michała na półwyspie Senglea – górujących nad zatoką Wielki Port (fr. Porto Grande, ang. Grand Harbour). Wojska osmańskie nie potrafiły wykorzystać przewagi liczebnej. Okrutny Mustafa oparł się na zeznaniu torturowanego jeńca rycerza francuskiego Adriena de la Riviere, który mimo męczarni celowo oszukał wrogów, wyolbrzymiając znaczenie Fortu św. Elma. I od samego początku kampanii popełnili oni wielki błąd, kierując nieustanne szturmy i wielodniowe bombardowania na fort, który wcale nie miał kluczowego znaczenia obronnego. Nabierał go w miarę, jak tureckie straty w ludziach i w zapasach rosły, rozprzestrzeniały się choroby zakaźne, a malało morale żołnierzy.

Wielki mistrz dostrzegł szansę doczekania odsieczy i nakazał braciom bronić się do ostatka. Trwająca ponad miesiąc obrona Fortu św. Elma przyniosła przykłady niezrównanego męstwa joannitów, walczących do końca mimo rozpaczy, wyczerpania i ran. Gdy po pierwszych dwóch tygodniach mieli już dość i zapowiedzieli opuszczenie fortu, Jean de la Valette przypomniał przysięgę, którą rycerze złożyli, wstępując do zakonu, i wezwał, by nie okrywali się hańbą. Bunt zgasł, a załoga ślubowała bronić fort aż do śmierci. I dotrzymała słowa. Mniej liczna i malejąca załoga odpierała swymi dwurącznymi mieczami kolejne szturmy przeprowadzane przez fale janczarów i spahisów wdzierających się w wyłomy zrujnowanych przez artylerię wroga murów.

Na przykład 3 czerwca 1522 r. niespodziewanym atakiem Turcy zajęli część rawelin – dzieł fortyfikacyjnych osłaniających bastiony. Obrońcy kontraktowali, by odbić utraconą pozycję. Zacięta bitwa trwała pięć godzin. Padło 500 janczarów, a joannitów tylko 80. Podczas ostatniego szturmu – 22 czerwca – gdy część muru zawaliła się i masa janczarów raz za razem wdzierała się do wyłomu, obrońcy potrafili jeszcze kontratakować i ich odpierać. Po sześciu godzinach Lala Mustafa nakazał odwrót. Ale zginęło 200 obrońców. Pozostało tylko 60 i wszyscy byli ranni. Następnego dnia Turcy w godzinę zdobyli ruinę fortu i ujęli garstkę żywych jeszcze chrześcijan. Wymordo-



Jean de la Valette FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 101deee3b0

wano ich, odcięto im głowy, a przybite do drewnianych krzyży korpusy wrzucono w wody zatoki, aby joannitom z pozostałych twierdz odeszła ochota do walki.

Uzyskali jednak efekt odwrotny, jeszcze bardziej wzmacniając opór przeciwnika. Wprawdzie zabili stu zakonnych rycerzy i tysiąc żołnierzy, ale Turcy stracili ich sześciokrotnie więcej. Dalsze 3 tys. padły przy próbach zdobycia zamienianych w ruiny przez turecką artylerię fortów św. Anioła i św. Michała. Obrońcy stracili tylko 250 ludzi. Podniosła ich na duchu już mała odsiecz 700 zbrojnych z Sycylii (Piccolo Soccorso), natomiast zwrot biegu kampanii nastąpił o świcie 7 września, kiedy przybyła dziewięciotysięczna duża odsiecz (Gran Soccorso).

Mustafa spanikował i najpierw kazał ewakuować swą przetrzebioną armię, a potem – gdy zorientował się, że wciąż jest liczniejsza od chrześcijan – zawrócił ją i kazał walczyć z Hiszpanami dowodzonymi przez Ascania della Corgna. Wyczerpane trwającym blisko cztery miesiące oblężeniem oraz upadłe na duchu wojska osmańskie przegrały jednak stoczoną w okolicach miasteczka Cité Vieille bitwę lądową. I tak po kilkumiesięcznym oblężeniu resztki Turków odpłynęły z kwitkiem po heroicznej obronie braci rycerzy dowodzonych przez wielkiego mistrza Jeana de la Valette. Batalię tę owiała legenda. „Nie ma nic słynniejszego nad oblężenie Malty" – napisał po 200 latach Voltaire.

Podczas oblężenia zginęło ok. połowy żołnierzy osmańskich, duża część kawalerów maltańskich oraz ponad połowa mieszkańców wyspy. Zagrożenie, które nad nią zawisło, istniało jednak nadal. Rozsierdzony klęską Sulejman Wspaniały postanowił sam poprowadzić powtórzoną wyprawę już w roku następnym. Rycerze maltańscy nie zdążyli odbudować zniszczonych twierdz. Jednak w owym właśnie roku 72-letni sułtan zdążył umrzeć. I tak zakon joannitów ostatecznie ocalał.

A obok historycznej twierdzy Birgu wyrosło miasto nieprzypadkowo nazwane Valetta (obecnie stolica niepodległej Malty), położone na półwyspie Sciberras pomiędzy dwiema zatokami: Grand Harbour i Marsamxett. Niestety, wielki obrońca wyspy Jean Parisot de la Valette nie dożył ani tego (umarł w 1568 r.), ani też pogromu floty osmańskiej w 1571 r. pod Lepanto.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wspaniała sułtanka



Maciej Rosalak

Okrągła rocznica oblężenia Rodos przez Sulejmana Wspaniałego w 1522 r. zbiega się akurat ze wznowieniem w kwietniu br. nakręconego z ogromnym rozmachem kostiumowego serialu tureckiego „Wspaniałe stulecie". W tym stukilkudziesięcioodcinkowym obrazie przedstawia się – obok haremowo-państwowych intryg żony sułtana Hürrem – także wspomnianą batalię. W zarysie dość zgodnie z faktami. Panowanie Sulejmana rzeczywiście doprowadziło do największego pod każdym względem rozwoju imperium Turków osmańskich. Był prawnukiem Mehmeda II Zdobywcy, wnukiem Bajazyda II i synem Selima I Okrutnego zmarłego w 1620 r. Ów tatuś Sulejmana, który zdominował świat islamu, tylko jego pozostawił przy życiu, mordując zarówno pozostałych synów, jak i wszystkich krewnych mogących upomnieć się o tron w Stambule. Rzeka krwi rozlewana w najbliższym otoczeniu, która wyniosła go do władzy, nie pozostała oczywiście bez wpływu i na jego poczynania. Kazał zamordować własnych synów, których podejrzewał o spiski – Mustafę (1553) i Bayezida (1561) – czy oskarżonego o to samo przyjaciela, szwagra i wielkiego wezyra Ibrahima Paszę (1536). Traciły też życie traktowane jako żony konkubiny, np. Gülfem (1562).

Uważa się, że jedyną prawowitą żoną stała się obdarzona tureckim imieniem Hürrem – wcześniej porwana przez Tatarów najprawdopodobniej na naszej Rusi i podarowana sułtanowi przez Ibrahima – niewolnica Sulejmana Wspaniałego, znana w Europie jako Roksolana. Urodziła się zapewne na samym początku XVI w., między 1500 a 1505 r., co przyjmuje się tylko dzięki znanej dacie przyjścia na świat Mehmeda (1521), pierwszego z pięciu synów, których urodziła sułtanowi. Najbardziej udanym dzieckiem z tego związku była jednak córka, jedynaczka Mihrimah, która odziedziczyła charakter, spryt i odwagę zarówno po matce, jak i po ojcu. Zabierał samodzielną dziewczynę w podróże, a nawet na wojny! Jeździła z ojcem nawet po wydaniu za mąż za wezyra Damata Rustema Paszę, którego Hürrem użyła do eliminacji zagrażającego jej Ibrahima. Mihrimah namówiła ojca do inwazji Malty, obiecując pokrycie kosztów wybudowania 400 galer, finansowała wznoszenie meczetów, jak również intronizację brata Selima. Pisała, jak jej matka, listy do króla polskiego. W imperium Osmanów, wyjątkowo patriarchalnym nawet jak na tamtą epokę, miała oczywiście zero szans na odziedziczenie tronu. Matka i córka zapoczątkowały jednakże tzw. okres rządów sułtanek.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że twórcy serialu – w przeciwieństwie do Turków w XVI w.! – nie odróżniali znajdującej się w państwie polsko-litewskim Rusi (dzisiejszej Ukrainy) od Moskwy (Rosji). Hürrem nazywana jest Rosjanką i nuci dziecku kołysankę po rosyjsku. Wymyślone imię Roksolana pasowało Europejczykom (też zresztą i dziś niewidzących różnicy!) i do Rosjanki, i do Rusinki. Niewykluczone, że urodziła się jako córka prawosławnego duchownego Lisowskiego w Rohatynie pod Stanisławowem – na Rusi Czerwonej znajdującej się w obrębie Królestwa Polskiego od czasów Kazimierza Wielkiego, która w ręce Moskwy (bolszewickiej) wpadła dopiero w 1939 r. Sulejman umarł w 1566 r., przeżywszy 72 lata. Rządząca „władcą świata" ukochana Hürrem (vel Roksolana de domo Aleksandra Lisowska), matka przyszłego, zapijaczonego i rozpustnego sułtana Selima II (1524–1574), przeniosła się w zaświaty osiem lat wcześniej od Sulejmana, w 1558 r. ©℗

eprasa.pl 101deee3b0

Scytyjski łucznik w greckiej służbie



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Podstawą antycznej greckiej wojskowości była ciężkozbrojna piechota, ale w czasach wojny peloponeskiej wzrosła rola formacji lekkozbrojnych. Między innymi najemnych łuczników ze Scytii



Zadaniami lekkiej piechoty były osłona hoplitów przed pociskami i eliminowanie wrogich strzelców lub oszczepników. Formacja peltastów rekrutowała się z uboższych mieszkańców Grecji, natomiast łuczników (toxotai) zaciągano często za granicą. Najbardziej ceniono Scytów, obecnych w greckich armiach już w VI w. p.n.e. Ich postaci są częstym motywem na greckich wazach, dzięki którym można zrekonstruować wygląd ich łuków oraz odzieży. Łucznicy ze Scytii posługiwali się kompozytowymi (złożonymi) łukami refleksyjnymi, czyli bronią o drewnianym rdzeniu wzmocnionym od wewnątrz pasami rogu, a z zewnątrz ścięgnami i o końcach ramion skierowanych w przód, kiedy łuk pozbawiony był cięciwy. Po założeniu cięciwy łuczysko przypominało kształtem grecką literę sigma; broń taką określano jako podwójnie krzywą, jej długość wynosiła ok. 80 cm.

Scytyjski łuk należał do olbrzymiej rodziny łuków tzw. azjatyckich i w owym czasie nie miał sobie równych. Jego zalety znane były także Persom, którzy nie mniej chętnie zaciągali Scytów do swojej służby. Zarówno łuk, jak i strzały przenoszono w pokrowcu zwanym gorytos, często bogato zdobionym i pokrywanym repusowaną złotą blachą. Bardzo charakterystyczny kształt brązowych grotów strzał scytyjskich – tuleja z trzema wyraźnymi krawędziami tnącymi – jest najczęściej jedynym śladem militarnej aktywności tych nadczarnomorskich nomadów. Niektórzy pisarze antyczni wspominali o zatruwaniu przez Scytów grotów strzał.

Łuk był podstawową i najdoskonalszą bronią scytyjskich żołnierzy, ale używali także innych elementów uzbrojenia zaczepnego i ochronnego, w tym zaawansowanych technologicznie pancerzy. Licznie zachowane wizerunki wojowników scytyjskich ukazują ich w charakterystycznych głębokich spiczastych czapkach oraz wzorzystych spodniach i tunikach z długimi rękawami. Piesi łucznicy nie używali osłon ciała (potwierdzają to chociażby wizerunki z greckich waz), ale do bezpośredniej obrony mogli używać prostych, obosiecznych mieczy – akinakesów. Scytowie walczyli także na okrętach. I chociaż stanowili tutaj niewielką część zaokrętowanej piechoty (np. w bitwie pod Salaminą na 18 zbrojnych zaledwie czterech było strzelcami), to wydaje się, że ich rola była niebagatelna. Niewykluczone, że stanowili ochronę kadry dowódczej i eliminowali wrogich strzelców lub miotaczy oszczepów. Nie można wykluczyć, że umiejętne użycie łuków mogło wydatnie wspomóc skomplikowany manewr taktyczny, jeśli strzały doprowadziły do wyeliminowania sternika czy też osłabiły rząd wioślarzy na jednej z burt wrogiego okrętu.

Poza łucznikami ze Scytii wykorzystywano też Kreteńczyków, najbieglej władających łukiem spośród Greków. Używali oni łuków prostych, choć nie można wykluczyć, że część posługiwała się także łukami scytyjskimi (Kreteńczycy i Scytowie stosowali inny sposób naciągu). Kreteńscy łucznicy cenieni byli m.in. w armii Aleksandra Wielkiego. ©℗

eprasa.pl 101deee3b0

Mundury Fallschirmjäger

Niemieccy strzelcy spadochronowi (organizowani w ramach Luftwaffe) używali wielu charakterystycznych elementów umundurowania i wyposażenia. Były to m.in. krótkie sukienne bluzy (Fliegerbluse) zapinane na guziki kryte listwą. Kombinezony z kolei wykonywano początkowo z jednobarwnego stalowoszarego brezentu. Były kłopotliwe, ponieważ nogi trzeba wyło wyjmować z krótkich nogawek. Model wprowadzony w 1941 r. posiadał zamek błyskawiczny, a nogawki zapinano wokół nóg za pomocą zatrzasków, dzięki czemu kombinezon można było szybko zdjąć lub też nosić go jak kurtkę. Okryty był kamuflażem o wzorze geometrycznym zwanym Splittertarn, który nanoszono na materiał w bazowym zielonoszarym kolorze za pomocą matrycy. Istniało kilka odmian i różne odcienie.



Hełm wz. 38 (na zdjęciu) pozbawiony był wydatnego nakarczka oraz daszka, które stanowiłyby niebezpieczeństwo przy gwałtownym lądowaniu ze spadochronem, i miał zupełnie inny fasunek niż ogólnowojskowy wz. 35. Stosowano do nich materiałowe pokrowce maskujące lub też pokrywano je farbą w odcieniu właściwym dla danego teatru działań wojennych. Poza kombinezonami używano też brezentowych długich kurtek w kolorze maskującym, z wykładanymi kołnierzami i zapinanych na guziki. Obuwiem spadochroniarzy były czarne i długie za kostkę skórzane buty wiązane sznurówkami; w pierwszym wzorze sznurówki znajdowały się z boku, potem już klasycznie – z przodu. ©℗

Typ 14



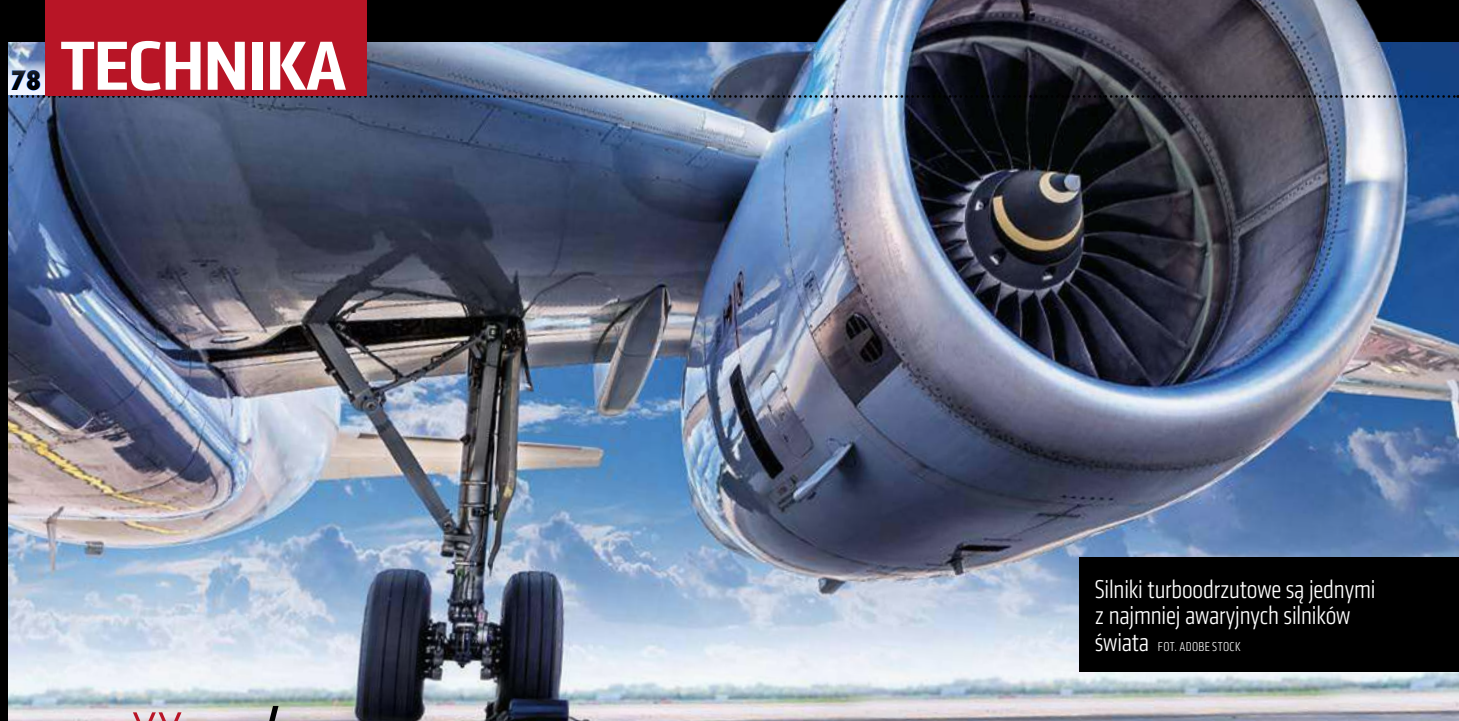
Pistolet Typ 14 kal. 8 mm (Pistolet roku 14) stanowił przepisową broń krótką armii japońskiej. Wprowadzony do uzbrojenia w 1925 r. (14. rok ery Taisho), wytwarzany był w latach 1926–1945 w kilku wytwórniach. Według różnych szacunków powstało od 279 do 400 tys. sztuk (wszystkich odmian). Samopowtarzalna broń pomysłu mjr. Kijiro Nambu zewnętrznie przypominała słynne niemieckie Parabellum i choć działała na podobnej zasadzie (krótki odrzut lufy), to ryglowanie odbywało się za pomocą rygla wahliwego (nieco podobnie jak w niemieckim Waltherze P38), a nie mechanizmu kolankowego. Pistolet zasilano z ośmionabojowego magazynka pudełkowego (amunicja 8 x 22 mm), a jego głównymi częściami były: lufa z suwadłem, zamek, szkielet, urządzenie spustowe, nastawny bezpiecznik skrzydełkowy. W toku bojowej eksploatacji – w celu zapewnienia wygodniejszego ujęcia spustu w rękawicy – zastosowano obszerniejszy kabłąk spustu. Pistolet z roku 14 był bronią solidnie wykonaną, stosunkowo niezawodną, a także wygodną w użyciu. Miał jednak dość skomplikowany mechanizm i strzelał słabym nabojem (mała moc obalająca). ©℗

Renesansowa artyleria



Na przełomie XV i XVI w. konstruowanie dział zaczęło opierać się na obliczeniach, dzięki czemu określono proporcje w budowie luf. Największy postęp nastąpił we Francji. „Ku końcowi XV i na początku XVI wieku artylerya europejska, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przeistacza się do niepoznania – pisał Konstanty Górski w »Historii artylerii polskiej«. – Przyczyną tej metamorfozy było zastosowanie kul żelaznych i czopów odlewanych z ciała dział. Oba te ulepszenia zostały wprowadzone we Francyi za panowania Karola VIII, który na wojnę Włoską mógł już wyprowadzić 140 nowego kształtu armat na łożach kołowych". Ponieważ żelazo ma znacznie większy ciężar gatunkowy niż kamień, nowa amunicja umożliwiła zmniejszenie kalibrów i wymiarów luf. Dzięki czopom osadzonym w panwiach łoża można było już swobodnie nadawać pożądany kąt podniesienia. Zmniejszenie kalibru luf szło w parze z ich wydłużeniem i ze wzmocnieniem ścian; lepszy materiał, którym był udoskonalony spiż (stop miedzi, cyny, cynku i ołowiu), pozwolił zastosować znacznie większy ładunek prochu. Długa lufa dawała dostateczny czas potrzebny do całkowitego spalenia się prochu i w efekcie pozwoliła znacznie lepiej wykorzystać prężność gazów. Pojawiło się klasyczne dwukołowe drewniane łoże. Wszystko to sprzyjało ograniczeniu rodzajów sprzętu. Typ dział zaczęto określać według wagi pełnej kuli żelaznej podawanej w funtach (wagomiar). ©℗

eprasa.pl 101deee3b0



Silniki turboodrzutowe są jednymi z najmniej awaryjnych silników świata FOT. ADOBE STOCK

XX w. / Pierwszy naprawdę udany silnik to brytyjski Rolls-Royce Nene

Silnik odrzutowy



Tymoteusz Pawłowski

Współczesne silniki odrzutowe wcale nie muszą korzystać z odrzutu. Są również zadziwiająco podobne do spalinowych silników tłokowych napędzających samochody

Za najstarszą firmę motoryzacyjną świata uchodzi francuski Peugeot, założony w 1810 r. Rzecz w tym, że przez pierwsze 90 lat jego istnienia Francuzi zajmowali się produkcją młynków do kawy, więc palma pierwszeństwa należy się niemieckiej firmie Deutz, produkującej silniki spalinowe od 1864 r. Jej założycielem był Nicolaus Otto, który opracował i wdrożył do produkcji silniki pracujące według „cyklu Otta", lepiej znane jako silniki czterosuwowe.

Działają one w ten sposób, że silnie wybuchowa mieszanka paliwa z powietrzem jest zasysana do cylindra, następnie sprężana przez tłok, który później zostaje odepchnięty w wyniku detonacji mieszanki (ten suw nazywa się pracą), wreszcie powstałe spaliny są wyrzucane z cylindra, gdy tłok wraca do pozycji wyjściowej, aby przygotować się ponownie do zassania mieszanki.

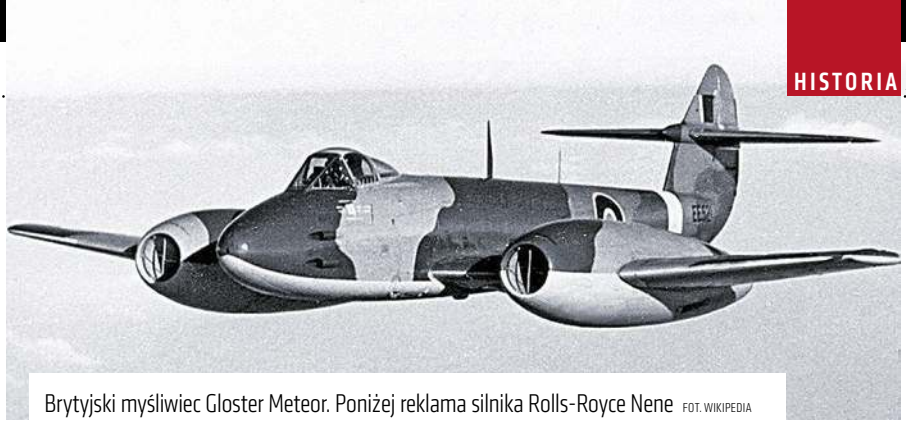
Ta zasada działania silników tłokowych ma swoje zalety, ale ma też swoje wady. Tylko jeden suw na cztery jest pracą. Tłok wykonuje ruchy posuwisto-zwrotne, które trzeba zamienić na ruch obrotowy wału korbowego: silnik zatem nie dość, że drga, to w dodatku traci energię na zamianę kierunku ruchu. Wreszcie do osiągnięcia wysokiej mocy potrzebne są albo potężne cylindry, albo bardzo szybki ruch tłoków – czyli albo zwiększenie masy, albo ograniczenie żywotności silnika. Żadne z tych rozwiązań nie jest akceptowalne przez przemysł lotniczy.

Samoloty muszą mieć silniki jak najlżejsze i jak najbardziej niezawodne. W gruncie rzeczy pierwszy lot samolotu – odbył się w 1903 r. – stał się możliwy nie tyle ze względu na postęp w aerodynamice, ile na postęp w budowie silników. Pierwszy lot trwał jednak niecałą minutę. Gdy w latach 20. i 30. XX w. lotnictwo zaczęło na masową skalę przewozić pasażerów, silniki znów stały się ograniczeniem: większość katastrof wiązała się z awariami lotniczych silników tłokowych.

Formy odrzutu

W tym czasie pracowano już nad innymi napędami dla samolotów, m.in. takimi, w których byłyby one napędzane odrzutem powietrza. Prekursorem był rumuński inżynier Henri Coandă, który w 1910 r. zaprezentował prototyp tak napędzanego samolotu. Nie odniósł sukcesu. Pewien sukces odniosły natomiast motory wykorzystujące odrzut rozgrzanych gazów powstałych ze spalania nafty:

eprasa.pl 101deee3b0



Brytyjski myśliwiec Gloster Meteor. Poniżej reklama silnika Rolls-Royce Nene FOT. WIKIPEDIA

silniki takie nazywają się pulsacyjnymi lub przepływowymi, napędzały niemiecką „cudowną broń" V-1, a i dziś używane są w przemyśle zbrojeniowym. Nie nadają się jednak do napędu samolotów.

Rozwiązaniem okazało się zastosowanie turbiny, wynalezionej pod koniec XIX w. Odrzutowe silniki turbinowe jako pierwsi zbudowali Węgrzy (György Jendrassik) oraz Włosi (Secondo Campini), ale lepszy aparat propagandowy mieli Niemcy i to oni uchodzą za prekursorów samolotów odrzutowych. Faktycznie myśliwiec Messerschmitt 262 był jedną z „wunderwaffe", ale jego silniki oparto na patencie Brytyjczyka Franka Whittle'a. Poza tym pierwszy odrzutowy samolot myśliwski wprowadzono do służby właśnie w Wielkiej Brytanii: był nim Gloster Meteor. Latem 1944 r. Brytyjczycy wygrywali jednak wojnę, nie musieli szukać cudownych broni i – tak jak Niemcy – używać w walce prototypów...

Silnik odrzutowy jest tak naprawdę zwykłym spalinowym silnikiem tłokowym, tylko że... pozbawionym tłoków. Zamiast tłoków ma turbinę, a właściwie dwie, połączone wałem. Turbinowy silnik odrzutowy również wykonuje cztery suwy: ssanie, sprężanie, pracę, wydech. Powietrze jest zasysane do silnika, następnie sprężane za pomocą turbiny i mieszane z paliwem, następnie trafia do komór spalania (początkowo miały one kształt cylindrów), gdzie następuje detonacja mieszanki. Powstałe w ten sposób gazy napędzają turbinę i wydmuchiwane są przez dyszę, tak aby dały odrzut.

Najważniejsza jest turbina wylotowa – ta napędzana przez rozgrzane spaliny. Dzięki temu napędzana jest turbina zabudowana przy wlocie do silnika, będąca sprężarką. Problemem jest oczywiście wystartowanie takiego silnika odrzutowego: najpierw trzeba do wysokich obrotów rozkręcić turbinę sprężarki, żeby zainicjować cykl Otta. Można to zrobić za pomocą zwykłego silnika – początkowo używano do tego silniczków od kosiarek! – albo agregatu lotniskowego.

Turbina silnika odrzutowego jest ważna także z innego powodu. Do wału, który napędza, można podłączyć, cokolwiek sobie życzymy, np. śrubę. W ten sposób napędzane są współczesne okręty bojowe, z tym że silnik nazywa się „turbiną gazową". Do wału można podłączyć śmigło, wtedy otrzymamy samolot turbośmigłowy. A gdy zamontujemy większe śmigło, to otrzymamy podstawowy typ napędu współczesnych śmigłowców: silnik turbowałowy.



Nene i następcy

Pierwszym naprawdę udanym silnikiem odrzutowym był brytyjski Rolls-Royce Nene (to nazwa rzeki we wschodniej Anglii). Napędzał samoloty brytyjskie, amerykańskie, francuskie, ale sławę zdobył jako Klimow WK-1. Naiwni Brytyjczycy sprzedali kilkadziesiąt sztuk Nene Sowietom, ci od razu je skopiowali i zamontowali na swoich myśliwcach MiG-15, a później także na innych maszynach. Stąd można je spotkać również w Polsce, gdzie były one produkowane pod nazwą Lis, czyli „licencyjne silniki".

Silniki odrzutowe zmieniały się dość szybko, pierwszą z istotnych zmian było zamontowanie dopalaczy wtryskujących paliwo do dyszy wylotowej. Umożliwiało to chwilowe zwiększenie ciągu i przekroczenie prędkości dźwięku, kosztem jednak olbrzymiego zużycia paliwa. Samoloty cywilne potrzebują przede wszystkim zwiększenia zasięgu, prace poszły więc w inną stronę, doprowadzając do powstania silników dwuprzepływowych, zwanych też turbowentylatorowymi.

Otóż pierwszy stopień sprężarki ma dużo większą średnicę niż pozostałe. Niewielka część sprężonego powietrza zużywana jest do spalania, a większość – nawet 90 proc. – okrąża silnik i wytwarza olbrzymi odrzut, zwany zimnym ciągiem. Jest to rozwiązanie o wiele bardziej ekonomiczne oraz ekologiczne i dziś używa się niemal wyłącznie takich silników. Łatwo je rozpoznać. Pierwsze boeingi 737 wyprodukowane w latach 60. miały silniki jednoprzepływowe: długie i wąskie. Od lat 70. montuje się silniki dwuprzepływowe: krótsze, ale o większej średnicy.

Silniki turboodrzutowe są jednymi z najmniej awaryjnych silników świata. Nie mają tłoków wprawiających silnik i samolot w drgania, mogą więc pracować po kilkanaście godzin na dobę przez całe lata. Silniki tłokowe napędzają śmigła, które również dają „odrzut", ale zmniejsza się on wraz z wysokością i osiągany pułap kilku kilometrów nie pozwala na omijanie burz czy huraganów. „Odrzut" silników odrzutowych w niewielkim stopniu zależy od wysokości, można więc latać na dużo większym pułapie, sięgającym kilkunastu kilometrów, gdzie burze praktycznie nie występują.

Katastrofy samolotów pasażerskich spowodowane awariami silników należą do rzadkości i z reguły przydarzały się samolotom wyprodukowanym w Rosji, gdzie kontrola jakości była niska. Takie były przyczyny wypadków dwóch „polskich" iłów-62M: ich silniki Kuzniecow NK-8 były zrobione niechlujnie i z materiałów niskiej jakości. Z tego powodu rosyjski przemysł cywilnych silników odrzutowych dziś już prawie nie istnieje...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 101deee3b0



Obrona Persenkówki pod Lwowem, grudzień 1919 r. Mal. Stanisław Kaczor-Batowski

FOT. WIKIPEDIA/ MACIEJ SZCZEPAŃCZYK, MATHIASREX

1918–1947 / Nowa książka „Ukraińcy”

Lwy i gladiatorzy



Piotr Zychowicz

Polacy i Ukraińcy przez trzy dekady toczyli zacięty spór o terytoria. Koniec konfliktowi położył Józef Stalin

Napisałem nową książkę! Tytuł mówi wszystko: „Ukraińcy”. To kolejny tom cyklu „Opowieści niepoprawne politycznie”, w ramach którego przedstawiam losy narodów, których historia w dramatyczny sposób splotła się z historią Polski i Polaków. Tym razem padło na naszych południowo-wschodnich sąsiadów.

Jedną z głównych osi książki jest niezwykle krwawy, zacięty konflikt, który w pierwszej połowie XX w. podzielił dwa – używając określenia Henryka Sienkiewicza – narody pobratymcze. Mowa oczywiście o Polakach i Ukraińcach.

Konflikt ten nie był czymś wyjątkowym. Był odsłoną większego dziejowego dramatu, który na zawsze zmienił oblicze Europy Środkowo-Wschodniej i wytyczył nowe granice w naszej części świata. Mowa oczywiście o zmierzchu starego, konserwatywnego ładu i narodzinach nowoczesnych narodów.



Pantelejmon Kulisz

FOT. WIKIPEDIA

Gdy w latach 1917–1918 upadły wielonarodowe imperia Romanowów, Hohenzollernów i Habsburgów, wybiła godzina nacjonalistów. Młode nacje Europy na gruzach starego świata przystąpiły energicznie do budowy państw narodowych. Ponieważ ludzie różnych języków i wyznań mieszkali obok siebie na tych samych terytoriach, natychmiast wybuchły niezwykle zaciekłe, mordercze konflikty.

Jednym z nich był konflikt między Polakami a Ukraińcami. Jego przedmiotem była ziemia. Wołyń, Galicja Wschodnia, Bieszczady i wschodnia Lubelszczyzna. Pierwsze strzały rozległy się w listopadzie 1918 r., gdy Ukraińcy i Polacy starli się na ulicach Lwowa, rozpoczynając wojnę o Galicję.

To był jednak tylko początek. Polsko-ukraińskie zmagania trwały blisko trzy dekady – od 1918 do 1945 r. Obfitowały w wojny, represje i obopólne mordy, których apogeum było ludobójstwo na Wołyniu. Straszliwa zbrodnia dokonana przez ukraińskich nacjonalistów spod znaku OUN/UPA na polskiej ludności cywilnej.

Jak każda wojna domowa spór polsko-ukraiński był wyjątkowo okrutny. Człowiek stawał przeciw człowiekowi, sąsiad przeciw sąsiadowi, brat przeciwko bratu. Było to błędne koło kolejnych zbrodni, odwetów i odwetów za odwety. W pewnym momencie już nikt z uczestników nie potrafił sobie przypomnieć, od czego właściwie to wszystko się zaczęło…

Ostateczny kres polsko-ukraińskim zapasom położył „ten trzeci” – Józef Stalin. W 1945 r. wytoczył nową granicę i – totalitarną metodą deportacji – odseparował od siebie Polaków i Ukraińców. Dzieła dwa lata później dokończyli polscy komuniści, przeprowadzając akcję „Wisła”.

Konflikt umarł śmiercią naturalną. Spór terytorialny wygasł. Pozostały

eprasa.pl 101deee3b0

jednak zgliszcza spalonych wiosek na Wołyniu i nad Sanem. I nienawiść w sercach obu narodów. W ten sposób wypełniło się ponure proroctwo, które w 1882 r. wygłosił ukraiński poeta Pantełejmon Kulisz:

„Na zbyt wąskim kawałku ziemi dla wszystkich, pomiędzy dwoma morzami, mieści się siedlisko Ukraińców oraz ich niezmiennych wrogów od tysiąca lat – Polaków, Lachów. A nienawiść, karmiona stuleciami rozczarowań, doprowadziła ich razem do poniewierającego szaleństwa.

Oni są jak dwa lwy… Utrapione przez to, co przeszło i przechodzi, zdesperowane tym, co z pewnością nadejdzie, dwa lwy – Ukraińcy i Polacy – rozszarpują jeden drugiemu piersi aż do miejsc, gdzie biją ich serca.

Ich oczy, jakkolwiek nabiegłe krwią oraz jadowitością, zdolne są, mimo wszystko, zauważyć radość, jaką ich wzajemne zemsty czynią wspólnym ich wrogom.

Jednak wstrętnemu temu pojedynkowi poświęcą oni ostatek swych sił i resztki swoich zasobów. Są oni niczym gladiatorzy w rzymskim Koloseum, gdy tak stoją twarzą w twarz pośród narodów.

Obaj gotowi są unicestwić drugiego, ale z tego żaden z ich spadkobierców dumnym nie będzie…”.

Trudno się z tym nie zgodzić. Na konflikcie polsko-ukraińskim zawsze korzystali Rosjanie. Tak było już w XVII w., gdy Carstwo Moskiewskie wmieszało się w wojnę domową między Koroną a Kozakami, co było jedną z głównych przyczyn załamania się potęgi ówczesnej Rzeczypospolitej, a w konsekwencji – jej upadku.

Powtórzyło się to w dwudziestoleciu międzywojennym i podczas drugiej wojny światowej. Na jej zakończenie po Polakach i Ukraińcach – toczących swój zaciekły spór o terytoria – przejechał wielki sowiecki walec, oba narody równo wgniatając w ziemię.

Na szczęście historia relacji polsko-ukraińskich nie jest tylko historią obopólnych krzywd. To także opowieść o wielowiekowym sąsiedztwie na Rusi. O wzajemnym przenikaniu się kultur. A wreszcie – o wspólnej walce przeciwko wspólnemu wrogowi.

Świetnym tego przykładem jest zawarta w 1658 r. ugoda hadziacka, która powołała do życia Rzeczpospolitą Trojga Narodów. Była to jedna z największych



Szczątki Polaków zamordowaych w 1943 r. w Woli Ostrowieckiej na Wołyniu

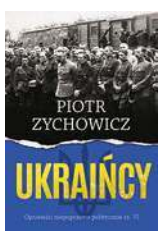
FOT. WIKIPEDIA/LEON POPEK

zaprzepaszczonych szans w historii Polski. Szans na trwałe zepchnięcie Moskwy do defensywy. Albo rok 1920. Pakt Piłsudski-Petlura i ukraińskie oddziały walczące dzielnie ramię w ramię z Polakami przeciwko czerwonym kozakom Budionnego.

Książka „Ukraińcy” niczego nie pomija i niczego nie przemilcza. Ukazuje obie strony medalu. Przedstawia historię realną, a nie „politykę historyczną”. A więc historię bez upiększeń i brązownictwa. Sprawi to zapewne, że nie spodoba się ani ukrainofobom, ani ukrainofilom.

Piszę zarówno o krwawych aktach terroru dokonywanych przez bojowców OUN przeciwko władzom II RP, jak i o polskich represjach wymierzonych w Ukraińców. Pacyfikacji Galicji, burzeniu cerkwi na Chełmszczyźnie czy dyskryminacji obywateli pochodzenia ukraińskiego. Książka zawiera opisy ludobójstwa UPA na niewinnej polskiej ludności cywilnej. Ale również opisy polskich zbrodni odwetowych.

Nie zgadzam się bowiem z modnym w Polsce poglądem, że dobry patriota powinien zakłamywać własną historię. Obowiązkiem historyka jest zachowanie obiektywizmu i bezstronności. A empatia należy się wszystkich niewinnym ofiarom niezależnie od ich narodowości.



PIOTR ZYCHOWICZ
„UKRAIŃCY”
REBIS

Niestety, o Ukraińcach często pisze się w Polsce tak samo jak o Żydach. Czyli – od ściany do ściany. Albo obsadza się ich w roli rezunów z czarnym podniebieniem, którzy w każdej chwili gotowi są rzucić się na Lacha z siekierą lub widłami, albo też w roli umęczonych ofiar polskiego kolonializmu, feudalizmu i szowinizmu.

Zwolennicy pierwszego podejścia uwypuklają ludobójstwo popełnione przez ukraińskich nacjonalistów na polskiej ludności cywilnej Wołynia i Galicji Wschodniej, niechętnie wspominają zaś o sytuacjach, gdy Polacy i Ukraińcy ramię w ramię walczyli przeciwko Moskalom. Nie mówiąc już o tym, gdy to Ukraińcy byli ofiarami.

Nasi ukrainofile uważają z kolei, że przypominanie o Wołyniu to niepotrzebne „jątrzenie” i „rozdrapywanie ran”. Pamięć o polskich ofiarach ludobójstwa należy ich zdaniem złożyć na ołtarzu porozumienia Polski z Ukrainą. Zarazem ci sami ludzie zachęcają jednak, aby Polacy bili się w piersi za represyjną politykę II Rzeczypospolitej i zbrodnie wojenne popełniane na ukraińskich cywilach przez polskie podziemie.

Według pierwszych winę za wszystkie polsko-ukraińskie konflikty i wojny ponoszą Ukraińcy. Według drugich – Polacy.

Która, z tych diametralnie różnych narracji jest prawdziwa? Oczywiście żadna. Historia nie jest bowiem czarno-biała. Jest szara. I piekielnie skomplikowana. Jak mówi jeden z bohaterów tej książki: „Nie ma złych i dobrych narodów. Są tylko źli i dobrzy ludzie”. Potwierdzenie tych słów znajduje się na każdej stronie „Ukraińców”.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 101deee3b0

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ URODZIŁ SIĘ 28 STYCZNIA 1885 ROKU W KUTAISI NA KAUKAZIE. W MŁODOŚCI DZIAŁAŁ W ORGANIZACJACH KONSPIRACYJNYCH: ORGANIZACJI MŁODZIEŻY NARODOWEJ I ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ „ZET". W 1917 ROKU ZAJĄŁ SIĘ POMOCĄ W FORMOWANIU WOJSKA POLSKIEGO NA TERENIE ROSJI. BRAŁ CZYNNY UDZIAŁ W WALKACH Z BOLSZEWIKAMI.



TRZYKROTNIE POWIERZANO MU STANOWISKO MINISTRA SPRAW WEWNĘTRZNYCH, ZAŚ W LATACH 1930–1935 PEŁNIŁ FUNKCJĘ MARSZAŁKA SENATU, BYŁ TAKŻE WOJEWODĄ NOWOGRODZKIM, WILEŃSKIM, KRAKOWSKIM I POMORSKIM. TA OSTATNIA FUNKCJA OKAZAŁA SIĘ NIEZWYKLE ISTOTNA DLA ROZWOJU POLSKI.

TO Z JEGO INICJATYWY 1 MARCA 1937 ROKU SEJM UCHWALIŁ USTAWĘ O ZMIANIE GRANIC WOJEWÓDZTW. DZIĘKI TEMU DO POMORZA WŁĄCZONO 10 NOWYCH POWIATÓW. TYM JEDNYM DZIAŁANIEM ZWIĘKSZONO POWIERZCHNIĘ WOJEWÓDZTWA O 55%, LICZBĘ MIESZKAŃCÓW AŻ O 73%.

BYDGOSZCZ, 1 KWIETNIA 1938 R.



GDYNIA, 17 LIPCA 1939 ROKU.



WAŻNYM ELEMENTEM IDEI WIELKIEGO POMORZA BYŁA BUDOWA PORTU W GDYNI.



PARYŻ 30 WRZEŚNIA 1939 ROKU.



NIESTETY INWAZJA NIEMIECKA PRZERWAŁA TE AMBITNE PLANY. WE WRZEŚNIU 1939 ROKU RACZKIEWICZ OPUŚCIŁ POLSKĘ I UDAŁ SIĘ DO FRANCJI. TAM ZOSTAŁ MIANOWANY PRZEZ IGNACEGO MOŚCICKIEGO JEGO NASTĘPCĄ NA STANOWISKU PREZYDENTA.

EFEKTEM KONFERENCJI JAŁTAŃSKIEJ BYŁA UTRATA UZNANIA DLA RZĄDU RP NA UCHODŹSTWIE PRZEZ ZARÓWNO WIELKĄ BRYTANIĘ, JAK I STANY ZJEDNOCZONE. WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ BYŁ JUŻ WÓWCZAS POWAŻNIE CHORY (BIAŁACZKĘ ZDIAGNOZOWANO U NIEGO JESZCZE PRZED WOJNĄ). ZMARŁ 9 CZERWCA 1947 ROKU W RUTHIN W WALII.

W 2022 ROKU SPROWADZONO DO POLSKI SZCZĄTKI TRZECH PIERWSZYCH PREZYDENTÓW RP NA UCHODŹSTWIE: WŁADYSŁAWA RACZKIEWICZA, AUGUSTA ZALESKIEGO I STANISŁAWA OSTROWSKIEGO. UROCZYSTOŚCI POGRZEBOWE ZAPLANOWANO NA 12 LISTOPADA W ŚWIĄTYNI OPATRZNOŚCI BOŻEJ W WARSZAWIE.

eprasa.pl 101deee3b0

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie
18:30



zaprasza **Piotr Kieraga**

REPUBLIKA

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 101deee3b0



Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ

eprasa.pl 101deee3b0